

KATARZYNA BERENIKA

# MISZCZUK



JA CIĘ KOCHAM,  
A TY MIAU

*komedie kryminalna*

Wydawnictwo  
**ab**  
two

Katarzyna Berenika Miszczuk

JA CIĘ KOCHAM, A TY MIAU



Copyright © by Katarzyna Berenika Miszczuk, MMXX  
Wydanie I  
Warszawa MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Motto

Dedykacja

Wstęp

Rozdział 1. Fortuna kotem się toczy

Rozdział 2. Duma i zakłaczenie

Rozdział 3. Moje wielkie kocie wakacje

Rozdział 4. ArysKOTrata

Rozdział 5. Koci zawodowiec

Rozdział 6. Najtrudniejszy pierwszy kot

Rozdział 7. Pierwsze koty za płoty

Rozdział 8. Koci apetyt rośnie w miarę jedzenia

Rozdział 9. Co z oczu, to z wibrysa

Rozdział 10. Koci, koci łapci... pojedziem do weterynarza

Rozdział 11. Kabaret kociego niepokoju

Rozdział 12. Strach ma kocie oczy

Rozdział 13. Kot człowiekowi kotem

Rozdział 14. W nocy wszystkie koty są czarne

Rozdział 15. Nawiedzony drapak

Rozdział 16. Kot da Vinci

Rozdział 17. Jak się masz, koteczku?

[Rozdział 18. Lot nad kocim gniazdem](#)

[Rozdział 19. Ostatnia kocia wieczerza](#)

[Rozdział 20. Kotu bije dzwon](#)

[Rozdział 21. Nie chwał dnia przed kocim pasztetem](#)

[Rozdział 22. Nieszczęście kotem się toczy](#)

[Rozdział 23. Dobrze się kłamię w kocim towarzystwie](#)

[Rozdział 24. Dama z kociczkiem](#)

[Rozdział 25. Kocie biuro śledcze](#)

[Rozdział 26. Poszukiwacze zaginionego kota](#)

[Rozdział 27. Napędzić komuś kota](#)

[Rozdział 28. Nie ma kota, myszy harcuja](#)

[Rozdział 29. Trafiło się ślepemu kotu ziarno](#)

[Rozdział 30. Złap kota, jeśli potrafisz](#)

[Rozdział 31. Veni, vidi, vici, miau!](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Najmniejszy kot jest arcydziełem

Leonardo da Vinci

Moim kotom:  
kotce Miszy i kocurowi Sushiemu.  
Dziękuję Wam za mruczenie i przytulanie.  
(Zniszczone meble i biegi o czwartej rano moglibyście sobie  
darować)

## Wstęp

Jak to mówią, „nie ma róży bez kolców”. Dość boleśnie się o tym przekonałem podczas wspinaczki po starej pergoli przymocowanej do równie wiekowego budynku. Bez względu na to, jak romantyczne jest zakradanie się do ukochanej po ścianie domu, to chyba jednak nie zostanę fanem tego sposobu na zdobycie kobiecego serca. Mam wrażenie, że kolce wbiły mi się w każdy kawałek ciała. Nawet na moim nosie czerwieniła się kropla krwi.

Na szczęście okno jadalni na pierwszym piętrze było ciągle otwarte. Wspiąłem się na parapet i zeskoczyłem na zimne, marmurowe płytki. Wreszcie! Strasznie zmarzłem. Nie mogłem się doczekać, kiedy wsunę się pod kołdrę i przytulę do rozgrzanego od snu ciała mojej Ali.

Rozejrzałem się czujnie dookoła, ale nigdzie nie dostrzegłem żadnego ruchu. Wolałbym, żeby ten stary zgred, pan Stefan, nie nakrył mnie, kiedy szwendam się po ciemku. Jana też wolałbym nie spotkać.

Powoli ruszyłem w stronę korytarza prowadzącego do skrzydła z sypialniami dla gości. Już miałem otrzeć kroplę krwi z własnego nosa, kiedy poczułem metaliczny, dość nieprzyjemny zapach.

Krew.

Ale zdecydowanie nie moja.

Wycofałem się z korytarza i wróciłem do niewielkiej jadalni. Czyżby to znowu ten idiota, znaczy Konrad, malował przy użyciu świńskiej krwi? Ja naprawdę lubię malarstwo i przeważnie przemawia do mnie nawet sztuka współczesna, ale tych jego śmierdzących bohomazów w ogóle nie rozumiem.

Stałem przy długim stole przykrytym śnieżnobiałym obrusem. To tutaj codziennie jedliśmy długie i nudne posiłki.

Przystanąłem niepewny, co powinienem teraz zrobić. Byłem tak zaaferowany udaną wspinaczką, że wcześniej go minąłem. Leżał tak cicho.



A kto? Konrad oczywiście. On jeden umiał zawsze popsuć każdą zabawę. Nawet moją nocną wspinaczkę musiał skazić swoją cuchnącą obecnością.

Jedyną korzyść z tego taka, że nikomu więcej nie pomiesza szyków swoim zachowaniem.

Z tą myślą zostawiłem Konrada leżącego w kałuży krwi. Tym razem jednak nie była to wołowa krew, a jego własna. Podejrzewam, że jej źródłem był srebrny nóż do listów wbity pomiędzy jego zębra.

Ale kto by się tym przejmował.

# Rozdział 1. Fortuna kotem się toczy

## Miesiąc wcześniej

Przeciągnąłem się, by rozluźnić mięśnie spięte po całej nocy igraszek. Pościel zaszeleściła cicho pod moim ciężarem.

– Och, już się obudziłeś, śpiochu?

Uchyliłem powieki. Moja ukochana stała przy szeroko otwartych drzwiach szafy. Miała na sobie tylko skąpą, koronkową bieliznę. Przykładała do ciała wieszak, na którym powiewała jedwabna, czerwona sukienka. Odwróciła się do lustra i skrzywiła na swój widok.

– Nie... chyba nie... Zaraz się pogniecie – mruknęła.

Położyłem głowę na poduszce i przyglądałem się jej pobłaźliwie. Dla mnie zawsze była piękna. Zwłaszcza rano, kiedy włosy ciągle miała splątane po nocy, a jej skóra pachniała snem. Już chciałem powiedzieć, że kocham ją taką jak teraz, rozczochraną, bez makijażu i zasłony z perfum, ale wybiegła z pokoju na dźwięk ekspresu do kawy.

Maszyna dała znać, że jej ulubiony napój jest gotowy. Ala nie mogła żyć bez kawy. Każdy dzień zaczynała od filiżanki espresso. W ciągu dnia wypijała kilka kubków, ale już cappuccino z białą pianką. Ja kawy nie lubiłem, ale gdy moja piękna nie patrzyła, czasami upijałem trochę mlecznej piany.

Otworzyłem oczy, gdy dotarł do mnie zapach espresso. Postawiła filiżankę na szafce nocnej i cmoknęła mnie w czubek głowy.

– Idę pod prysznic – oznajmiła i zniknęła za drzwiami.

A idź. Ja się jeszcze troszkę zdrzemnę. W końcu dzisiaj nigdzie nam się nie spieszy. Do wieczornej randki pozostało dużo czasu. Równie dobrze cały dzień mogę spędzić w łóżku. Szkoda tylko, że znowu nie zdążyłem ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

Nawet nie wiem, kiedy zasnąłem. Musiałem spać długo, bo gdy otworzyłem oczy, Ala ponownie stała przed otwartą szafą. Tym razem jej skóra pachniała kwiatowym płynem do kąpieli, a wilgotne włosy w kolorze słomy spływały falami na nagie plecy.

Zerknąłem na jej nogi. Nie lubiła ich. Uważała, że są niezgrabne i często nosiła długie spódnice albo spodnie o szerokich nogawkach. Ja się z nią nie zgadzałem. Uwielbiałem jej łydki. Czasami, kiedy po prysznicu kładła się jeszcze do łóżka, zsuwałem się w dół i podgryzałem wilgotną skórę tuż nad kostką. Zawsze wtedy Ala chichotała jak szalona.

Chyba to lubiła.

– Co sądzisz? Ta może być? – zapytała.

Powiew wiatru wpadający przez uchylone okno uniósł zielony materiał w kwiaty. Sukienka była wyjątkowo pstrokata. Ta akurat nigdy mi się nie podobała. Można było dostać od niej oczopląsu.

– Miau – odpowiedziałem neutralnym tonem. Niech sama zdecyduje, jak zinterpretować moje słowa.

– Czyżby ci się nie podobała, koteczku? – westchnęła.

No proszę, prawidłowo zrozumiała mój miauk! Rzadko jej się to zdarzało, nad czym bardzo ubolewam. Hm, chyba że zwykle rozumiała moje intencje, a tylko z jakiegoś nieznanego mi powodu udawała, że nie wie, o co chodzi.

– Oj ty mój kocie niecnocie! – Poklepała mnie po głowie i wróciła do szafy.

Kolejne elementy garderoby zaczęły lądować na podłodze. Szczerze mówiąc, to nie rozumiem całej tej idei noszenia szmatek. Strasznie dużo z tym zachodu. Współczuję ludziom ich nagiej skóry. W ogóle nie są przystosowani do życia. Nie to co koty.

Irytacja mojej ukochanej sięgała już zenitu. Wyglądała, jakby zamierzała zrównać szafę z ziemią. Zupełnie jak gdyby mebel był winny tego, że ona nie ma się w co ubrać.

Ala zazwyczaj nie przejmuje się ubiorem. Nie ma też takiej potrzeby, bo jest jej pięknie we wszystkim. Nawet w szarej bluzie i lekko zmechaconych legginsach, w których chodzi na co dzień po domu. Dzisiaj jednak bardzo stresowała się swoim wyglądem, a raczej tym, żeby jak najlepiej zaprezentować się wieczorem. Wiem dlaczego.

Przychodził ON. Jej chłopak, Witek.

Uch, jak ja go nie cierpiałem. Nie mogłem patrzeć na tę jego pewną siebie minę i schludne, odprasowane podkoszulki. Traktował moją ukochaną panią, jakby była jego własnością. Stale jej mówił,

co ma robić. Często komentował, i to złośliwie, jej strój lub makijaż, czego kompletnie nie rozumiałem, bo Ala jest przecież niezwykle piękna.

Poza tym prawie nigdzie jej nie zabierał, tylko ciągle wpraszał się do naszego domu, ponieważ, jak sam twierdził, „najbardziej lubi domowe jedzenie”.

Jeśli chcecie znać moje zdanie, to był po prostu skąpy.

Nie polubiliśmy się od pierwszego spotkania. W którymś momencie oświadczył nawet bezczelnie mojej ukochanej, że powinna mnie oddać. I na dodatek, chciałem podkreślić, zrobił to w mojej obecności.

Jak on śmiał?!

A potem jeszcze miał czelność się zdziwić, że nasikałem mu do butów. Przyznaję, było to wyjątkowo szczeniackie zachowanie, niegodne siedmioletniego, dojrzałego kocura. Trochę się wstydziłem przed moją ukochaną. Ale nie żałuję. Wspomnienie jego miny, gdy włożył stopę do mokrego buta, do dzisiaj poprawia mi humor.

Kolejna sukienka Ali wylądowała na podłodze. Ziewnąłem. Dobrze, nic tu po mnie. Obserwowanie, jak grzebie w tych szmatkach, było wyjątkowo nudne. Czas na obchód po mieszkaniu.

Niestety nasze włości nie były zbyt rozległe, przez co moje codzienne spacerunki należały raczej do krótkich. Cóż... nie było się czym chwalić, raptem dwa pokoje i kuchnia. No, ale czego mogliśmy więcej oczekiwać? Nie byliśmy bogaci. Moja ukochana zajmowała się zawodowo malarstwem i rysunkiem, a dokładniej ilustrowała książki dla dzieci.

Ja wszystko rozumiem. Wiem, że to artystyczne zajęcie, godne płci pięknej. Całkowicie to pochwalam. Poza tym uwielbiam leżeć na parapecie i patrzeć, jak spod jej ręki wychodzi nagle prawdziwa sztuka!

A chociaż było to cudowne, nie zapewniało nam zbyt wielu funduszy. Szkoda, w końcu należało nam się to, co najlepsze.

A co to takiego? Jakiś interesujący zapach! Nie czułem go wcześniej.

Wskoczyłem na szafkę koło drzwi. Wśród kilkunastu przesyłek, które wczoraj moja piękna wyciągnęła ze skrzynki, znajdowała się jedna wyjątkowo interesująca. Zrzuciłem pozostałe na podłogę

i skupiłem się na tej tajemniczej, w kopercie z beżowego, grubego papieru. Drogiego papieru. Na moje kocie oko czerpanego. Wiem, co mówię. Mam nosa do luksusu.

Tak! Zdecydowanie wygląda obiecująco już na pierwszy węch. Nie dość, że papier jest kosztowny, to jeszcze czuję pod spodem prawdziwy atrament, a nie jakiś tam zwykły tusz z drukarki.

Co też to może być? Mam nadzieję, że moja opiekunka szybko otworzy tę kopertę. Jestem dobrych myśli.

Usiadłem na szafce i postanowiłem zaczekać, aż moja ukochana będzie tędy przechodziła. Na szczęście szybko wyskoczyła z łazienki i przemknęła obok. Zamiauczałem, żeby dać jej znać, że znalazłem coś interesującego.

– Co tam, mój drogi Lordzie? – zapytała.

Tak, nie przesłyszeliście się. Nazywam się Lord. Wywodzę się ze znamienitej rodziny kotów brytyjskich. Teraz to już chyba jasne, dlaczego tak ubolewam nad metrażem, w którym przyszło nam żyć z Alą. W końcu moi przodkowie przywykli raczej do życia w pałacach, a nie do klitek w blokach. Posiadam doskonały rodowód. Wśród moich bliskich były nawet koty, które wygrywały konkursy piękności.

Miauknąłem raz jeszcze, żeby nie miała wątpliwości, iż naprawdę chcę jej o czymś ważnym powiedzieć. Poklepała mnie po głowie. Na jej twarzy pojawił się grymas dezaprobaty.

– Och, Lordzie... znowu nabałaganiłeś.

Z westchnięciem schyliła się po zrzucone przeze mnie koperty i odłożyła je na miejsce, przykrywając tę, którą chciałem jej pokazać.

Poczułem, jak ogarnia mnie irytacja. Nie o to mi przecież chodziło.

– Idę na zakupy – zakomunikowała Ala, wkładając buty. – A ty bądź grzeczny! Masz jedzenie w miseczce. Ja wrócę za kilka godzin... No, chyba że wcześniej uda mi się znaleźć sukienkę, która zachwyci Witka.

Jej mina sugerowała, że raczej szczerze w to wątpi. Parsknąłem zniesmaczony, na co znowu mnie pogłaskała. Jeszcze tylko chwila przy lustrze i wyszła. Nasłuchiwałem, jak jej kroki powoli milkną na

klatce schodowej. Zwykle biegłem do okna w sypialni, żeby wyjrzeć przez rolety i upewnić się, czy przeżyła podróż windą.

Nie ufałem tym urządzeniom. Miałem nieprzyjemność kilkakrotnie z nich korzystać i za każdym razem czułem się tak, jakby w moim żołądku znalazł się kamień. Wyjątkowo niemiłe i niekomfortowe doznanie. Jestem przekonany, że nadmierne zaufanie do wind kiedyś się dla kogoś bardzo źle skończy.

Oby tylko tym kimś nie była Ala.

Ani tym bardziej ja.

Dzisiaj jednak nie pobiegłem do okna w sypialni. Ponownie zrzuciłem na podłogę koperty z rachunkami. Pacnąłem łapką w tę grubą, brązową i znów ją powąchałem.

Oprócz wcześniejszych aromatów poczułem coś jeszcze. Dyskretną woń cygar. Kojarzyłem ten zapach z mojego pierwszego domu, który Ala nie wiezieć czemu nazywa hodowlą.

Tak. Ta koperta jest zdecydowanie bardzo intrygująca.

## Rozdział 2. Duma i zakłaczenie

Krem z zielonych warzyw muśnięty obłoczkiem śmietany, aromatyczne placuszki z cukinii z purée ziemniaczanym i surówka z tartej marchewki, najśodszej, jaką można było dostać na pobliskim bazarku. A do tego na deser domowa szarlotka, przed podaniem podgrzana przez chwilę w piekarniku, żeby kulka lodów waniliowych roztopiła się na kruszonce.

Same obrzydlistwa. Ala miała szczęście, że dała mi do wylizania wieczko od pudełka śmietany, bo chyba z żalu musiałbym pójść spać w szufladzie z jej rajstopami. A oboje wiemy, że moja ukochana tego nie lubi.

W końcu przyszedł ON.

Aż mnie zemdliło na jego widok. Najchętniej pozbyłbym się kłaczka w pobliżu jego butów, ale żal mi było niedawno skonsumowanej śmietany. Ciągłe czułem jej smak w pyszczku. Na wszelki wypadek, by z niechęci do odrażającego indywiduum nie popełnić jednak tego wielkiego błędu, poszedłem do sypialni. Musiałem ochłonać.

Położyłem się na łóżku Ali, a dokładnie na poduszce, której nie używała, a na której czasem spał ON. Może nie powinienem głośno o tym wspominać, bo takie czyny nie są odpowiednie dla kota o moim pochodzeniu, ale ufam, że tego nikomu nie zdradzicie. Kiedy się umościłem na poduszce, to puściłem bąka. W poduszkę, rzecz jasna.

Nie wiem, ile spałem. Zbliżała się jesień, więc szybko się ściemniało. Obudził mnie bardzo głośny brzdęk. Zaalarmowany nietypowym odgłosem zerwałem się na równe łapki. Przez chwilę stałem nieruchomo i czekałem, aż moje serce przestanie tłuc się jak szalone w piersi. W końcu nie byłem już młodzieniaszkiem. Muszę o siebie dbać. Potem pogałem do kuchni, gdzie zostawiłem swoją ukochaną.

Na szczęście nic jej się nie stało. Opierała się plecami o lodówkę. Na jej twarzy niedowierzanie mieszało się ze złością. Czerwona,

jedwabna sukienka, którą włożyła, ponieważ nie kupiła nic lepszego, wymięła się od siedzenia. Faktycznie nie robiła teraz zbyt dobrego wrażenia. Ali było najwyraźniej wszystko jedno, bo nerwowo miętoliła w dłoni fałdę materiału. W życiu tego nie wyprasuje.

Nie skłamię, jeśli powiem, że atmosfera w kuchni była gęstsza od śmietany trzydziestkiszóstki.

– Frankfurt? – wycedziła moja ukochana.

Że kiełbaski? Frankfurterki? Gdzie?! Nabrałem głęboko powietrza, ale nie poczułem ich nęcącego, mięsnego zapachu. Do mojego nosa dotarł tylko aromat roztopiających się lodów waniliowych i ciepłej szarlotki. No cóż. Lodami nie wzgardzę, chociaż przyznam bez bicia, że wolałbym frankfurterki.

– Miałem ci o tym powiedzieć już tydzień temu – powiedział Witek, napychając się szarlotką.

Ja tymczasem wreszcie zobaczyłem, co mnie obudziło. Na podłodze leżał rozbity kieliszek, a czerwona plama rozlewała się po białej terakocie. Zerknąłem na Witka, który właśnie popijał wino. Czyli to musiał być kieliszek Ali.

– Wyjeżdżasz. I to najprawdopodobniej na zawsze – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – To miała być ta twoja wielka niespodzianka, którą mi od dawna zapowiadałeś?

Przestałem na moment wylizywać łąpkę i przeanalizowałem spokojnie to, co właśnie usłyszałem. Dla mnie to bardzo duża niespodzianka! Znakomicie, że się go pozbywamy z naszego życia! Trzeba to uczcić!

– Tak, a co myślałaś? – Dopił wino i zerknął tęsknie na butelkę stojącą w pobliżu Ali. Zignorowała jego niemą prośbę.

– Myślałam, że kupiłeś pierścionek i mi się wreszcie oświadczysz.

Po jej słowach zapadła cisza. Witek otwierał usta jak wigilijny karp, który kona w wannie z powodu braku tlenu. Przyznam szczerze, że mnie także zmroziło. Nie wyobrażam sobie, że ON mógłby z nami zamieszkać na stałe. Że musiałbym go widywać codziennie. Że jadłby z nami wszystkie posiłki. Siedziałby z nami na kanapie, kiedy oglądaliśmy telewizję.

A co gorsza spałby w naszym łóżku...

Bo jeśli on spałby w naszym łóżku, to gdzie spałbym ja?! Przecież gdy on nocuje, to zawsze mnie wyrzuca, bo przeszkadza mu, że na



niego patrzę.

– Alu... – wydusił w końcu Witek. – Naprawdę nie wiem, skąd ten pomysł przyszedł ci do głowy!

Wypuściła ze świsem powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Może stąd, że spotykamy się od pięciu lat? Co tydzień się u mnie stołujesz. Chodzę z tobą do łóżka. Jeżdżę z tobą do twoich rodziców na święta – wyliczała, zginając kolejne palce.

O tak, te święta zawsze były solą w moim oku. Nie mogła mnie ze sobą zabierać, bo rodzice Witka mieli skórzane kanapy. Phi. Raz je podrapałem i od razu wielkie halo. I tak były brzydkie i śmierdzące. Już dawno powinni je wymienić. Poza tym nie mogłem towarzyszyć Ali z powodu Karmelka. Psa rodziców Witka. W zasadzie trudno nazwać psem to dziwne, jazgocące coś. Był dwa razy mniejszy ode mnie. Przypominał mysz. Chyba żaden kot by się nie powstrzymał. Trochę go poturbowałem raz czy drugi... Przecież się wylizał.

A mogłem zadusić.

Przez to musiałem zostawać na święta u mamy Ali, babci Basi. Chociaż właściwie stwierdzenie „musiałem” jest krzywdzące. Babcia Basia jest kochana. Co prawda ma alergię na moją sierść i zapłakuje się prawie na śmierć, kiedy śpimy razem w łóżku, ale mnie ubóstwia. No i zawsze częstuje mnie wędliną ze swoich kanapek.

Tak więc po głębszym zastanowieniu, to jednak lubię jeździć do niej na święta. Nagle poczułem żal, że najwyraźniej te dobre czasy dobiegły końca.

Witek milczał. Chyba nie wiedział, co powiedzieć.

– No? Masz coś do powiedzenia? – wykrzyknęła Ala.

– Ja... szczerze mówiąc to nie.

Wskoczyłem na kuchenny blat i zacząłem wylizywać swoje klejnoty rodzinne. Spojrzenie Witka mimowolnie skierowało się w moją stronę. Nie dziwię się jego fascynacji. On zdecydowanie nie ma jaj, skoro nawet nie umie odpowiedzieć mojej ukochanej. Wysyłałem w jego stronę tyle niemej pogardy, ile tylko potrafiłem z siebie wykrzesać.

– I co teraz? Wyobrażasz sobie, że będziemy kontynuowali nasz związek na odległość? – zapytała.

– Myślałem, że się ucieszysz.

– Ucieszę się? Z czego? No powiedz mi, z czego? Z tego, że mój chłopak oświadcza mi, że wyjeżdża za tydzień do Niemiec i najprawdopodobniej już stamtąd nie wróci? Czy może z tego, że w jego tępym, małym mózdzku nawet przez chwilę nie zakiełkował pomysł, żeby mnie ze sobą zabrać?

Zaprzestałem toalety. Przemowa Ali wygrywała z moją niemą pogardą.

– Ale mówiłaś, że nie chcesz wyjeżdżać, bo masz tu mamę... – Usiłował się bronić.

– Ale zaproponować mogłeś! – wycedziła.

– Chyba trochę przesadzasz.

– Wynoś się.

– Słucham?

– Wynoś się, mówię! – Głos Ali zadrżał niebezpiecznie.

– Alutku...

– Nie Alutkuj mi tu teraz!

Czym prędzej wybiegłem z kuchni. Tak jak się spodziewałem, niebawem dobiegł mnie brzdęk szkła. Moja ukochana jest artystyczną duszą. Czy ten tępak spodziewał się, że zdoła się powstrzymać przed rzuceniem talerzem?

Zatrzymałem się w pół kroku. Kolejny brzdęk rozdarł ciszę. Ciekawe, czy rzuciła już talerzem z szarlotką. Nie obraziłbym się za kilka liźnięć lodów waniliowych.

– Naprawdę, nie wiem skąd przyszedł ci do głowy pomysł, że się oświadczę! – Witek zgrywał obrazonego. Jeszcze miał siłę pyskować. Najprawdopodobniej żaden z talerzy nie trafił bezpośrednio w niego.

Usiadłem na szafce tuż obok porannej poczty. Ala stanęła w drzwiach kuchni. Jej lekko poskręcane, bardzo gęste i grube blond włosy opadły na plecy, gdy misterna fryzura się rozpadła. Duży biust falował, kiedy oddychała gwałtownie. Moja kochana, moja Walkiria. Wyglądała, jakby miała się zaraz rzucić z gołymi pięściami na swojego byłego absztyfikanta.

Oby go zadusiła. Karmelka biorę potem na siebie.

– Wynoś się i nie wracaj.

– Nie zamierzam wracać. – Witek obraził się na dobre.

Włożył eleganckie, zamszowe półbuty i od razu skrzywił się z niesmakiem. W jednym był kłaczek w śmietanie, a w drugim zawartość mojego pęcherza. Niestety kłaczka nie starczyło na oba buty. Musiałem improwizować.

– Nasikał mi do butów! – poskarżył się.

Ala zdawała się go nie słyszeć. Gdzieś zniknęła ta cała jej piękna agresja. Jej miejsce zajęła rozpacz.

– Ja cię kocham, a ty...

– MIAU!!! – Poczujęm, że muszę to przerwać. Lepiej, żeby nie kończyła.

– To skandal. – Witek pokręcił głową i wyszedł.

Drzwi wejściowe do naszego królestwa trzasnęły. Nagle Ala zaczęła płakać. Nawet mnie zrobiło się przykro. Oczywiście nie ze względu na zerwanie z Witkiem. To akurat napawało mnie niezmierną radością. Było mi smutno, bo Ala płakała. Nie lubię, kiedy jest smutna.

Na dodatek zawsze wtedy robi się mokra na twarzy i chce się przytulać. A słone łzy nie są najlepszą odżywką dla mojego srebrnego, mięciutkiego futerka.

Zniknęła w kuchni. Usłyszałem, jak otwiera szafkę i wyciąga kieliszek. Po chwili dotarł do mnie odgłos nalewania. Spojrzałem na listy, na których usadziłem swój zgrabny zadek. Miauknąłem.

Bez reakcji.

Miauknąłem jeszcze raz.

Nadal nic.

Zrzuciłem na podłogę zalegającą korespondencję, a na dokładkę jeszcze pęk kluczy z metalowym brelokiem w kształcie kota. Brzdęk wreszcie wywabił Alę z kuchni.

– Lord! Przestań! – zawołała zirytowana.

Aż mi się sierść na grzbiecie zjeżyła. Przecież nie robię nic złego. Pomagam! No zobacz, proszę cię. Zobacz, ta koperta jest bardzo interesująca.

Moja ukochana odstawiła kieliszek wypełniony po brzegi czerwonym winem i schyliła się po rozrzucone listy. Podniosła się z wysiłkiem. Przez chwilę ważyła korespondencję w dłoni. W końcu głośno westchnęła, złapała kieliszek i ruszyła z powrotem do salonu. Szybko pognałem za nią.

Usiadła na kanapie i zaczęła po kolei otwierać koperty. Nie mogłem wytrzymać z ekscytacji. Jak na złość list, który chciałem poznać, znajdował się na spodzie sterty umów, rachunków i reklam.

Na szczęście Ala dotarła do brązowej koperty. Jednak zamiast ją od razu otworzyć, zważyła ją w dłoniach i westchnęła.

– Wiesz, co to jest, mój koteczku? – zapytała i położyła kopertę na niskim stoliku kawowym, tuż obok mnie.

Niestety nie wiem, a ty nie chcesz otworzyć.

Ala wstała i poszła do kuchni. Usłyszałem, jak znowu napełniła kieliszek alkoholem. Pusta butelka zadzwoniła o dno kosza na śmieci. Chyba dopiero teraz jej się przypomniało, że zostawiła na stole porzucone talerze, a na podłodze odłamki kieliszka, którym w emocjach rzuciła o terakotę. Zaczęła zamiatać. Jednostajne szur-szur zmiotki doprowadzało mnie do szału. Nie doczekam się. Najwyraźniej nie będzie mi dane poznać sekret drogiej koperty.

Zdążyłem usnąć na stole, zanim wróciła. Kiedy wreszcie ponownie zasiadła na kanapie, uchyliłem jedno z moich bursztynowych ślepi i posłałem jej pełne pretensji spojrzeenie.

Nawet nie zauważyła. Przebrała się już w piżamę, a włosy związała na czubku głowy w, jak to sama nazywała, bałaganiarski węzeł. Ziewnąłem i przeciągnąłem się. Strzeliło mi w kilku stawach. Starość nie radość. Pewnie powinienem się więcej ruszać.

No cóż. Może jutro.

Albo pojutrze.

Ala postawiła na stole miseczkę z roztopiającymi się lodami. Liznąłem kilka razy na próbę. Była już chyba w dobrym humorze, bo mnie nie skrzyczała.

Już straciłem nadzieję, ale sięgnęła w końcu po kopertę.

– To list – szepnęła do siebie.

Wskoczyłem na kanapę i przytuliłem się do jej uda. Zniknęła woń perfum, którymi skropiła się specjalnie dla Witka. Został tylko zapach mydła i jej skóry.

Najlepszy zapach.

Czasami, kiedy długo nie wracała do domu, wskakiwałem do łóżka i przytulałem się do jej poduszki albo do piżamy. Dużo lepiej mi się wtedy spało. Udawałem, że nieprzerwanie jest obok mnie.

Rozerwała papier. Koperta wylądowała na podłodze. Ala rozprostowała złożone kartki. Było ich bardzo dużo.

– Hm... – mruknęła zaskoczona. – Czyżby?

Co?!

– Kotku, wygląda na to, że się dostałam!

Ale gdzie?

Moja ukochana zaczęła się śmiać jak szalona. Po jej twarzy pociekły łzy. Zdumiało mnie to tak, że nie wiedziałem, jak powinienem się zachować.

– Zgłosiłam się dla żartu. Nie sądziłam, że się zakwalifikuję. Przecież Witek miał mi się oświadczyć. Nie mogłabym wyjechać na kilka miesięcy i go zostawić. To byłoby nieludzkie! Zakochani tak nie robią.

Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiałem. Pozwoliłem jej się bezmyślnie głaskać po głowie, bo chyba bardzo tego potrzebowała.

– To konkurs, Lordzie – wyjaśniła.

A wygraliśmy?

– Jest taki człowiek, bardzo bogaty...

Zaczyna się dobrze.

– Mieszka w okazałej rezydencji i bardzo interesuje się sztuką. Chociaż to chyba za mało powiedziane. Sztuka to całe jego życie. Był marszandem. Handlował obrazami, głównie za granicą.

Wyznam, że trochę się wyłączyłem. Nie za bardzo interesują mnie życiorysy obcych.

– Dużo ludzi go nie lubi. Podejrzewają, że po wojnie kradł i wywoził z Polski dzieła sztuki za granicę. Kto go wie? Pewnie nawet to robił. Przecież wszyscy chcieli się szybko wzbogacić.

To może my coś zaczniemy kraść, skoro to tak świetnie działa? Przydałoby nam się trochę gotówki, moja droga.

– Od końca wojny wiele dzieł sztuki wciąż znajduje się na liście zaginionych. Choćby dzieła Kossaka, Malczewskiego, a nawet Rafaela. Nie wiadomo, co się z nimi stało. Albo zostały zniszczone, albo ktoś je ukradł dla zagranicznych pasjonatów sztuki. Być może to był nawet on. Nazywa się Stefan Śmietański.

Śmietana? Znaczy, że jemy? Przebudziłem się nagle ze stuporu, w który wpadłem, kiedy mówiła o jakichś marszczonkach. A może marszandach? Jeden burek.

– Nie ma dzieci ani żadnych bliskich krewnych – mówiła dalej, przeglądając dokumenty. Na stole wylądowało pismo z wielkim napisem „Gratulacje”. – Postanowił, że stworzy specjalne stypendium, a w zasadzie konkurs. Zwycięzca zostanie jego spadkobiercą. Artyści musieli przysłać mu swoje prace, a do tego krótką informację o własnym dorobku. On miał wybrać dziesięć osób, które zaprosi do swojej rezydencji.

Zacząłem wylizywać łapkę. Trochę się pogubiłem. To znaczy, że już dostaliśmy tę jego fortunę zbitą na kradzieży czy jeszcze nie?

– Jestem jedną z tych dziesięciu osób. Powiem ci, Lordzie, że zupełnie się tego nie spodziewałam. Przecież jestem tylko ilustratorką książek dla dzieci. Żadna ze mnie artystka! W ogóle nie powinnam była wysyłać swoich prac.

Mgliście sobie przypominałem teraz, że faktycznie pół roku temu pakowała niemal w histerii kilkanaście płócien, które się poniewierały po naszym mieszkaniu od niepamiętnych czasów, jedno bardziej depresyjne i przytłaczające od drugiego. Nigdy ich nie lubiłem. Myślałem, że idą na śmietnik. Zdecydowanie wolałem, jak rysowała małe kotki i króliczki. To było słodkie i takie optymistyczne.

A tamte obrazy przepęśniał... no cóż... ból. Malowała je po śmierci ojca. Zdołała przelać na płótna całą swoją depresję. Dopiero po skończeniu ostatniego, dwunastego obrazu moja kochana Ala wróciła do żywych.

Jeśli jednak te dwanaście szkaradztw miałyby nam zapewnić majątek i godną nas rezydencję, to nie mam nic przeciwko. Możemy je nawet powiesić w holu. Albo w garażu na nasze zabytkowe auta.

Och, a czy będziemy mieć służącego o imieniu Jan? Zawsze chciałem mieć Jana! Przydałby się nam. Alu, nie musiałybyś wtedy sama zamiatać.

Zaraz, zaraz. Dopiero teraz to do mnie dotarło. Skoro jesteś jedną z dziesięciu osób, to znaczy, że jeszcze nie dostaliśmy spadku, tak?

To bardzo, bardzo zła wiadomość.

– Zupełnie zapomniałam o tym konkursie! – Westchnęła ciężko. – Po pierwsze, nie sądziłam, że się zakwalifikuję, a po drugie... myślałam, że Witek mi się oświadczy. Wtedy wyjazd na kilka

miesiący do rezydencji Śmietańskiego byłby nie fair wobec niego. No cóż... aktualnie mogę się o to nie martwić.

Witek śmitek. Parsknąłem zniecierpliwiony. Pytanie brzmi raczej: co powinniśmy zrobić, żeby wyślizgać innych artystów ze spadku?! Jestem przekonany, że pan Stefan będzie zachwycony Alą i mną. Na pewno rozpozna w nas koneserów sztuki godnych jego majątku. Nie można wprawdzie wykluczyć, że poza nami znajdzie się tam co najmniej jeden równie silny gracz.

Trzeba się go będzie wtedy pozbyć albo chociaż nasiusić mu do farb. Jestem gotów się poświęcić.

– Muszę tam zadzwonić.

Ala wzięła do ręki list z gratulacjami.

– Mam nadzieję, że nie będą mieli nic przeciwko i pozwolą mi cię zabrać ze sobą.

Plany ewentualnego morderstwa natychmiast wyparowały mi z głowy. Ale jak to? Mogą mnie nie chcieć?

MNIE?!

## Rozdział 3. Moje wielkie kocie wakacje

Zadupie. Kompletne zadupie, jeśli chcecie znać moje zdanie. Na razie oglądałem posiadłość pana Śmietańskiego z za krat więzienia, to znaczy transportera dla kotów. Nie zrobiła na mnie piorunującego wrażenia. Dom, a w zasadzie dworek, był całkiem uroczy, przyznaję, choć nie wyglądał jak typowy dwór polski z jednym piętrem i strychem. Wiem doskonale, jak wyglądają takie dworki, bo Ala zawsze fantazjowała, że kiedyś moglibyśmy w czymś takim zamieszkać, i często je malowała.

Podobno jakiś jej znajomy Tadeusz z Soplicowa takowy posiadał. To chyba daleki znajomy, bo nigdy go nie odwiedziliśmy. Chociaż może to i dobrze. Podobno jakąś Telimenę oblażył u niego mrówki. Nie lubię mrówek. Są bardzo twarde i gorzkie. Na dodatek potrafią ugryźć w język.

Dworek Śmietańskiego bardziej przypominał stare, ponemieckie budowle. Był dość rozległy, cały murowany. Miał piętro i strych. Od głównej bryły budynku odchodziły na boki dwa ciut niższe skrzydła. Okna przebijały dach w kilku miejscach. Mieścił chyba całkiem sporo pokoi. Nad głównym wejściem znajdował się prostokątny balkon, po którego bokach, aż do samej ziemi, schodziły drewniane pergole z krzewami róż.

Niemniej dworek zdecydowanie wymagał odnowienia. Jak na kogoś, kto lubi malarstwo i kontakt z farbami, to właściciel pojęcia nie miał o regularnym odmalowywaniu elewacji. Trzeba mu jednak przyznać, że teren dookoła posiadłości był zadbany.

Do budynku prowadziła pełna dziur i kolein, prawie pięciokilometrowa szutrowa droga przez las, który należał do majątku. Ala coś tam szemrała o odśnieżaniu, ale puściłem to mimo moich spiczastych uszu.

Przecież od odśnieżania będziemy mieli „Jana”. „Jan” na pewno wchodzi w skład spadku. Bez „Jana” spadek się nie liczy.

Mimo zaniedbanego dojazdu do domu, trawnik był równo przycięty, a drzewa rosły w rozsądnych odległościach, przynajmniej



w niewielkim parku w bezpośrednim sąsiedztwie domu. Nigdzie nie widziałem żadnych kwiatów. Chociaż to może dlatego, że był już późny październik. Za posiadłością stała stodoła przerobiona na olbrzymi garaż. Tam, co prawda, jeszcze nie zajrzeliśmy, ale na pewno stały w niej same zabytkowe auta warte grube miliony. Innych budynków nie widziałem, bo dworek wszystko zasłaniał.

Tak, zdecydowanie to dom na naszym poziomie. Nie mogę się doczekać, kiedy zamieszkamy w nim na stałe.

Zezowałem przez kratkę w transporterze, usiłując jak najlepiej przyjrzeć się przeciwnikom mojej ukochanej. Długo się przygotowywaliśmy do przyjazdu. Przez ostatnie dwa miesiące Ala codziennie malowała jak szalona. Mam wrażenie, że oboje non stop byliśmy odurzeni zapachem benzyny i terpentyny. Poza swoimi ulubionymi akwarelami próbowała wszystkiego, co tylko mogło zwiększyć naszą szansę na wygraną.

Ja oczywiście też nie próżnowałem. Pomagałem, jak mogłem. A dokładniej mówiąc – nie przeszkadzałem i schodziłem jej z drogi, kiedy biegła w amoku po mieszkaniu.

Nie zabrała ze sobą żadnych prac. Taki był wymóg pana Śmietańskiego. Uczestnicy konkursu mogli wziąć ze sobą tylko pędzle i materiały, z których tworzą. Do tego po jednej walizce z rzeczami osobistymi.

W drodze wyjątku pozwolono Ali zabrać mnie ze sobą, a jakiejś innej dziewczynie wydano zgodę na przywiezienie papugi. Całe szczęście! Nie wyobrażam sobie, że ten konkurs mógłby mnie ominąć. Poza tym jestem mojej ukochanej bezwzględnie potrzebny. Beze mnie jej zdrowie psychiczne jest zagrożone.

Jeszcze mocniej wbiłem pyszczek w metalową kratkę. Tak! Wreszcie dostrzegłem klatkę przykrytą aksamitem. Kobieta, która ją trzymała, swoją drogą sama przypominała papugę. Niechlujne dredy na jej głowie, które wyglądały na niemyte od wieków, ufarbowano we wszystkie kolory tęczy. Utkwiłem spojrzenie w klatce. Niestety na nic się to nie zdało, bo narzutka skutecznie zasłaniała zawartość.

Ciekawe, jak smakuje papuga? Jadałem często pasztety z indyka i kurczaka dla kotów. Czy papuga smakowała podobnie? Bardzo mnie to zafrapowało. Mam nadzieję, że będzie mi dane się o tym jak najszybciej przekonać.

– Dzień dobry! Proszę o uwagę!

Niespodziewany krzyk mnie wystraszył. Podskoczyłem w transporterze, przez co Ala o mało co mnie nie upuściła.

– Ciii, Lord, spokojnie! – syknęła.

Ależ ja jestem całkowicie spokojny. Przecież to nie ja krzyczałem.

Na dziedzińcu, przed dębowymi, podwójnymi drzwiami wejściowymi stanął stary, ale bardzo wysoki i bardzo mocno umięśniony mężczyzna. Przypominał byłego boksera, któremu ktoś wielokrotnie złamał nos.

I zuchwę.

I lewą kość jarzmową.

I oczodół.

A raczej oba oczodoły.

Miał też podejrzenie asymetryczne małżowiny uszne. Jedna wyglądała, jakby została przez kogoś nadgryziona.

Mówiąc krótko: straszny facet.

Dodatkowo jego twarz była bardzo głęboko pobrużdżona i jakaś taka poźółkła. Moja Ala też miała już pierwsze zmarszczki, które doprowadzały ją do hysterii niemal każdego ranka, ale to były zmarszczki od częstego uśmiechania. Zmarszczki mężczyzny nijak nie pokrywały się z bruzdami, które pojawiły się na jego twarzy, kiedy się do nas uśmiechnął. A uśmiechnął się nieszczerze, jak chciałyby zauważyć. Ponadto zademonstrował nam też okrutne wręcz braki w uzębieniu. Nie miał kłów. W obu tych miejscach ziały czarne dziury.

Jak on rozszarpuje mięso? Czyżby był weganinem? Wanianinem? No tym dziwnym człowiekiem, który nie je mięsa, czego ja, kot, zupełnie nie rozumiem.

– Ale zakazana mordą... – rozległ się gdzieś za naszymi plecami teatralny szept.

Chyba dotarł do ponurego mężczyzny, bo zmierzył nas ostrym spojrzeniem czarnych oczu, od którego nawet ja poczułem dreszcze na plecach.

– Nazywam się Jan Kowalski – oświadczył eksbokser ochrypłym głosem.

Przyznaję szczerze, że przez chwilę nie mogłem się pozbierać. To jest „Jan”? Myślałem, że „Janowie” są zwykle bardziej... no cóż...

dystyngowani. Sądziłem, że nasz „Jan” będzie miał równo przycięty wąsik, ulizane na żel włosy i cały czas będzie chodził w liberii. A ten Jan miał na sobie brudną dzinsową kurtkę, szary podkoszulek i bure spodnie, które od wieków nie widziały pralki.

– Ale macie zwracać się do mnie „proszę pana” – dodał. – Ewentualnie „panie Janie”.

W tłumie przebiegł szmer przyciszonych głosów. Chyba wszyscy byli równie jak ja zniesmaczeni jego wyglądem. Za przeproszeniem, ale on nijak nie pasował do rezydencji pełnej dzieł sztuki.

– Jestem tu dozorcą, a nie waszym służącym. – Splunął na chodnik obok siebie. – Jak czegoś będziecie potrzebować z miasta, to sami macie sobie tam pojechać. Ja jeżdżę tam raz w tygodniu, w piątki, odebrać zakupy. Mogę ze sobą zabrać maksymalnie trzy osoby, ale nie będę na was czekał. Jak zdążycie załatwić swoje sprawunki, kiedy będę odbierał zamówienie, to zabiorę was z powrotem. Jeśli nie, to będziecie szli trzydzieści kilometrów na piechotę. Tu nie jeżdżą żadne autobusy.

O tym to akurat się już z Alą przekonaliśmy. Nie mamy samochodu. Koleżanka Ali podwiozła nas na przystanek PKS-u. Poza mną moja ukochana zabrała sztalugi, farby, pędzle i inne niezbędne jej narzędzia. Śmietański niby zapewniał w liście, że wszystko będzie na miejscu, ale obawiała się, że nie będzie jej wygodnie pracować na obcym sprzęcie.

Jazda PKS-em do najprzyjemniejszych nie należała. Zwłaszcza z taką ilością bagażu. Ala jest wysoka, ma bardzo długie nogi. Ledwie jej się mieściły między fotelami. A przecież jeszcze musiała trzymać na kolanach moje więzienie z jakże cenną zawartością.

Znaczy mną.

Jest mi trochę głupio, bo nie uprzyjemniłem jej naszej podróży. Przez cały czas miauczałem. Ale co mogę na to poradzić? Boję się pojazdów. Jest w nich strasznie głośno. Poza tym nasz sąsiad śmierdział cebulą. Miałem nadzieję, że jeśli będę nieznośny, to się przesiądzie. Skąd miałem wiedzieć, że miejsca są numerowane i że nie wolno ich zmieniać?

PKS przyjechał do sąsiedniego miasteczka. Potem zaczęły się schody. Okazało się, że nie mamy jak dostać się do dworku Śmietańskiego. Stalibyśmy nadal jak ostatnie sieroty na przystanku,

gdyby nie wielki, rudy i brodaty facet, który zatrzymał samochód i spytał, czy może nam jakoś pomóc.

Wielce podejrzane, jeśli chcecie znać moje zdanie. Od razu pomyślałem, że to musi być jakiś zboczeniec albo morderca.

Miał półciężarówkę. Z tyłu, na otwartej pace, stała przywiązana do drewnianej burty samochodu koza. Łaciata. Biało-ruda. Na moje oko niezbyt inteligentna, a na pewno przerażająca. Miała dziwne oczy z poziomymi źrenicami. Każdy kot przecież wie, że pionowe źrenice są normalne. Poziome są dziwne. Patrzyła się na nas kompletnie bezmyślnie i cały czas coś przeżuwała. Gdy otworzyła szerzej paszczkę, okazało się, że międli czapkę z daszkiem.

No szalona, bez dwóch zdań!

Kierowca także nie wzbudził mojego zaufania. I to wcale nie dlatego, że był rudy jak jego koza. Nawet przewożenie tego nieszczęsnego zwierzęcia mnie nie zdziwiło. Najbardziej się zaniepokoiłem, gdy dostrzegłem, że miał na bokach auta napisane: „Weterynarz Robert”.

Jak nic jakiś zboczeniec.

Albo, co gorsza, prawdziwy weterynarz.

Tyle dobrego, że podwiózł nas i wszystkie nasze graty. Niestety, byłem tą jazdą tak zdenerwowany, że nie potrafiłem skupić się na jego rozmowie z Alą. Wiem tylko, że Ala wysiadła w wyśmienitym nastroju i z podejrzanym zaczerwienionymi policzkami.

Może też zaniepokoiły ją oczy tej kozy.

– Czy wszyscy zrozumieli, że nie jestem waszym taksówkarzem? – wycedził pan Jan.

Grupka artystów niemrawo potwierdziła.

– Teraz będę was po kolei wyczytywał z listy – oświadczył zimnym głosem. – Wyczytana osoba ma do mnie podejść z dowodem osobistym.

– Człowieku, nie masz prawa nas legitymować! – wykrzyknął jakiś ogolony na łyso młodzian i wziął się pod boki.

– Jeśli się nie podoba, to może pan skierować się do bramy. Żegnam.

Młodzian przestał narzekać. Sapnął tylko z irytacją. Za to jedna z kobiet wpadła w histerię.

– Ale ja nie zabrałam dowodu! – krzyknęła.

– W takim razie jestem zmuszony poprosić panią o opuszczenie terenu rezydencji – skwitował dozorca.

– Ale jak to?! Tak nie można! Mam legitymację studencką. Ona nie wystarczy? – usiłowała dyskutować.

– Nie. Ma być dowód osobisty.

– A prawo jazdy?

– Nie.

– To co teraz?! – Rozpłakała się.

– Zostaje mi tylko panią pożegnać.

– Ale to niesprawiedliwe!

– To pani zdanie.

Rozhisteryzowana dziewczyna odeszła na bok i zaczęła gdzieś dzwonić. Miała niestety problem z zasięgiem, więc porzuciła swoje bagaże i z uniesioną ręką, w której dzierżyła wściekle różowy telefon komórkowy, ruszyła szutrową drogą w stronę bramy.

Przez dłuższą chwilę słyszeliśmy jej popłakiwanie.

– Konrad Adamski! – Tymczasem dozorca zajął się wyczytywaniem osób z listy. – Mural<sup>1</sup>, aerografika<sup>2</sup>, kreda oraz... krew.

Tyczkowaty blondyn z uśmiechem od ucha do ucha podszedł z dowodem do pana Jana. Chociaż Konrad był bardzo wysoki, to jednak, gdy pokonał kilka schodków i stanął na ganku obok dozorca, okazało się, że jest od niego niższy o dobre trzydzieści centymetrów.

– Fuj. Malować krwią. Słyszalesz kotku? – szepnęła moja ukochana.

Że co? Fuj, że maluje krwią? Ja tam się z tego cieszę. Taki anemiczny ten Konrad. Czyżby malował swoją własną? To jest nadzieja, że się wykrwawi zupełnie, zanim konkurs dobiegnie końca i sam się wyeliminuje.

– Zuzanna Lubieńska. Oleje<sup>3</sup>, akryl<sup>4</sup> oraz nowe action painting<sup>5</sup>.

Niziutka blondynka z wysoko uniesioną brodą wspięła się po schodkach.

– Emil Laurentowicz. Pastele<sup>6</sup>, suchy pędzel<sup>7</sup>, rysunek węglem<sup>8</sup>.

Wąsaty chudzielec z burzą loków na głowie podał dowód osobisty panu Janowi.

– Sebastian Tan. Grataż<sup>9</sup>, gwasze<sup>10</sup> oraz fresk<sup>11</sup>. – Łysy facet, który wcześniej próbował się kłócić, teraz potulnie wszedł na ganek.

– Claudia Struwińska. Oleje, tempera<sup>12</sup>, malowanie na szkle.

Kolorowa właścicielka papugi podniosła klatkę.

– Zwierzę? – zapytał pan Jan.

– Moja papuga. Zgłosiłam we wniosku chęć zabrania ptaka. Dostałam zgodę – odparła wyniośle.

– Tak – wycedził niezadowolony. – Dowód proszę.

Wykręciłem się w transporterze, żeby zobaczyć, czy panna, która zapomniała dokumentów, jeszcze kręci się w pobliżu. Zniknęła. Chyba musiała odejść dość daleko. Jest szansa na to, że zgubi się w lesie i tym sposobem sama się wyeliminuje.

– Sandra Kucharczyk. – Pan Jan tonem sierżanta wywołał kolejną uczestniczkę.

Wytatuowana dziewczyna, która stała tuż obok nas, ruszyła powoli w stronę schodków. Przy każdym kroku brzęczały dziesiątki kolczyków, które miała w uszach, nosie, brwiach, a nawet brodzie.

– Witrochromia<sup>13</sup>, impast akrylami<sup>14</sup> oraz sangwina<sup>15</sup>. Eryk Ericsson. Oleje, sztych<sup>16</sup> oraz rzeźba.

Wysoki mężczyzna zmierzał w kierunku pana Jana. Przypominał wikinga, a dokładniej takiego wielkiego, tępego, zawsze noszącego w filmach ze sobą młotek chłopa, w którym się Ala podkochiwała.

I, jak na mój koci rozum, był z tym młotkiem w jakimś takim niezdrowym związku. Wierzcie mi.

– Paweł Grzegorzczak. Grafika użytkowa, w tym grafika komputerowa<sup>17</sup>, a także rysunek węglem.

Czarnowłosa, przeraźliwie chudy mężczyzna z ogromnym nosem niemal biegiem zerwał się w stronę dozorczy. Teraz na podjeździe została tylko Ala.

I ja, oczywiście.

– Alicja Nawrocka. Akwarela<sup>18</sup>... i kot.

Transporter zadrżał w dłoniach mojej ukochanej. Bardziej poczułem, niż zobaczyłem emocje, które właśnie nią targnęły. Nie pytajcie, skąd wiem, czego Ala doświadcza. Po prostu to wiem. Najpewniej nasze dusze są ze sobą połączone. W końcu jest między nami prawdziwa miłość, czyż nie?

Ogarnęło mnie przemożne wrażenie, że Ala się wstydzi. Było jej przykro, że po nazwiskach innych uczestników konkursu pan Jan wyczytywał dużo niezrozumiałych dla mnie słów, a po jej nazwisku padła tylko jedna nazwa. Nie pojmuję jej zdenerwowania. Przecież maluje akwarelami i jest w tym naprawdę dobra. To bardzo trudna technika, bo nie można w niej niczego poprawiać.

Po co miałyby zajmować się czymś jeszcze? Przecież jeżeli coś jest do wszystkiego, to jest do niczego. Lepiej się wyspecjalizować.

Ja jestem na przykład specjalistą w ostrzeniu pazurów na fotelu. Nie umiem tego robić na żadnym z fikuśnych drapaków, które mi kupiła. Tylko zagłówek fotela pozwala mi zadbać prawidłowo o stan moich pazurków. Czy narzekam z tego powodu, że nie umiem korzystać z drapaków?

Nie.

Czy Ala z tego powodu narzeka?

Tak. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie docenia artysty, z jakim drę oparcie. Zrobiłem na nim piękne dziury. Jak od linijki.

Poza tym chciałbym zauważyć, że oprócz niej nikt nie maluje farbami wodnymi. Słuchałem uważnie. Używają chyba wszystkich innych możliwych technik, ale nie tej. To prawdopodobnie znaczy, że mamy spore szanse na wygraną. Na pewno Śmietański będzie zauroczony jej ilustracjami przedstawiającymi małe kotki. Są przecież prześliczne.

Konrad od krwi uśmiechnął się kpiąco, gdy stanęliśmy obok niego.

– „Ala ma kota”? – zakpił.

Moja pani nie skomentowała. Udała, że nie słyszy.

Tymczasem pan Jan złożył starannie listę i schował ją do kieszeni. Zerknął na drogę dojazdową, na której nie było widać dziewczyny bez dowodu osobistego. O tym, że w ogóle istniała, świadczyła tylko i wyłącznie jej różowa walizka na kółkach, sztalugi i torba z farbami, które porzuciła na podejździe, szukając zasięgu.

– Jak widzę, pani Ewa Kołodziejczyk nie dostarczyła na czas dokumentów, wobec czego zostaje w tym momencie skreślona z listy uczestników konkursu – oświadczył i uśmiechnął się ponuro pod nosem, jakby sprawiło mu to osobiście ogromną przyjemność. – Gratuluje. Mają państwo o jedną rywalkę mniej.

- I zajebicie – skwitował Konrad i także się uśmiechnął.
- Pokażę teraz państwu wasze pokoje. Proszę za mną. Macie chwilę, żeby się odświeżyć. Kolacja o dziewiętnastej.



## Rozdział 4. ArysKOTrata

Nasza sypialnia wyglądała całkiem przyzwoicie. Chociaż chyba to mało powiedziane. Nasza nowa sypialnia była zdecydowanie nas godna. Wszystko mi się w niej podobało.

Większość przestrzeni zajmowało olbrzymie podwójne (a może nawet potrójne) łóże. Miało drewniane, rzeźbione kolumny, na których niegdyś był zapewne rozwieszony baldachim. Teraz niestety sterczały tylko smutnie i wskazywały ostrymi czubkami na sufit. Obity ciemnofioletowym materiałem zagłówek zajmował niemal pół ściany. Do łóżka wchodziło się po trzech schodkach. Byłem tym meblem zauroczony. Już nie mogłem się doczekać, kiedy rozłożę się na nim niczym król.

Trochę mnie tylko martwi, czy się w nocy z Alą w nim odnajdziemy. Zawsze śpię przytulony do jej ręki, szyi lub twarzy. Mam nadzieję, że nie będziemy się podczas snu niechcący rozdzielać.

Innych mebli nie było dużo. Obok okna stało niewielkie biurko, a w zasadzie sekretarzyk z kilkoma sprytnie poukrywanymi szufladami. Ala zawsze chciała mieć coś takiego. Zajrzała z ciekawości do skrytek, ale okazały się puste.

Do biurka dosunięte było bardzo ciężkie krzesło obite tym samym fioletowym materiałem co zagłówek. Ponieważ na dębowym, jęczącym ze starości parkiecie położono gruby dywan pachnący kurzem i myszami, bardzo trudno było odsunąć krzesło od blatu.

Bogato rzeźbiona dębowa szafa stała na lwich łapach.

– A Narnia gdzie? – zapytała Ala, zaglądając do środka.

Magicznej krainy z baśni nie znalazła, za to wnętrze mebla było tak obszerne, że nie zdziwiłbym się, gdyby odpowiedziało jej echo.

Ostatnim meblem, według mnie najciekawszym, był stary fotel z lekko wytartymi podłokietnikami. Lubię fotele. Na ich widok aż mnie świerzbą pazury.

– Lord, tknij tutaj cokolwiek, a odwiozę cię do mojej mamy.

Udałem, że nie słyszę, i usiadłem na fotelu. Twardy. I jakoś tak dziwnie pachniał. Gospodarzowi wyszłoby na zdrowie, gdybym go zniszczył, moja droga.

Ściany pomalowano na ciemną zieleń, ale ledwie było widać ten kolor. Właściwie wszędzie wisiały bowiem obrazy w ozdobnych, złotych ramach. Od podłogi do sufitu! Naprawdę! Duże ryzyko oczopląsu. Na szczęście wszystkie obrazy były olejne i bardzo ponure. Dominowały czerń, brąz i szarość. Tylko te błyszczące w świetle lampy ramy dawały po ślepiach.

Ciekawe, czy to prawdziwe złoto?

Dwa wysokie okna, które wpuszczały do środka blade, jesienne słońce, były odrobinę nieszczelne. Każde skrzydło dzieliło się na kilkanaście małych szybek połączonych szprosami, a przez ich łączenia przeciskał się chłodny wiatr. To pewnie dlatego z karniszy zwieszały się grube, aksamitne zasłony. Miały izolować wnętrze. Podobały mi się te zasłony.

Czym prędzej zeskoczyłem z fotela i otarłem się o aksamit. Włoski z mojego wiecznie liniejącego według Ali futra zostały na ciemnozielonym materiale. Teraz te zasłony są moje.

Jestem oczarowany naszą sypialnią. Nie chcę wcale wracać do mieszkania. Poza tym mam podejrzaną wrażliwość, że jest ono mniejsze od tego pokoju.

– Lordzie, jeśli chociaż jednym pazurkiem zadrapiesz cokolwiek, to się do śmierci nie wypłacimy naszemu gospodarzowi – sapnęła przestraszona Ala, dotykając kolejnych obrazów.

Przeciągnąłem się po zbyt długim pobycie w transporterze i spojrzałem na nią z wyrzutem. Po pierwsze, to nie będziemy musieli niczego spłacać, bo to wszystko przecież będzie nasze. Cały ten konkurs to w końcu jedna wielka formalność. A po drugie, to nie jestem głupi. Będę drapał tam, gdzie nie widać. Nie chcę niszczyć tego pięknego wnętrza. Podoba mi się tutaj.

No, chyba że fotel. On i tak jest zdecydowanie do wyrzucenia.

Ala położyła się na łóżku. Westchnęła z przyjemnością i wyprostowała nogi. Wskoczyłem na pościel obok niej. Łoże faktycznie było zacne. Stopy mojej ukochanej zwykle wystawały poza krawędź. A tutaj nie brakowało na nie miejsca. I pozostawało sporo luzu.

– Oj Lord... wydaje mi się, że nie mam zbyt wielkich szans! – Schowała twarz w dłoniach.

Bzdura. Mamy największe szanse. Stuknąłem ją głową, żeby przestała opowiadać takie dyrdymały.

– Widziałeś ich? Oni są... tacy... artystyczni! – biadoliła dalej.

Przewróciłem oczami. Moim zdaniem to nie była zaleta. Z nich wszystkich tylko my wyglądaliśmy normalnie, ewentualnie jeszcze ten ogolony łysol. Pozostali sprawiali wrażenie, jakby uciekli z cyrku.

Wiem, że większość artystów ma pewne... jakby to subtelnie ująć... hm... chyba się nie da. A więc większość artystów ma przewracane we łbach. Według mnie. Czy to wada? Trudno powiedzieć. Oczywiście jest to jakąś wadą w codziennym życiu, ale na pewno nie jeśli chodzi o spuściznę, którą pozostawiają dla ludzkości.

Taki na przykład van Gogh. No miał jakiś problem ze sobą. Zdecydowanie.

Za to malował bardzo ładnie. U nas w domu wisi kilka jego reprodukcji. Podoba mi się, że w jego sztuce widać szaleństwo, które nim targało.

Ala nie jest szalona. I znowu pytanie – czy jest to wada? Może szaleństwo pozwoliłoby jej lepiej realizować się w sztuce. Z drugiej strony wolę, żeby moja ukochana nie obcinała sobie żadnych części ciała. Zgadzam się jedynie na obcinanie paznokci i włosów. Chociaż akurat włosów to trochę żal. Ma gęste blond loki, których nigdy nie potrafi okiełznać. Uwielbiam je. Tworzą pełen tajemnic, cudowny kołtun.

– Wystawię się na pośmiewisko! – Teraz już płakała na całego.

Wtuliłem się w jej szyję i zacząłem ugniatać takie miękkie miejsce pod jej prawą pachą. Łzy rozżalenia natychmiast zamieniły się we łzy bólu. Poczzerwieniała i w jednej chwili zapomniała o smutku.

I o to chodziło.

– Oj, Lord! Chyba muszę ci obciąć pazurki.

Nie, nie musisz. Wydaje ci się. Przytuliłem się do jej twarzy, zmuszając ją, żeby zamknęła oczy. I usta, przy okazji. Lekko podduszona poddała się i, co najważniejsze, zapomniała o obcinaniu pazurów.

Nie leniuchowała długo, zerwała się z łóżka i zaczęła szykować do kolacji. Zmieniła ubranie i związała włosy w węzeł na karku. Nawet zrobiła sobie makijaż, co nie zdarzało się jej często.

Moim zdaniem można się było w niej zakochać.

– Lord, ty zostaniesz tutaj i będziesz grzeczny. Rozumiemy się? Nie zniszcz niczego, błagam cię!

Siedziałem pokornie przy miseczce, do której nałożyła mi pasztet z gęsi, i patrzyłem, jak wychodzi. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, ruszyłem na samodzielne zwiedzanie sypialni. Już miałem wskoczyć ponownie na łóżko, kiedy zrozumiałem, że popełniłem ogromny błąd. Przecież nie należy rozpoczynać takich ekscytujących wypraw na głodniaka.

Zjadłem błyskawicznie pasztet i walcząc z sennością, która zawsze ogarniała mnie po posiłku, wróciłem do zwiedzania. Z pełnym brzuchem nie chciało mi się już wskakiwać na łóżko. Nawet mimo trzech schodków było trochę za wysokie. W związku z tym postanowiłem zajrzeć pod sięgającą podłogi narzutę.

Pod łóżkiem rozpościerała się ogromna przestrzeń pełna kurzu. Trochę mnie to zniesmaczyło, ale równocześnie moim oczom ukazało się coś, co zdecydowanie rekompensowało tę drobną niedogodność. Jakiś geniusz projektowania wnętrz (i mówię to tylko z częściową ironią) na ścianie pod wezłowiem umieścił kratkę wentylacyjną. Która trzymała się na jednej śrubce.

A za tą kratką był raj. Dokładniej zaś mówiąc, kanał wentylacyjny o rozmiarach idealnych dla takiego eleganckiego i zgrabnego kocura jak ja. A nawet kilku kotów. Mam wrażenie, że nawet Ala, jakby się postarała, zdołałaby się wcisnąć do środka. Dziwna ta wentylacja.

Postanowiłem, że sypialni przyjrę się później. Teraz należało zwiedzić ten całkowicie nowy świat. Potem moja ukochana na pewno nie pozwoli mi tego zrobić.

Krótki kanał wentylacyjny prowadził do wąskiego korytarza. W środku kłębiło się mnóstwo kurzu, leżało trochę zdechłych robaków i jedna nieżywa, dawno zmumifikowana mysz. Ogarnęło mnie oburzenie. Jan nie przykładał się odpowiednio do swoich obowiązków. Powinien czasem tu posprzątać.

Podczas mojego szybkiego rekonesansu okazało się, że dzięki tunelowi i wentylacji mogę zajrzeć do wszystkich sypialni na

piętrze. No, może zajrzeć to zbyt szumnie powiedziane, zważywszy, że kratki wentylacyjne znajdowały się pod łózkami zawalonymi tonami sięgającej do podłogi pościeli.

W innych pokojach kratki trzymały się zdecydowanie lepiej. Udało mi się odsunąć tylko dwie z nich. Pozostałymi postanowiłem się zająć później, na spokojnie.

Bez problemu rozpoznałem lokatorów dwóch sypialni, bo artyści nie mają przecież klasycznych walizek. (Teraz zastanawiam się, czy powinienem się martwić, bo Ala ma czarną, zwykłą walizkę na kółkach).

Pierwszy pokój, który mogłem zwiedzić, należał do Eryka Ericssona. Odgadłem bez trudu, bo jako jedyny miał ze sobą worek marynarski. Podejrzenie pustego worka. Eryk albo uwielbia pracować, albo nie przeszkadza mu chodzenie w brudnych gaciach. Obejrzałem pośpiesznie wszystkie rzeczy, które przywiózł. Nic, co by mnie zaintrygowało.

Druga sypialnia należała do wytatuowanej Sandry Kucharczyk. Tym razem poznałem po olbrzymim, wytartym czarnym plecaku, który obwieszony był stertą niepotrzebnego żelastwa: agrafek, gwoździ i stalowych ćwieków. Tu moja wizyta obfitowała w więcej atrakcji, bo Sandra zostawiła na wierzchu otwarte opakowanie ciasteczek maślanych.

Mam nadzieję, że nie zauważy, że zniknęły trzy sztuki.

Kolejnym przystankiem był tunel prowadzący do jadalni. Z zadowoleniem spostrzegłem, że tutaj śrubki już dawno przerdzewiały i spokojnie dam radę zorganizować sobie przejście. Nadchodzące tygodnie w rezydencji Śmietańskiego zapowiadały się coraz ciekawiej. Bałem się, że będę przez cały czas zamknięty w pokoju, ale najwyraźniej znalazłem właśnie drogę do wolności.

Kratkę, przy której się rozsiadłem, ulokowano tak jak wszędzie, tuż przy podłodze. Ukrywała się pod wąskim stolikiem na cienkich, powyginanych fikuśnie nóżkach. Na przeciwnej ścianie wisiało olbrzymie stare lustro, sięgające od podłogi do sufitu, którego kryształowa tafla pełna była okrągłych szarych plamek. Wyglądało bardzo szlachetnie, chociaż trudno byłoby się w nim przejrzeć. Niemniej ja dzięki niemu dowiedziałem się, że wylot kanału jest pod rzezonym stolikiem, na którym stała etażerka.

I to nie byle jaka etażerka, lecz pełna ciasteczek z kremem.

Mam nadzieję, że artyści nie zezrą wszystkiego i będę mógł tu potem przyjść, żeby się poczęstować.

Nad stolikiem także znajdowało się lustro i chyba na jeszcze jednej ścianie. Trochę się pogubiłem w tych odbiciach. Szkoda, że nie mogłem opuszczać pokoju. Wolałbym rozglądać się dookoła z poziomu czyichś kolan, a nie podłogi.

Moje myśli powędrowały do drugiej rzeczy, a raczej osoby, którą kocham równie mocno jak bitą śmietaną. Ala siedziała cichutko na końcu stołu. Nie brała udziału w głośnej rozmowie, w każdym razie ja jej nie słyszałem. Mimo że górowała wzrostem nad innymi kobietami (a także częścią siedzących przy stole mężczyzn), to wydawała się jakaś taka malutka. Zahukana ich wrzaskliwym stylem bycia.

Zrobiło mi się przykro. Chciałbym, żeby Ala zobaczyła się kiedyś moimi oczami. Bo dla mnie to piękna, delikatna i jednocześnie silna kobieta. Wiem, może te dwie ostatnie cechy akurat się wykluczają, ale co ja poradzę, że taką ją widzę.

Oprócz niej milczał jedynie siedzący po przeciwnej stronie stołu ponury Skandynaw, właściciel kilku par majątek. Reszta dowcipkowała, wymieniała się uwagami na temat wnętrza i anegdotami z podróży do położonej na odludziu rezydencji.

Na stole stała zastawa, ale nie było jeszcze jedzenia. Do mojego nosa nie dolatywały żadne interesujące aromaty.

Nagle do jadalni wkroczył Jan Kowalski. Od razu zapadła cisza. Otworzył szeroko drzwi i wycofał się do korytarza.

– Porąbany ten koleś – stwierdził Konrad.

– Ja słyszałam, że Śmietański wszystkich swoich pracowników rekrutuje wśród byłych agentów Mosadu i CIA – powiedziała teatralnym szeptem blondwłosa Zuzanna Lubieńska. – Podobno są równocześnie jego ochroniarzami.

– Stary piernik ponoć sam był tajnym agentem – dodał Emil Laurentowicz.

– Głupoty – skwitował grobowym głosem Eryk.

Za drzwiami rozległy się kroki i rytmiczne zgrzytanie jakiegoś mechanizmu. Dźwięki stawały się coraz głośniejsze. W końcu przez próg przejechał wózek inwalidzki pchany przez pana Jana.

Na skórzanym siedzisku siedział starszy jegomość. Dłonie trzymał na wychudłych kolanach. Na kciuku jego prawej dłoni błyszczał olbrzymi sygnet z rubinowym oczkiem. Mężczyzna miał na sobie spodnie i kamizelkę od garnituru, a zamiast krawata zawiązał satynowy fular w bordowe kwiaty. Nie wyglądał jednak przez to w ogóle zniewieściale. Zniszczona przez lata twarz pokryta głębokimi zmarszczkami i bliznami skrywała tajemnice. Zdobiły ją najpiękniejsze wąsy, jakie kiedykolwiek widziałem. Gęste, szpakowate i równo przyszczyżone tak, by zasłaniały górną wargę. Przypominały trochę wąsy Piłsudskiego, tylko były bardziej zadbane. Jegomość zajmował się sztuką, ale na moje kocie oko w przeszłości musiał być niezłym awanturnikiem.

– Dzień dobry państwu – powiedział suchym i nieco szorstkim głosem, zupełnie jakby zamiast strun głosowych miał papier ścierny.

Goście przy stole na jego widok zerwali się ze swoich miejsc i niemrawym chórkim odpowiedzieli na przywitanie. Każdy chciał zrobić jak najlepsze wrażenie. W związku z tym chyba postanowili udawać, że są niby tacy grzeczni i chwilę wcześniej wcale go nie obgadywali.

Śmietański zignorował ich przymilne uśmiechy. Pozwolił panu Janowi poprowadzić się na szczyt stołu. Z zadowoleniem zauważyłem, że Ala zajmowała miejsce tuż obok niego. Bardzo dobrze, może staruszek zachwyci się jej wspaniałą osobą.

– Mam nadzieję, że jesteście mięsożerni, bo u mnie jada się mięso – oświadczył i kiwnął głową komuś, kto właśnie pojawił się w drzwiach.

Zapach pysznego pieczystego doleciał do mojego nosa, zanim Śmietański zdążył się odezwać. Zauważyłem, że dziewczyna z dredami, Claudia Struwieńska, ma nietęgą minę. Najwyraźniej nie przepadała za mięsem.

Mężczyzna niemalże bliźniaczo podobny do pana Jana wjechał do pomieszczenia metalowym wózkiem, który aż ugiął się pod ciężarem półmisków. Poczułem, jak cieknie mi ślinka. To zdecydowanie smaczniejsze od tamtych suchych ciasteczek, które zjadłem. Być może lepsze nawet od pasztetu z gęsią! Koniecznie muszę poznać drogę do kuchni.

– To Jan Nowak, nasz kucharz – powiedział Śmietański. – Jest niemową. Nie zwracajcie mu głowy, bo i tak wam nie odpowie. Jan przygotowuje nam śniadania, obiady i kolacje. Jeśli oprócz tego potrzebujecie czegoś do jedzenia, to sami obsłużcie się w kuchni na parterze. Możecie śmiało korzystać z zawartości lodówki i naszej spiżarni.

Zamrugąłem zaskoczony. Jestem kotem, ale nawet ja wiem, że to niemożliwe, żeby dwaj służący o aparycji bandziorów nosili najpopularniejsze w tym kraju nazwiska. Poza tym jakie było prawdopodobieństwo, że mieliby tak samo na imię? To musiały być pseudonimy.

Spodobało mi się to. Kiedy już odziedziczymy z Alą majątek Śmietańskiego, to zdecydowanie musimy ich zatrzymać. Posiadanie dwóch „Janów” brzmi zdecydowanie lepiej niż jednego.

Śmietański zmierzył wszystkich przy stole swoim ostrym spojrzeniem. Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem. Myślałem, że będzie przystojnym starszym panem, dystyngowanym niczym angielskie koronowane głowy, któremu z kącika ust wiecznie będzie wystawało cygaro. Naprawdę spodziewałem się, że będzie jak Sean Connery.

A tymczasem z moją wizją zgadzał się tylko jego ubiór. Nie sądzę, żeby angielscy dżentelmeni mieli taki mrok w oczach. Zdecydowanie wolałbym nie podpaść naszemu gospodarzowi. Wydaje mi się, że bardzo źle by się to dla mnie skończyło. Śmietański przejechał dłonią po ostrzyżonych na jeża włosach. Rubin błysnął krwawo w świetle kryształowego żyrandola. Jego jastrzębi wzrok sprawiał, że wszyscy nagle bardzo zainteresowali się zawartością swoich talerzy.

Niemniej wąsy naprawdę miał cudowne.

– Zostaliście przeze mnie wybrani – oświadczył. – Ocenilem wasze prace oraz wasz dotychczasowy dorobek. Macie według mnie największe szanse na zabłyśnięcie na artystycznym panteonie. Być może, ale tylko być może, za trzydzieści, może czterdzieści lat wasze prace będą cokolwiek warte. Na razie, niestety, nie macie się czym pochwalić.

Emil Laurentowicz zakrztusił się herbatą. Przed wyjściem na kolację Ala powiedziała mi, że akurat Emil był już dość znany. Tak



się zmartwiła, że będzie z nim konkurować, że ze stresu obgryzła niemalże wszystkie paznokcie.

Podobno prace Laurentowicza były już wystawiane w galeriach i dostawały bardzo dobre recenzje. Ala stwierdziła, że na pewno nie ma z nim szans i że to on zostanie dziedzicem Śmietańskiego. Według mnie, to raczej moja ukochana ma się czym chwalić. W końcu jej ilustracje są publikowane w książkach!

Co prawda w książeczkach dla dzieci, ale czyż ludzkie kocięta nie są przyszłością tej planety? Trzeba je nauczyć otwierać puszek z kocim jedzeniem, a co najmniej jedna z książeczek Ali opowiada o tym jakie koty są wspaniałe i jak należy o nie prawidłowo dbać.

Związałem się z cudowną kobietą, mówię wam.

– Macie pięć dni na stworzenie oryginalnego dzieła – oświadczył gospodarz. – Z każdym z was indywidualnie omówię potem pracę. Wątpię, że ktokolwiek zdoła mnie zachwycić, bo jesteście wszyscy dość monotoni i wtórni w swoich dziełach, o ile dziełami można je w ogóle nazwać...

– To czemu nas pan w takim razie wybrał? – prychnęła dziewczyna z dredami.

Chyba wszystkim to pytanie cisnęło się na usta, ale ona jako jedyna zdecydowała się je zadać. Śmietański uśmiechnął się do niej złośliwie. Był zadowolony, że się odezwała. Czekał aż ktoś mu przerwie, podjudzał ich bezczelnie. Claudia Struwińska dała się złapać na przynętę.

– Ach, panna Struwińska... – zawiesił głos gospodarz. Wziął kieliszek czerwonego wina i zakręcił trunkiem. – Znana aktywistka, feministka, wegetarianka, której wszystkie prace nawiązują do jej zainteresowań. Oczywiście, w związku z tym, że obecnie modne jest bycie feministką, to jej prace nawet się sprzedają.

W jego głosie było tyle jadu i niechęci, że aż poczułem zazdrość. Ja nie umiem być aż tak cyniczny. Muszę się mu uważnie przysłuchiwać, może się czegoś nauczę.

– Droga panno, wybrałem akurat was, bo nikogo innego interesującego zwyczajnie nie ma. Wy chociaż trochę rokujecie. A mnie niestety kończy się czas. Nie doczekałem się odpowiedniego dziedzica. I w żadnym razie nie mam zamiaru zostawić wszystkiego, na co pracowałem całe życie, naszemu państwu.

Ostatnie słowo niemalże wypluł.

– Jeśli nie odpowiada pani moje podejście oraz konkurs, to proponuję spakować walizkę, zabrać papugę, na której obecności tak bardzo pani zależało, i wyjechać.

Kobieta spuściła głowę. Rumieniec wpłynął na jej policzki. Prychnąłem. W jej twarzy można było czytać jak w otwartej książce. Miała olbrzymią ochotę się z nim pokłócić, ale zagryzła zęby. Nie miała jaj.

Śmietański powiedział coś jeszcze o tym, że sam nikogo nie będzie oficjalnie odrzucał, ale jeśli zobaczy, że uczestnik nie robi żadnych postępów, to mu od razu to powie. Sami mają podejmować decyzję, czy uciekać z podkulonym ogonem.

Będą prezentować swoje prace co kilka dni. To gospodarz każdorazowo będzie decydował, ile mają czasu na stworzenie nowej pracy.

A także jaki będzie temat przewodni.

– Wasze pierwsze zadanie to zobrazowanie śmierci – obwieścił.

Zerknąłem na Alę. Nie miała najszcześniejszej miny. Ja też się zmartwiłem. Nie mógł im kazać namalować kotów? W takiej konkurencji na pewno byśmy zwyciężyli.

Śmierć. Też sobie wybrał...

## Rozdział 5. Koci zawodowiec

– Nie dam rady! Nie mam żadnego pomysłu! – Ala panikowała w najlepsze. – Minęły już trzy dni, a ja nie namalowałam nic, co mogłabym pokazać.

Siedziała załamana przy sztaludze. Obok niej schła podkładka, na której rozrobiła kilka kolorów. Pędzel leżał smętnie na stole obok wypełnionych wodą dwóch nieśmiertelnych słoików po buraczkach z dyskontu. Zawsze używała tych słoików. Twierdziła, że przynoszą jej szczęście.

Z kolei na ziemi walało się kilkanaście obrazków. Żaden jej się nie podobał. Między innymi stworzyła obraz przedstawiający zakapturzoną śmierć, dość realistyczny wizerunek trumny, a także kondukt żałobny i kilka innych, równie ponurych. Według mnie wszystkie były na swój sposób ładne.

I, co najważniejsze, na temat. Zdołała się przecież powstrzymać przed namalowaniem kotów.

– Nie mam szans. – Schowała twarz w dłoniach. – Po co ja w ogóle tu przyjeżdżałam? Byłam głupia. Witek dobrze zrobił, że wyjechał i mnie zostawił.

No teraz to już przesadziła. Usiadłem obok niej i pyszczkiem dotknąłem jej ręki. Moja kochana Ala, przecież Witek cię nie zostawił. Ty go wyrzuciłaś na zbity pysk, bo był idiotą.

Dalej płakała. Szkoda, że nie umiem mówić w ludzkim narzeczu. Nie pozostawało mi nic innego, jak się do niej przytulić.

Ala niepotrzebnie panikowała. To prawda, Konrad, śmierdząc krwią, od wczoraj chodził po rezydencji i ogłaszał wszem wobec, że stworzył wiekopomne dzieło, które zapewni mu nie tylko sławę, ale i spadek po Śmietańskim. Niemniej nie brzmiało to szczerze w moich uszach. Był zbyt pewny siebie. Owszem, był też głupi, to akurat dawało się dostrzec już na pierwszy rzut oka. Istniała więc spora szansa, że jego przekonanie o sukcesie wynikało z zadufania.

Poza nim nikt się nie chwalił postępami, artyści zazdrośnie strzegli swoich prac. Nie było mowy o pokazywaniu sobie szkiców

czy pożyczaniu farb. Chyba wszyscy się bali, że ktoś podejrzy ich pomysły i nie chce je wykorzystać.

Napięcie pomiędzy uczestnikami było aż nazbyt dobrze wyczuwalne. Posiłki upływały wśród sztucznych żartów i udawanych uprzejmości. Jediną osobą, która dobrze się bawiła, był Śmietański.

Według mnie Ala zupełnie się nie doceniała. Każdy z wyjątkiem Konrada bardzo się bał pierwszej oceny swoich dzieł. Wczoraj przeszedłem się po sypialniach innych uczestników, żeby zobaczyć, jak im idzie praca, więc byłem na bieżąco.

A właśnie, bo zapomniałem się pochwalić – udało mi się zdjąć większość krtek wentylacyjnych w sypialniach. Prawie wszędzie śrubki były przerdzewiałe. Wystarczyło oprzeć się mocniej tylną częścią ciała, wypiąć odpowiednio i gotowe!

Eryk na przykład bardzo energicznie rzeźbił w drewnie coś, co z grubsza przypominało zwierzęcy totem. Było długie, miało skrzydła, kilka dziobów i wilczą głowę. Jaki miało to związek ze śmiercią, pomijając zabicie samego drzewa, aby wykonać tę rzeźbę? Nie wiem. Mnie się wcale nie podobało. Kojarzyło mi się z pałakiem do drapania w moim drapaku. Mam nadzieję, że Śmietański, równie zacny koneser sztuki, jak ja, podzieli moje zdanie.

Dama z papugą jeszcze nic nie namalowała. W jej sypialni nie unosił się nawet cień zapachu farb. Pachniało za to jakimś dziwnym kadzidełkiem. Niestety nadal nie zdołałem bliżej zapoznać z papugą, bo ta przekłeta kratka na kanale wentylacyjnym trzymała się akurat zaskakująco dobrze. Złośliwość przedmiotów martwych.

Poczekam, aż Ala zapomni zamknąć drzwi do sypialni i wybiorę się na wizytę do drobiu w kulturalny sposób, korytarzem.

Do dzieła grafika komputerowego nie mogłem się dostać, ponieważ zapobiegliwie wyłączają laptopa, kiedy wychodzi z pokoju. Próbowałem przegryźć mu kabel od ładowarki, ale na szczęście w ostatnim momencie zorientowałem się, iż jest podpięty do prądu. Mogło się to dla mnie bardzo źle skończyć. Muszę znaleźć jakiś inny sposób na sabotowanie jego pracy. Najprościej byłoby nasikać mu na komputer, ale wtedy się zdradzę. Kabel mogły mu przecież przegryźć myszy. Byłbym kryty.

Pozostali uczestnicy coś tam bazgrolili, ale nie powiem, żeby ich dzieła jakoś szczególnie mnie zachwyciły. Nawet nie ma co o nich opowiadać. Zwykle paciaje farbą.

Postanowiłem, że pomogę nam zdobyć spadek. Dlatego kilku osobom obtarłem się już niechcący o mokre płótna, rozmazując farby, komuś przewróciłem paletę, gdzie indziej niechcący otworzyłem szerzej uchylone okno i w rezultacie strąciłem obraz ze sztalug. A Emilowi, który rysował węglem, zdołałem zetrzeć część szkicu, kiedy na nim usiadłem.

I ciągle nikt się nie domyślił, że to ja! Artyści szeptali, że rezydencja musi być nawiedzona.

Naiwniacy.

Chwalipięta Konrad także odwalał krecią robotę. Zamierzał osłabić morale uczestników. To był chyba jego sposób na wygraną, całkiem niegłupi, muszę przyznać. Gdybym mógł mówić, także starałbym się popsuć innym humor. Zamiast tego musiałem zadowolić się dywersją.

– Lord, to się na pewno nie uda. Ja się już chyba mogę pakować. Po co w ogóle tutaj przyjechałam?

Szczerze mówiąc, zmęczyło mnie to nieustanne narzekanie Ali. Rozumiem, że ona się stresuje. W końcu stawka jest wysoka. Ale ile można mówić o tym samym? Ostentacyjnie ziewnąłem, kiedy się do mnie odwróciła. Westchnęła ciężko.

– Zero wsparcia moralnego – prychnęła. – Dzięki, kocie!

Wsparcia moralnego jej się zachciało. Phi! Ja tu ciężko pracuję, szpiegując. Mam wszystko pod kontrolą, moja ukochana! Maluj w spokoju, a ja o ciebie zadbam. Jeśli będzie trzeba, to nasiusiam komuś do farb.

– Idę na spacer – powiedziała chyba bardziej do siebie niż do mnie, bo nawet nie zaszczyciła mnie spojrzeniem. – Może mi to pomoże.

Byłem sceptycznie nastawiony do jej pomysłu. Powinna siedzieć i malować, a nie włączyć się nie wiadomo gdzie. Patrzyłem, jak poprawia przed kieszonkowym lusterkiem skołtunione włosy i szybko ściera nawilżaną chusteczką farbę z policzka. Chyba uznała, że nie musi się przebierać z workowatej tuniki uwalonej farbą, bo sapnęła tylko i wyszła.

Niestety dokładnie zamknęła za sobą drzwi. No cóż. Została mi wentylacja.

Zeskoczyłem z łóżka i pobiegłem do tajnego przejścia. W kanale słychać było tylko stukot moich pazurków. Tym razem zamiast skręcić w prawo, tuż za pokojem Ali, postanowiłem zwiedzić lewy korytarz. Trasę do innych sypialni miałem już zaliczoną. Czas zobaczyć, co ma mi do zaoferowania druga część rezydencji.

Niespodziewanie trafiłem do jakiegoś szerszego korytarza. Pod sufitem ciągnęły się kable i rury. Na ścianie zawieszono metalową skrzynkę zamkniętą na kłódkę, na której naklejono symbol pioruna. Co kilka metrów umieszczono jarzeniówki, teraz wyłączone. Ciemność tylko nie bardzo przeszkadzała.

Dotarłem do kraty zagradzającej mi dalsze przejście. Nie miała zamka, wystarczyło nacisnąć klamkę. Nie musiałem się wysilać i do niej skakać. Jestem zgrabnym kocurem, precyzyjnie przycisnąłem się więc elegancko pomiędzy prętami i trafiłem na schody. Tutaj paliła się samotna lampa. Jak cudownie! Tajna klatka schodowa!

Zauważyłem, że nie była wcale zakurzona. Ktoś regularnie musiał tędy przechodzić. Tylko po co mieszkańcom tajna klatka schodowa? Aż tak często muszą sprawdzać skrzynki z bezpiecznikami?

Przeczuwałem, że Śmietański skrywa niejeden sekret. Po chwili namysłu pognałem schodami na dół. Wyżej przecież mieścił się tylko strych. Nie mogło się tam skrywać nic ciekawego. Za to niżej powinna być kuchnia.

Korytarz, w którym się znalazłem, biegł, jak zorientowałem się po zapachach i dźwiękach docierających zza ściany, równoległe do długiego korytarza na parterze rezydencji. Zamiast nim podążać, znowu zawędrowałem do najbliższego kanału wentylacyjnego. Postanowiłem zwiedzić pokoje na tym poziomie. Oczywiście zaczynając od kuchni.

Ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu kratka prowadząca do królestwa Jana Nowaka była bardzo mocno przykręcona. Muszę sprawdzić, czy tajny korytarz nie ma jakiegoś innego sekretnego przejścia do tego pomieszczenia. W porządnym domu powinno być ukryte przejście do kuchni. Wie o tym każdy łasuch.

Nagle usłyszałem głosy. Jeden brzmiał znajomo. To moja Ala! Och! Zaśmiała się! Zaciekawiony ruszyłem za dźwiękiem.

Zatrzymałem się przy wylocie kanału wentylacyjnego i wyjrzałem ostrożnie.

Nie pomyliłem się. Ala tu była. Duży, pogrążony w półmroku pokój okazał się biblioteką. Wysokie okna przysłonięto aksamitnymi, ciemnozielonymi kotarami. Chyba była przecena w sklepie z materiałami, bo w każdym pomieszczeniu wisiały identyczne zasłony. Kryształowy żyrandol rzucał przyjemne błyski. Zapach kurzu i starych książek mocno kręcił w nosie. Na środku stało kilka miękkich foteli obitych skórą.

Mimowolnie wysunąłem pazurki. Uwielbiam skórzane meble. Są dużo lepsze od najdroższego nawet drapaka. Szkoda, że nie mogę wyjść. Ta biblioteka od razu przypadła mi do gustu. Z moim błyszczącym, srebrnym futerkiem idealnie bym się prezentował w tym luksusowym wnętrzu. Wreszcie miałbym tło godne mojej osoby.

Na jednym fotelu siedziała Ala, a na drugim wychudzony, blade grafik komputerowy. Ciekawe, dlaczego większość informatyków wygląda podobnie? Stereotyp okularnika z niedowagą, który nosi kraciaste koszule, sprawdził się i tym razem. Co prawda Grzegorz nie miał okularów, ale naprawdę by mu pasowały.

Nerwowo podskakiwała mu jedna noga. Dłonie trzymał na podołku. Co jakiś czas zaciskał i rozluźniał palce.

Nie spodobał mi się. Było w nim coś odpychającego. I nie mówię tego tylko dlatego, że stanowił dla nas konkurencję. Zwierzęta mają nosa do ludzi. Z grafikiem było coś nie tak. Jeszcze tylko nie wiedziałem co.

Moja ukochana za to sprawiała wrażenie rozluźnionej. Trzymała kubek i co chwilę popijała z niego długi łyk. Odejście od sztalugi faktycznie dobrze wpłynęło na jej samopoczucie. Gdzieś zniknęło napięcie i poczucie niechybnej katastrofy. Może pomogło jej spotkanie chudzielca, który wyglądał jak sto nieszczęść.

– Widziałaś już jego zbiory? – zapytał Paweł Grzegorz.

– Nie. Pierwszy raz jestem w tej bibliotece – wyznała. – Skupiłam się na malowaniu. Teraz trochę załuję, bo tu jest naprawdę przyjemnie. Można się rozluźnić i na moment zapomnieć o konkursie.

Kolega w ogóle jej nie słuchał. Jego rozbiegany wzrok cały czas przemykał po regałach. Noga zadrgała mu gwałtowniej.

– Większość książek jest na temat malarstwa, trochę albumów. Biografie malarzy, kilka książek historycznych, trochę beletrystyki, ale... – Grafik wyrzucał z siebie nerwowo słowa.

Zawiesił głos i zerknął przez ramię na drzwi, zupełnie jakby się spodziewał, że ktoś może się za nimi zacząć, by ich podsłuchiwać. Ala zmarszczyła lekko brwi. Chyba dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że jej rozmówca nie jest tak zrelaksowany jak ona.

– Co „ale”? – zapytała.

– Jest też bardzo dużo książek o nazistach.

– Czyli historycznych?

– Nie do końca... To opracowania po polsku i po niemiecku. Głównie biografie, ale także kilka pozycji filozoficznych. Znalazłem opracowania Nietzschego, Rosenberga i Schopenhauera. Zobacz tam. – Wskazał na coś palcem.

Nie wiem na co, bo leżało na regałach gdzieś powyżej mojej kratki. Cofnąłem się lekko, żeby niechcący nie zobaczyli błysku moich oczu. Wolę pomagać Ali po cichu. Lepiej, żeby wciąż myślała, że śpię całymi dniami.

– Widzisz? Tam. W gablotce zamkniętej na kłódkę. Zupełnie jakby była jakimś drogocennym trofeum.

– Gablotkę widzę, ale z tej odległości nie mogę odczytać tytułu – odpowiedziała i siorbnęła z kubka.

– To starannie wyeksponowana niemiecka biografia Richarda Wagnera. Bardzo stara. Być może jakieś pierwsze wydanie.

Grzegorzycy spojrzeli na koleżankę znacząco. Nie wiem, jakiej oczekiwał reakcji. Ala chyba też do końca nie wiedziała. Zerknęła jeszcze raz na gablotkę, a potem na grafika.

– Wagner? A to nie był niemiecki kompozytor? – zapytała, powoli ważąc słowa.

Grzegorzycy zdawali się lekko zbity z tropu. Jego noga podskoczyła nerwowo, na chwilę wypadając z rytmu gorączkowego tiku. Osunął się na oparcie fotela i niemalże w nim zniknął. Sam nie wiem, do czego go porównać. Kojarzycie takie zabawki dla kotów – sztuczne myszki? Wyglądał jak jedna z nich, kiedy zje się białe wypełnienie, a potem zwymiotuje komuś niechcący na buty.



Przypominał tę skórkę z futerka, która zostaje. Był jakiś taki... sflaczały.

– Tak, Wagner to kompozytor. Ale był także nazistą i antysemitą. Sporo o nim czytałem. W niektórych opracowaniach jest opisywany jako ojciec chrzestny nazizmu!

– Aha. – Ala kiwnęła posłusznie głową, kiedy zamilkł, czekając na jej reakcję.

– Bratał się z Schopenhauerem i Nietzschem – kontynuował zadowolony, że słucha go uważnie. – Hitler namiętnie słuchał jego utworów operowych, a także czytał tak zwane dzieła o tym, że Żydzi to „podludzie”. – Zrobił w powietrzu znak cudzysłowu.

– Wiesz, ja się na tym kompletnie nie znam. Może faktycznie naziści go słuchali? W którejś części *Indiany Jonesa* chyba go puszczali w tle – powiedziała przepraszającym tonem.

Paweł się niemal zapowietrzył. Zerwał się na równe nogi i zrobił kilka kroków w stronę gablotki, która tak go niepokoiła. Postukał obcasem w podłogę i wrócił do fotela. Aż tak bardzo oburzyła go rzekoma ignorancja Ali, że aż musiał się przejść.

– Może jestem przewrażliwiony, bo jestem Żydem – skwitował. – Ale z tym domem i z samym Śmietańskim zdecydowanie jest coś nie tak. Czuję się tu bardzo nieswojo.

– Też uważasz, że jest nawiedzony? Dom, nie właściciel.

– Nie, nie, nie. Nie o to chodzi. Chodzi o Śmietańskiego. To jest zły człowiek.

Nie rozumiem. Skoro go nie lubił, to po co zgłaszał się do konkursu? Co prawda nie wiem do końca, kim jest „nazista”, ale najwyraźniej to ktoś, kto nie lubi Żydów. A jak ich nie lubi, to chyba nie wybierze jednego z nich na swojego dziedzica? Tak na logikę.

– To czemu się zgłosiłeś do konkursu? – zapytała Ala.

Aż zamruczałem. Od razu widać, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Nawet myślimy tak samo. Głupi Witek uważał, że ma jakiegokolwiek szansę.

– Sądziłem, że może opinie w internecie, które o nim przeczytałem, są przesadzone – wyznał Paweł. – Wszystko, co się tam przeczyta, przecież trzeba zawsze podzielić przez trzy. Ale teraz... Odkąd tu jestem... Sam nie wiem, ale czuję się trochę zagrożony.

Jedna brew Ali uniosła się delikatnie do góry. Znam ten grymas. To znaczy, że uważa, iż jej rozmówca ma nierówno pod sufitem, ale nie chce być nieuprzejma. Kiedy raz pojechaliśmy do rodziców Witka, to przez całą wizytę miała taką minę.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Uważasz, że Śmietański jest neonazistą? Może po prostu ciekawi go historia Trzeciej Rzeszy. Każdy ma prawo do swoich zainteresowań, także tych najdziwniejszych.

Prawda. Moim konikiem są plastikowe zakrętki od butelek. Nie wiem dlaczego, ale mam na ich punkcie obsesję. Lubię je zbierać. Tak cudownie się toczą i stukają, gdy mocniej uderzyć je łapką. Ala nie zdaje sobie sprawy, ile ich mamy schowanych pod kanapą. Zawsze się denerwuje, kiedy kradnę jej nowe okazy do mojej kolekcji.

Jeszcze mi podziękuje, gdy będziemy pilnie potrzebować trzydziestu siedmiu zakrętek, a ja wspaniałomyślnie się z nią podzielę.

– Śmietański jest już bardzo stary, tak? – zapytał Grzegorz, a ja uroniłem łezkę z tęsknoty za moimi nakrętkami.

– No jest.

– Nigdzie w internecie nie ma informacji o jego wieku. Zupełnie jakby to była jakaś pilnie strzeżona tajemnica. Jak sądzisz, ile mógł mieć lat podczas drugiej wojny? – Noga grafika skakała coraz bardziej nerwowo. Co chwilę przęłykał też ślinę.

– Nie wiem. Dziesięć? – Spróbowała zgadnąć.

Ala uśmiechnęła się jednym kącikiem ust. Ten grymas też znałem. Pojawiał się na jej twarzy, gdy bardzo starała się nie roześmiać w głos. Teraz miałem już pewność, że nie traktuje swojego rozmówcy poważnie.

– Z moich obliczeń, w których uwzględniłem jego fizjonomię, wynika, że mógł mieć nawet dwadzieścia.

– Jeśli miał dwadzieścia, to teraz miałyby powyżej dziewięćdziesięciu. – Pokręciła głową. – Aż tak staro nie wygląda.

– Z jednej strony tak, ale z drugiej...

– Czyli twierdzisz, że jest Niemcem, który jakoś się uchował po wojnie na terenie Polski? – Przerwała mu. – Przecież ich wysiedlali z całego Dolnego Śląska.

– Nazwiska niemieckiego nie ma. Może dla niepoznaki zmienił tożsamość?

– Trochę to naciągane...

– Pamiętaj, że w drugiej połowie dwudziestego wieku zajmował się już odnajdywaniem zaginionych dzieł sztuki i ich sprzedażą na Zachód. Co jeśli plotki są prawdziwe i naprawdę był, a raczej nadal jest, nazistą? Z tego się chyba nie wyrasta. Co jeśli wywoził z Polski skradzione obrazy?

– To by tłumaczyło, czemu stać go na taką rezydencję. Wywożenie obrazów wcale jednak nie świadczy o tym, że jest albo że był nazistą.

Ala także zerknęła na drzwi. Miała wyraźnie dość tej rozmowy. Grafik coraz bardziej czerwieniał na zapadniętej twarzy. Teraz już niemalże wypluwał z siebie słowa. Ja wiem, że artyści często prezentują różne „odchyły”, to jest u nich wręcz wskazane. Nie jestem wprawdzie pewien, czy mania prześladowcza jakkolwiek może pomagać w pracy twórczej.

– No właśnie! W rezydencji! – Podłapał nowy temat. – Przecież to stary poniemiecki dworek. Porządne niemieckie budownictwo! Mogę się założyć, że są tu jakieś tajne piwnice i korytarze, gdzie trzyma dzieła sztuki, które po wojnie w tajemniczy sposób zaginęły.

Zerknąłem za siebie. No, z tymi korytarzami to nieźle trafił.

– Zważywszy, że ma czego pilnować, to jakby ich nie było, sam by je pewnie dobudował – skwitowała.

– Alu, on może przetrzymywać nasze skarby narodowe! Skradziono nam lub zniszczono kilkaset tysięcy dzieł sztuki. Może ukrywa gdzieś obrazy Suchodolskiego albo *Portret młodzieńca* Rafaela, albo *Łokietka na Skalach Ojcowskich* Gersona?

– Bursztynową Komnatę też gdzieś schował? – zakpiła. – A może złoty pociąg?

Wykonała ruch, jakby chciała wstać z fotela. Dłoń Pawła wyskoczyła niespodziewanie do przodu i złapała ją za nadgarstek. Sierść zjeżyła mi się na karku. Nie podobało mi się to. Mojej ukochanej też nie, bo zmarszczyła brwi i zacisnęła mocno usta.

Nie wiem, co to chuchro w kraciastej koszuli sobie wyobrażało. Przecież on ma z metr pięćdziesiąt w kapeluszu. Jak Ala się na niego

wścieknie i trzepnie go swoją zgrabną piąstką albo kubkiem po herbacie, nie będzie czego zbierać.

– To nie są żarty. Uważam, że ten człowiek jest niebezpieczny. Nie dziwiłbym się, gdyby gdzieś się tu ukrywała gablotka, w której trzyma *Mein Kampf* Hitlera albo antysemickie broszury Himmlera – wyszeptał gorączkowo.

– Słuchaj, Paweł, jak dla mnie, to może sobie trzymać u siebie w domu to, na co tylko ma ochotę – odparła Ala znacznie chłodniejszym tonem. – Jesteśmy tu gośćmi i nie powinniśmy obgadywać naszego gospodarza. Jeśli udział w konkursie kłóci się z twoim światopoglądem, to po prostu zrezygnuj.

Grzegorzycy puścił jej rękę. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Myślał, że znalazł sojuszniczkę, a moja Ala go zawiodła.

No i bardzo dobrze! Przecież to jakiś oszołom. Poza tym nie jesteśmy tutaj, żeby zawierać przyjaźnie. Musimy zjednać do siebie jedynie tego wąsatego starca na wózku inwalidzkim. Hm... jeśli, tak jak twierdzi nawiedzony grafik, Śmietański faktycznie jest po dziewięćdziesiątce, to dość szybko odziedziczymy jego majątek! Wyśmienicie, naprawdę wyśmienicie.

Ala wstała z fotela.

– Lepiej go nie obgaduj. – Poradziła Pawłowi. – To bardzo nieładnie.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Poczzerwieniał jeszcze bardziej i wbił spojrzenie w Wagnera w gablotce. Moja ukochana wzruszyła ramionami i wyszła.

– Znajdę dowód, że to nazista – mruknął grafik.

A nie mówiłem, że to wariat? Nawet gada sam do siebie. Dobrze! Może jak wyskoczy z jakimś głupim tekstem, to go wyrzucą i będzie o jedną osobę mniej.

Zostawiłem go i ruszyłem na dalsze zwiedzanie tajnych przejść. Coraz bardziej podoba mi się ten dom. Nie mogę się doczekać, kiedy zamieszkamy tutaj na stałe.

Wróciłem do kuchni, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy kratka trzyma się mocno. Niestety pod moją nieobecność w ogóle się nie obluźowała. Otarłem się o nią kilka razy, ale nie drgnęła. Ech, ciężkie kocie życie.

Ruszyłem więc dalej. Kolejnym pomieszczeniem, które mogłem obejrzeć, okazała się sypialnia Jana Kowalskiego. Skąd wiedziałem, że to jego sypialnia? Nie było trudno się tego domyślić. Na prostym tapczanie ustawionym pod ścianą leżał we własnej osobie potężny pan Jan. Chrapał tak donośnie jak ja, gdy kładę się na grzbiecie i niechcący zapomnę zamknąć pyszczek.

Jego pokój zupełnie nie przypominał sypialni Ali. Żadnych ozdób. Żadnego okna. Ściany chyba od dwudziestu lat nie doczekały się malowania i niegdyś ich prawdopodobnie biały kolor obecnie stał się brudnoszary. Niewygodny na pierwszy rzut oka tapczan także nijak miał się do bajkowego łoża mojej ukochanej.

Za to ogólny wystrój był dużo bardziej interesujący. Na nagich ścianach powieszono przeszklone witryny, w których znajdowała się całkiem pokaźna kolekcja broni białej, a także palnej. Czyżby jednak było coś w plotkach o poprzednim zawodzie Jana Kowalskiego? Wprawdzie nie wiem, co to jest ten Mossad, ale zrozumiałem słowo agent. Agentem był James Bond. Wiem z filmów, które Ala namiętnie ogląda. Być może Jan Kowalski jest Jamesem Bondem.

Zdecydowanie musimy go zatrzymać, jak już odziedziczymy spadek.

Już miałem się wycofać, gdy zauważyłem, że tuż obok łóżka stoi otwarta, wielka, różowa walizka. Wydała mi się podejrzanie znajoma...

Zaraz, zaraz! Czy takiej samej walizki nie miała przypadkiem ta dziesiąta uczestniczka konkursu, która zapomniała zabrać dowód osobisty? Ciekawe, dlaczego wyjechała bez bagażu. I na dodatek pozwoliła Janowi Kowalskiemu go otworzyć i zajrzeć do środka.

Koronkowe różowe majtki były niedbale zmieszane z podkoszulkami i kosmetykami wyrzuconymi z saszetki. Na samym szczycie tego bałaganu leżał telefon komórkowy. Miał zdjętą obudowę. Prostokątna bateria leżała obok.

No cóż. Nieważne. Nie obchodzi mnie to. Zmęczyła mnie ta wyprawa. Czas najwyższy się zdrzemnąć.

Z tą myślą ruszyłem z powrotem w stronę tajnej klatki schodowej. Gdy wbiegałem po schodach, usłyszałem jakiś dziwny dźwięk. Zawodzenie? Pokrzykiwanie? Nie, chyba najlepszym określeniem

byłoby „pojękiwanie”. Cóż to za dziwne dźwięki?! Co to ma być?!  
Czyżby w tym domu były myszy? Koniecznie musimy coś z tym  
zrobić. Nie mogę mieszkać w takim miejscu.

## Rozdział 6. Najtrudniejszy pierwszy kot

Następne dni minęły Ali na narzekaniu i darciu kartek, a mnie głównie na drzemaniu. Już zwiedziłem większość tajnych przejść. Obluzowałem wszystkie możliwe kratki wentylacyjne, więc nawet sabotowanie pracy innych artystów świetnie mi szło. Z narażeniem własnego zdrowia i życia gryzłem pędzle i tubki z farbami. Miałem ogromną ochotę podrapać pazurami drewnianą rzeźbę Eryka, ale nie chciałem, żeby się wydało, że to ja. W innych przypadkach udało mi się podszyć pod myszy albo duchy.

Co rano podczas śniadania zirytowani artyści narzekali, że w rezydencji muszą mieszkać gryzonie, bo ich zapasy są notorycznie niszczone. Śmietański z kolei oburzał się na te insynuacje i twierdził, że musieli przywieźć ze sobą szkodniki, bo w dworku nigdy nie było problemów z niechcianymi lokatorami.

Ala miała niezły ubaw. Uważała, że jej pędzle i farby są bezpieczne dzięki temu, że mnie ze sobą zabrała. Powiedziała mi, że inni jej zazdroszczą kota, który broni jej przed gryzoniami. Tak jej się przynajmniej wydaje.

Alu kochana, oczywiście, że zazdroszczą. Każdy chciałby mieć takiego kota jak ja.

Nastała chwila, na którą wszyscy czekali i której się obawiali. Pierwsza ocena prac. Byłem bardzo ciekawy, co powie Śmietański. Na szczęście zamierzał oglądać obrazy w bibliotece. Planowałem pobiec tam od razu, gdy tylko Ala wyjdzie z sypialni.

Wsunęła swoją akwarelę do dużej, plastikowej teczki. Postawiła ją koło biurka i poszła do łazienki, żeby się uczesać. Na piętrze były dwie wspólne łazienki, co doprowadzało do śmiesznych sytuacji, bo ich drzwi nie miały zamków. Część artystów zobaczyła się już niechcący nago.

Ala postanowiła, że będzie wyglądać dzisiaj pięknie. Obawiała się, że jej praca nie zachwyci Śmietańskiego, więc chciała się chociaż dobrze prezentować. Włożyła najładniejszą bluzkę

i niesamowite spodnie. Nawet włosy udało jej się częściowo okiełznać.

Kiedy wyszła, ja wstałem z łóżka i wskoczyłem na biurko, żeby wyrzucić przez okno. W nocy zamierzałem po raz pierwszy opuścić budynek i przejść się po naszej przyszłej posiadłości. Zbierałem się do tej wycieczki już od kilku dni, ale aż wstyd to przyznać... przekładałem ją, bo za bardzo się bałem. Jestem kotem domowym. Nigdy nie byłem sam na dworze. Kiedy już wychodziłem, to zawsze w towarzystwie Ali, na dodatek w większości przypadków siedziałem w transporterze. Niemal zawsze te wyjścia kończyły się wizytą u oprawcy, znaczy weterynarza. Dlatego nie ufałem transporterowi i protestowałem przeciwko niemu. Fatalnie mi się kojarzył.

Dawno, dawno temu Ala usiłowała mnie nauczyć chodzić na smyczy. Wyszliśmy wtedy kilka razy na dwór bez plastikowego więzienia. O ile nie miałem większych uwag do szelek, to nie podobało mi się, że musiałbym biec tuż obok niej. Dlatego zawsze kładłem się na ziemi i udawałem martwego, a Ala mnie za sobą ciągnęła.

Nie chciałem spacerować na smyczy. Nie jestem przecież psem. Psy są głupie, każdy kot wam to powie. Trzeba je wyprowadzać na sznurku, bo inaczej by się zgubiły. Nie to co koty. Koty nigdy się nie gubią.

Koty po prostu czasem nie chcą się znaleźć.

Postanowiłem wyjść tego wieczoru na dwór bez zgody i wiedzy Ali. Czułem się z tym niekomfortowo. Ale tylko trochę. W końcu nigdy się nie dowie, że wyszedłem, bo szybko wrócę. A to chyba znaczy, że nie robię nic złego.

Przeciągnąłem się.

Nagle poczułem, że uderzam o coś pośladkami. Po chwili usłyszałem brzdęk i poczułem, że pod moimi stopami robi się mokro.

Oj.

Odwróciłem się powoli. Słoik po buraczkach, ten na wodę do czyszczenia pędzli, leżał na boku.

Większe oj.



Jego zawartość spływała po blacie biurka i kapłała na plastikową teczkę z akwarelą przygotowaną do oceny.

Bardzo duże oj.

Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, co powinienem zrobić. Odruchowo chciałem uciec i udawać, że to nie ja. Niestety, byłem w sypialni kompletnie sam. Nie miałem na kogo zrzucić winy. Święta Bastet! Co ja mam robić?! Ala zaraz wróci. Gdy zobaczy, co narobiłem, to bardzo się zmartwi.

Działać! Muszę działać!

Szybko strąciłem słoik na ziemię i usiadłem zadkiem na kałuży. Uch! Moja ukochana nawet nie wie, jak się dla niej poświęcam! Czułem, jak futerko nasiąka zimną wodą. Poczułem mdłości na myśl o tym, że będę musiał się później wylizać.

Położyłem się na boku i przekręciłem na plecy. Potem jeszcze jeden fikołek i stanąłem na czterech łapkach. No! Po mokrej plamie nie było śladu. Zeskoczyłem na ziemię i obwąchałem teczkę. Była trochę wilgotna, ale może Ala niczego nie zauważy.

Odetchnąłem głęboko. Wszystko naprawione. Otarłem się o aksamitne kotary, żeby pozbyć się nadmiaru wilgoci z futra. W tym momencie Ala wpadła jak burza do sypialni. Złapała teczkę, nawet na nią nie patrząc.

– Lord, trzymaj za mnie kciuki! Niby nie masz przeciwnych, ale dasz radę! – zawołała podenerwowana.

Poklepała mnie po głowie i wyszła. Kciuków trzymać nie zamierzałem, bo byłem przekonany o tym, że doskonale sobie poradzi.

Wbiegłem pod łóżko i czym prędzej skierowałem się do biblioteki. Stefan Śmietański już czekał na uczestników konkursu. Siedział na swoim wózku przy okrągłym stoliku. Naprzeciwko niego stała pusta sztaluga, na której artyści mieli ustawiać swoje prace. Ktoś odsunął fotele na boki. Najwyraźniej nie wolno im było usiąść podczas oceny. Prawdopodobnie po to, żeby nie poczuli się zbyt pewnie.

Drzwi się otworzyły i Jan Kowalski wsunął głowę do środka. Śmietański mruknął coś pod wąsem i skinął. Dozorca dobrze wiedział, co robić. Usłyszałem, jak donośnym głosem wyczytuje pierwszą osobę.

– Konrad Adamski.

Ach, czyli zaczynamy od pana lubującego się we krwi. Idealnie. Mnie się jego obraz nie podoba. Nie lubię sztuki współczesnej.

Młody mężczyzna wyciągnął płótno z takiej samej plastikowej teczki, jaką ma Ala, i ustawił je na sztalugach.

Ogólnie to nie było czemu się przyglądać. Na białym tle widniał namalowany rdzawy kleks i kilkanaście linii. Jakiś bezładny bohomas, który na dodatek śmierdział niczym padlina. Odór zepsutej krwi był świetnie wyczuwalny, mimo że malunek sechł kilka dni. Żeby jeszcze pachniał wątróbką albo kaszanką, to może bym rozumiał przesłanie.

A tak? Zwykły śmieć.

Mam nadzieję, że Śmietański ma równie wysmakowany gust jak ja. Zerknąłem na niego i zaśmiałem się w duchu. Gospodarz skrzywił się pogardliwie, gdy Konrad nie patrzył.

– Oto moje dzieło – oznajmił dumny z siebie Adamski.

– Aha...

W prychnięciu Śmietańskiego ewidentnie było słyhać wibrującą dezaprobatę. Pewność siebie malarza odrobinę skruszała. Odchrząknął i jeszcze raz wskazał dłonią na płótno.

– To moja wizja śmierci – powiedział.

– Proszę opowiedzieć o swojej pracy – zarządził Śmietański.

– Stworzyłem wizerunek śmierci.

– To już wiemy, takie zresztą było pana zadanie. A teraz proszę opowiedzieć mi, co dokładnie ma pokazywać ten landszaft. Osobiście nie widzę w nim żadnego nawiązania do tematyki śmierci, chyba że chodzi o wykorzystany materiał. Zabił pan kogoś, aby stworzyć ten obraz?

– Eee... nie...

– To ludzka krew?

– Świńska.

– Szkoda. Przynajmniej miałby jakieś przesłanie.

– Eee... – Konrad nieco się zapowietrzył.

– Co mają świnie do śmierci? Jeżeli chodziło panu o przetwarzanie na wędliny, to trzeba było narysować szynkę.

Konrad zaczerwienił się po cebulki włosów.

– To... to... to... moja wizja przemijania – powiedział, lekko się jękając. – Chciałem pokazać, że czas jest jak wypływająca krew.

Pewność siebie, którą prezentował od kilku ostatnich dni, wyparowała zupełnie. Jego opis brzmiał, jakby wymyślił go na poczekaniu.

– A z czego ona wypływa?

Śmietański sięgnął po filiżankę herbaty. Siorbnął głośno.

– To sztuka współczesna.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Być może pan go nie zrozumiał, więc uprzejmie powtórzę. Z czego ona wypływa? – Ciszę przerwało kolejne, pełne pogardy siorbnięcie.

– Z... ciała?

– Świńskiej tuszy, jak rozumiem?

– Ale... ale... ale... to przerośnia miała być. To sztuka współczesna, mój obraz jest formą manifestu!

– Za przeproszeniem, ale o kant dupy potłuc tę pana przerośnię, a tym bardziej manifest. Przedszkolak zrobi coś takiego, kiedy da mu się puszkę czerwonej farby i każe ją rzucić o płótno. Czy tak właśnie powstało to „dzieło”?

Konrad nic nie odpowiedział, ale jego mina mówiła aż za wiele. Śmietański westchnął ciężko.

– Mam nadzieję, że pana kolejna praca, o ile zdecyduje się pan tu zostać, będzie miała jakąś głębię. Na razie bardzo się na panu zawiodłem. Do widzenia.

Adamski stał dłuższą chwilę i patrzył z otwartymi ustami na pana Stefana pijącego herbatę. Staruszek starał się zachować kamienną twarz, ale doskonale było po nim widać, że ledwie powstrzymuje cierpki uśmieszek. Ponizenie malarza sprawiło mu bardzo dużo satysfakcji.

Jak się okazuje, wytworny Śmietański był tak naprawdę wrednym, zgryźliwym, cynicznym człowiekiem, który uwielbia robić innym na złość.

Byłby doskonałym kotem!

Konrad otrząsnął się z początkowego szoku, złapał płótno, teczkę i niemalże wybiegł z biblioteki. Gdy tylko trzasnęły za nim drzwi, na twarz Śmietańskiego wpłynął uśmiech. Klepnął się dłonią po kolanie, jakby sam przybijał sobie piątkę.

– Sandra Kucharczyk! – Przez drzwi dotarł do nas stanowczy głos Jana Kowalskiego.

Do środka weszła wytatuowana brunetka. Liczne kolczyki w jej uszach dzwoniły wesoło przy każdym kroku dziewczyny. Jednak ona sama wesoła nie była. Nachmurzone oblicze zdradzało duże napięcie. Nieświadomie co chwilę przygryzała wargę, w której oczywiście także tkwił kolczyk.

Aż mnie bolało, gdy na nią patrzyłem. Zastanawia mnie, jak ona może spać na tej stercie żelastwa. Musi jej być bardzo niewygodnie. A nawet jeśli umiała się na tym położyć, to przecież przy każdym ruchu kolczyki dzwoniły. Nie budził jej dźwięk? Postanowiłem, że zakradnę się do niej kiedyś w nocy, żeby sprawdzić, jak sobie radzi.

Nie miała teczki na prace. Swój rysunek niosła w rękach. Chyba nie chciała go ukrywać przed innymi.

Narysowała wyniszczonego chorobą człowieka leżącego na szpitalnym łóżku. Wisząca nad jego głową kroplówka była jednocześnie klepsydrą, w której kończył się przesypywać piasek. Postawiła sztywny, kremowy brystol na sztaludze.

– Ach, sangwina! – Śmietański wydawał się zachwycony. – Proszę mi powiedzieć, pani Sandro, lubi pani szkicować czy może jest pani miłośniczką rysunków Leonarda da Vinci?

Ponura dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Lubię renesans w sztuce – odparła gardłowym głosem. – Poza tym odpowiada mi kolor sangwiny.

Sangwina, czyli czerwobrunatna kredka, sama w sobie była pewną przenośnią. Pan Stefan pokiwał głową i powiedział:

– Pani poprzednik użył w swojej pracy prawdziwej krwi.

– Czuję. – Odetchnęła i skrzywiła się pogardliwie pod nosem.

Śmietański zaśmiał się, tym razem zupełnie szczerze. Zaniepokoiłem się. Sandra mu się spodobała. Nie tak miało być. On musi polubić moją Alę. Pozostali powinni go irytować.

– Pani jednak wybrała sangwinę, kredkę, która swoją barwą przypomina zaschniętą krew i której nazwa pochodzi zresztą od łacińskiego słowa *sanguis*.

– Lubię tę technikę – odparła.

Śmietański skupił się na jej rysunku. Zatupałem niecierpliwie. Jej praca była dobra. Zbyt dobra. Nie podoba mi się to.

– Nie mam żadnych uwag – stwierdził. – Wykonała pani zadaną pracę w stu procentach. Dziękuję.

Sandra kiwnęła oszczędnie głową. Zabrała rysunek i wyszła.

Fatalnie, i to bardzo. Z tego całego zdenerwowania zacząłem wylizywać sobie dolne partie ciała.

Następny był łysy Sebastian Tan, który malował gwaszem. Obraz był lekko rozmyty, jak przy malowaniu akwarelami. Przedstawiał zadrzewiony cmentarz. Śmietański podsumował, że całość wygląda poprawnie. Nie skrytykował, ale też zbytnio go nie pochwalił.

Blondynka Zuzanna Lubieńska namalowała olejny portret śmierci. Mówiąc krótko, czaszkę z płonącymi oczami. Była bardzo dumna ze swojego obrazu. Gospodarz postanowił sprowadzić ją na ziemię. Oświadczył, że czaszka z płonącymi oczami nadaje się na tatuaż dla podstarzałego motocyklisty, a nie do powieszenia w galerii.

Kolorowa Claudia Struwińska stworzyła witraż. Ładny, całkiem ciekawy według mnie. Jednak pan Stefan był innego zdania. Ocenił go negatywnie. Tęczowowłosa aktywistka na rzecz zwierząt wdała się z nim w pyskówkę. Podczas wzajemnego przerzucania się argumentami nawiązali nawet do mięsnych potraw, które z zamiłowaniem przygotowywał dzień w dzień Jan Nowak. Claudia zdecydowanie nie zostanie pupilką Śmietańskiego.

Rysujący węglem Emil, którego prace miały dużo fanów i nieźle się sprzedawały, nie dyskutował ze Śmietańskim. Nauczony doświadczeniem poprzedników postanowił się w ogóle nie odzywać. Wyszło mu to na dobre, bo nie nasłuchiwał się zbyt wielu niemiłych słów.

Podobnie do Emila zachował się rzeźbiarz Eryk. Jego zwierzęcy totem, inspirowany sztuką Indian północnoamerykańskich, bardzo spodobał się gospodarzowi. Nie mam pojęcia dlaczego. Moim zdaniem, przygotował po prostu duży, fantastyczny drapak.

Z kolei szukający spisku grafik komputerowy zamiast o swojej pracy postanowił porozmawiać ze Śmietańskim o dziełach sztuki zaginionych podczas drugiej wojny światowej. Pan Stefan wydawał się rozbawiony sugestiami młodego człowieka, jakoby miałby być neonazistą. Za to jego pracę ocenił surowo.

Jako ostatnia, zupełnie nie wiem dlaczego, została wywołana moja Ala. Wchodząc do biblioteki, uśmiechnęła się nerwowo. Ręce tak jej się trzęsły ze zdenerwowania, że aż upuściła swoją teczkę podczas prób jej otwarcia.

Śmietański obserwował ją z niechęcią.

Moja ukochana wyciągnęła swoją akwarelę i zamarła. Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Ja z kolei poczułem, jak moje serce staje.

Akwarela była zniszczona. Woda ze słoika po buraczkach wciekła do teczki.

## Rozdział 7. Pierwsze koty za płoty

Cisza w bibliotece była wręcz ogłuszająca. Miałem wrażenie, że zgromadzeni w niej ludzie słyszą przyspieszone bicie mojego spanikowanego serca.

Zniszczyłem akwarelę Ali. Zniszczyłem ją!

Obraz przedstawiający kondukt żałobny w deszczu był zalany wodą. Deszcz zamienił się w ulewę, od której spłynęły wszystkie barwy. Wyraźne, chociaż także lekko rozmazane, były tylko czarne kontury i szczegóły, które naniosła na sam koniec za pomocą zwykłego cienkopisu.

To katastrofa! Odpadniemy z konkursu. Nie mamy już tu czego szukać.

A wszystko przeze mnie i mój tłusty zadek!

– Interesujące – skomentował Śmietański.

Ala zamrugła, zupełnie jakby obudziła się ze snu. Oderwała z wysiłkiem spojrzenie od akwareli i odwróciła się do pana Stefana. Starzec kiwnął głową w stronę sztalugi.

– Proszę postawić swoją pracę. Chcę się jej przyjrzeć.

– Ja nie...

– Proszę nic nie mówić. Najpierw chcę ją dokładnie obejrzeć.

Moja ukochana posłusznie postawiła obraz na sztaludze. Brzegi kartki odrobinę pofałdowały się od nadmiaru wilgoci, ale na szczęście brystol się nie zwijał.

Całość wyglądała tragicznie. Tyle godzin Ala spędziła na dobieraniu kolorów, tyle wersji tej akwareli wylądowało w koszu na śmieci, zanim stworzyła dzieło, które wreszcie ją zadowoliło. I wszystko na marne.

Przerwałem obsesyjne wylizywanie łapki (robiłem tak zawsze, gdy się denerwowałem). W sumie, po głębszym namyśle, to nie była wcale moja wina. Ala powinna była sprzątnąć swój cenny słoik po buraczkach, kiedy już skończyła pracę. Po co trzymała w nim wodę po myciu pędzla? Poza tym mogła nie kupować najtańszej teczki na

prace, jaka istnieje na rynku. Na pewno produkują wodoodporne, które można wynosić chociażby na dwór, na deszcz.

Od razu poczułem się lepiej, gdy zrozumiałem, że ta katastrofa to jej wina. Ach ta Ala! Jak mogła tak sabotować nasz spadek przez swoje niedbalstwo?!

– Interesujące – powtórzył Śmietański. – Przyznam szczerze, że nie spodziewałem się takiego podejścia do tematu. Mile mnie pani zaskoczyła.

Ala wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

– Tak? – wyjąkała.

– Tak – potwierdził. – Prace, które wysłała pani ze swoim zgłoszeniem, były pełne emocji, były szczerze, prawdziwe. Bardzo dobre. Patrząc na nie, nie miałem wątpliwości, iż jest pani niezwykle utalentowaną osobą. Potem jednak zacząłem szukać w internecie innych pani obrazów. Każdego z was bardzo dokładnie sprawdziłem. W końcu muszę mieć pewność, że naprawdę umiecie tworzyć, że nie przysłałiście mi prac stworzonych przez kogoś innego.

– No tak – potwierdziła grzecznie.

– Podczas tych poszukiwań odkryłem niestety, iż jest pani ilustratorką książeczek dla dzieci. Dużej liczby książeczek, i to tych dla najmłodszych dzieci.

Zdziwiłem się. Ton jego głosu wyraźnie sugerował, że jest to powód do wstydu, a nie do dumy. Nic z tego nie rozumiałem. Przecież jako jedyni możemy się pochwalić publikacją prac Ali w książkach! To coś wielkiego! Większość dzieci w tym kraju zna Kota Cara, który włada Kociolandią.

Ala nic nie mówiła, w ogóle się nie broniła. Wyglądała, jakby zamieniła się w słup soli. Nawet przestała wyłamywać sobie ze zdenerwowania palce.

– Specjalnie wybrałem się do najbliższej księgarni, żeby obejrzeć kilka tych książeczek – wyznał Śmietański. – Nie zachwyciły mnie szczególnie, są zbyt przesłodzone. Chociaż domyślam się, iż dzieci mogą je lubić. Rozumiem, że musi pani jakoś zarabiać na chleb. Taka chałtura jest zrozumiała. Jednak naprawdę stać panią na coś lepszego. Widzę to w pani pracach.

– Eee... Dziękuję – odparła.



– To dlatego przyjąłem pani zgłoszenie i zaprosiłem do udziału w konkursie. – Upił łyk herbaty. Tym razem nie siorbał. Zachowywał się jak dżentelmen. – Chociaż nie powiem... obawiałem się, że zarzuci mnie pani bajkowymi, przesłodzonymi ilustracjami tłustych kotów. Zwłaszcza gdy dowiedziałem się, że uparła się pani zabrać ze sobą jednego z przedstawicieli tego gatunku.

Poczułem się urażony. To na mnie był wzorowany główny bohater jej najpopularniejszej serii książeczek. Jestem gwiazdą! Jestem sławny!

Poza tym wcale nie jestem gruby, wypraszam sobie! Jedynie puszysty.

Alicja się zaśmiała. Stopień mojej obrazy jeszcze bardziej wzrósł. Myślałem, że go skrzyczy za takie podłe insynuacje na temat mojej tuszy, a ona się zaśmiała! Skandal!

– Za to praca, którą mi pani pokazała... Jestem bliski stwierdzenia, że lepszej dzisiaj nie oglądałem – oświadczył. – Widzę przesłanie, widzę, co miała pani na myśli. Kontrolowane zalanie obrazu wodą to było genialne posunięcie. Widzę tę wilgoć roztapiającą barwy, niszczącą zamysł. Widzę śmierć sztuki. Świetne! Poproszę, żeby nie zabierała pani pracy. Chcę się jej przyjrzeć później na spokojnie.

– Ależ oczywiście.

Głos Ali był lekko zduszony. Zupełnie się tego nie spodziewała. Chyba nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

Ja też trochę nie dowierzałem. Niemniej mam nadzieję, że moja ukochana zdaje sobie sprawę z tego, że dzisiejszy triumf jest tylko i wyłącznie moją zasługą.

– Zanim panią puszczę. Wiem, że zbliża się pora kolacji, pewnie jest pani głodna. Proszę jednak usiąść obok i chwilę ze mną porozmawiać. Chciałbym zapytać panią o kilka rzeczy – powiedział. – Niech pani sobie przysunie drugi fotel. Janie!!!

Aż podskoczyłem, gdy nieoczekiwanie tak głośno zawołał. Ala także potknęła się zaskoczona siłą jego krzyku. Jak się okazuje, chudziutki staruszek, niemalże znikający na siedzeniu masywnego czarnego wózka inwalidzkiego, miał całkiem mocną przeponę.

Służący zajrzał do środka.

- Przynieś pani Alicji herbatę – zakomenderował Śmietański.
- Dobrze – odpowiedział Jan.
- Chyba że woli pani kawę? – zwrócił się do niej starszy pan.
- Herbata może być – odparła Ala speszona.
- Ma pani rację, jest już za późno na kawę. Poprosimy dzbanek earl greya.

Jan zniknął. Ala złapała ciężki fotel i przysunęła go do stolika. Śmietański patrzył na nią zaintrygowany. Stukał sękatym palcem o blat dzielącego ich stołu. Moja ukochana położyła dłonie na podolku. Była nieco speszona tą wnikliwą obserwacją.

– Proszę mi powiedzieć... ile ma pani wzrostu? – zapytał niespodziewanie.

- Eee... Sto osiemdziesiąt centymetrów – odpowiedziała.
- Bardzo dobrze.

Ala zamrugała zaskoczona tym komentarzem. Przyznam szczerze, że sam także nie wiedziałem, do czego staruszek zmierza. Czyżby chodziło mu o to, że na swojego następcę lub następczynię potrzebuję osoby reprezentacyjnej? Jeśli tak, to Ala na pewno pasuje. Większość ludzi jest od niej dużo... niższa. Będzie się ładnie wybijać na tle innych.

Drzwi biblioteki się otworzyły. Do środka wkroczył Jan z tacą. Ustawił na stoliku nową filiżankę i dzbanuszek. Z namaszczeniem nalał Ali herbaty. Jak na takiego olbrzyma, potrafił być wyjątkowo delikatny.

Pomieszczenie zalał bergamotowy aromat. Moja ukochana odrobinę się rozluźniła.

– Dziękuję – powiedziała do Jana, ale nie doczekała się odpowiedzi. Bez słowa zabrał tacę i wyszedł.

No cóż. Pan Stefan nie płaci mu wszak za mówienie. Mistrz kuchni jest przecież głuchoniemy. Ala sięgnęła po filiżankę. Wsypała do środka łyżeczkę cukru i zamieszała. Gospodarz wciąż taksował ją wzrokiem. Moja ukochana zawsze słodzi dwie łyżeczki. Widziałem, że chciała wsypać jeszcze jedną, ale powstrzymała się, speszona spojrzeniem pana Stefana.

Uniosła filiżankę do ust.

- Chciałby pan poznać także moją wagę? – zażartowała.
- Nie, widzę przecież, że jest pani solidnie zbudowana.

Ala się zakrztusiła.

– Trenowała pani coś w młodości?

Odchrząknęła kilka razy i odstawiła naczynie. Filizanka zadzwoniła głośno o spodeczek. Alicja straciła ochotę na herbatę.

– Tak, lekkoatletykę. – W jej głosie usłyszałem urazę.

Rzadko się złościła. Była raczej pogodną osobą. Jednak jeśli już coś wytrąciło ją z równowagi, to w ruch szły talerze czy co tam akurat miała pod ręką. Śmietański nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia.

– Widać po pani budowie. Ma pani bardzo silnie zarysowane ramiona.

Moja ukochana zaczęła się irytować. Nic nie powiedziała, ale po jej minie i zmarszczonych brwiach poznawałem, że jest bliska wybuchu. Oj, niedobrze. Jak za mocno uszkodzi staruszka, to nie będzie chciał nam zostawić spadku.

– Proszę się na mnie nie złościć – oświadczył pełnym wyższości tonem. Chyba wreszcie zauważył, że jego zastawa znalazła się w niebezpieczeństwie. – Nie lubię wiotkich, chuderlawych kobiet. Płeć według mnie nie jest żadnym wytłumaczeniem. A jakie dyscypliny najbardziej panią interesowały, jeśli można wiedzieć?

– Rzut oszczepem – powiedziała. – Ale znacznie lepiej wychodziło mi pchnięcie kulą.

– A nogi? Mam nadzieję, że ich pani nie zaniedbała.

– Nie, brałam udział w siedmioboju.

– Ach, cudownie. Czyli tak ogólnoustrojowo – ucieszył się.

W sypialni Ali stało nawet kilka nagród. Na olimpiadę nigdy nie pojechała. Z zawodowego uprawiania lekkoatletyki wyeliminowała ją bardzo przykra kontuzja. Podczas którychś zawodów, jeszcze zanim się do niej wprowadziłem, źle upadła po skoku wzwyż. Złamała nogę, która potem często ją bolała. Czasami, gdy zmieniała się pogoda i zbierało się na deszcz, moja biedna Ala kulała z bólu. Zawsze wtedy przytulałem się do tej kostki i grzałem ją własnym brzuchem. Nie wiem, czy uśmierzało to ból, ale na pewno poprawiało humor mojej ukochanej.

– A jaki to ma związek z moją sztuką? – zapytała.

– Żaden. Po prostu bardzo mnie to raduje, że spotkałem młodą kobietę, która umie o sobie zadbać. Szanuję to i podziwiam.

Z tym zadbanie o siebie to trafił tylko częściowo. Owszem, moja ukochana umie się bronić. Wybiła raz zęby jednemu idiotcie, który się do niej przystawiał (sam widziałem, bo zrobiła to pod blokiem, jego siekacze ładnie błyszcząły na chodniku w świetle latarni), ale jeśli chodzi o zaradność życiową i pewność siebie, to niestety nie było tak różowo.

Z niewiadomych powodów Ala, w przeciwieństwie do mnie, nie uważała się za cudowną boginię, która zstąpiła na ziemski padół. Codziennie kilka razy przeglądała się w lustrze i mimo to nigdy nie dostrzegła, jaka jest piękna i silna. Zawsze tylko odwracała się skrzywiona od tafli i narzekała, a to na pryszcze, a to na przetłuszczające się włosy albo na zbyt okrągłe policzki. Lustro, a już zwłaszcza to w łazience, nieustannie psuło jej humor.

Dziwni ci ludzie. Myślałby kto, że wieszają je wszędzie właśnie po to, żeby się podziwiać.

– A skąd pani pochodzi? Stąd? Z Dolnego Śląska? – Śmietański nie zamierzał najwyraźniej zakończyć szybko tego wywiadu.

– Moja rodzina jest z Pomorza.

– Och, z Pomorza, cudownie. A skąd konkretnie?

– Z okolic Stargardu.

– Miasto z bogatą historią.

Powoli wyłączałem się z tej dyskusji. Zaczęła mnie nudzić. Niech przestanie ją przepytawać i da nam wreszcie ten spadek.

– Ale teraz mieszkam w Krakowie – uściśliła Ala.

– Doprawdy? A czemu przeniosła się pani aż do Krakowa?

– Moi rodzice się tam przeprowadzili, kiedy poszli na studia. Nad morzem zostali dziadkowie i dalsza rodzina.

– Rozumiem. W takim razie mam jeszcze jedno pytanie. Obiecuję, że już ostatnie i będzie mogła pani udać się do jadalni świętować z innymi zaliczenie pierwszej konkurencji.

Dopiła herbatę i odstawiła pustą filiżankę.

– Proszę śmiało pytać, panie Śmietański.

– Czy nie ma pani przypadkiem niemieckich korzeni?

Znów zbił Alę z tropu.

– O ile wiem, to nie.

Śmietański się skrzywił.

– Szkoda. Wielka szkoda.

## Rozdział 8. Koci apetyt rośnie w miarę jedzenia

Kolacja przebiegała w napiętej atmosferze. Nikt nie celebrował udanego dnia. Śmietański nie zaszczyił artystów swoją obecnością. Po zakończonym pokazie prac wyszedł z Alą na korytarz i oświadczył zgromadzonym tam malarzom, że nadmiar sztuki, zwłaszcza tej złej, wywołał u niego silną migrenę i w związku z tym musi się wcześniej położyć. Ogólnikowo pogratulował osobom, których prace się mu spodobały, i potępił tych uczestników, którzy według niego w ogóle się nie postarali. Następnie przypomniał, że jego konkurs nie jest telewizyjnym turniejem, więc on nikogo nie będzie wyrzucał, ale osoby, których zamysł artystyczny zupełnie nie pokrył się z jego oczekiwaniami, powinny poważnie się zastanowić nad dalszym udziałem.

Stary, szczwany lis nie używał nazwisk. W ten sposób nie zdradził ogółowi, kto był najlepszy. Chciał zobaczyć, czy się niechcący, a raczej chcący nie pozagryzają z emocji. Zebrani nabrali wody w usta. Przynajmniej niektórzy.

– Muszę wam zdradzić, że pan Śmietański był zachwycony moim obrazem! – oświadczył zadowolony z siebie Konrad i przysunął sobie krzesło do szczytu stołu, gdzie zawsze siedział gospodarz.

Jan Nowak wjechał do jadalni metalowym wózkiem pełnym talerzy z pieczonymi pstrągami. Zapach był tak obłędny, że aż zacząłem się ślinić. Mam nadzieję, że Ala da mi dzisiaj wieczorem saszetkę z mokrą karmą albo otworzy jakiś pyszny pasztecik. Chyba należy mi się jakaś nagroda za to, że ulepszyłem jej akwarelę.

Kucharz zmierzył ponurym wzrokiem Adamskiego, ale ponieważ był niemową, nie skrytykował miejsca, które wybrał artysta. Eryk skorzystał z okazji i zajął krzesło Konrada. Dzięki temu znalazł się naprzeciwko Ali, a po prawicy Adamskiego.

– A co powiedział o twojej pracy? – zapytał Konrada autentycznie zainteresowany.

Krwisty malarz nie tracił rezonu i kłamał jak z nut:

– Zachwycił go wybór techniki – odparł pewnym siebie tonem. – Stwierdził, że użycie krwi było bardzo nowatorskie, a mój obraz poruszył go do głębi. Nie mógł się go po prostu nachwalić.

Zamyślony Eryk pokiwał głową. Zdawał się wnikliwie analizować rzekomą ocenę Śmietańskiego. Ciekawiło mnie, czy dalej będzie rzeźbił tylko i wyłącznie drapaki dla kotów. Podobno maluje też olejami.

– Ale co dokładnie ci powiedział?

Konrad zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

– To już sprawa pomiędzy mną a panem Śmietańskim – burknął i zapchał sobie usta rybą, żeby uniknąć kolejnych niewygodnych pytań.

Pozostałe osoby przy stole zmierzyły Konrada gniewnym wzrokiem. Działał im na nerwy. Był typem człowieka, którego wszędzie jest pełno i który musi ciągle mówić. Na dłuższą metę jego towarzystwo było bardzo męczące.

Ala siedziała cicho i patrzyła w swój talerz. Na szczęście nabrała wody w usta. Znakomicie. Lepiej, żeby inni artyści nie dowiedzieli się zbyt szybko, że wyszła na prowadzenie.

Grafik komputerowy żuł z napięciem kawałek chleba. Był bardzo zdenerwowany. Nie dziwię mu się. Jeśli początkowo miał nadzieję na spadek, to teraz mógł schować do kieszeni swoje marzenia. Przecież Śmietański na pewno go nie wybierze. Nie dość, że nie spodobała mu się jego grafika, to jeszcze obraził go kilkakrotnie, niemal na głos nazywając neonazistą. Nie wiem, co sobie myślał.

Nagle Konrad, najwyraźniej pobudzony pospiesznie wypitym kieliszkiem białego wina, znowu zaczął się przechwalać. On naprawdę nie umiał się przymknąć. Nie posiadał nawet cienia instynktu samozachowawczego, jeśli chcecie znać moje zdanie.

Zuzanna Lubieńska z irytacją rzuciła widelcem o talerz.

– Mógłbyś przestać się chwalić?! – warknęła. – Niektórzy chcieliby zjeść w spokoju.

Konrad uśmiechnął się złośliwie do blondynki.

– Czyżby nie poszło ci tak dobrze jak mnie?

Nic nie odpowiedziała. Za to jeśli umiałaby mordować spojrzeniem, to Adamski leżałby już na ziemi w kałuży krwi.

I to własnej, a nie wieprzowej.

– Dupek z ciebie – dodała Claudia.

Ona również była w nieszczęśliwym nastroju, co Konrad natychmiast postanowił wykorzystać:

– Też jesteś na wylocie? Może w takim razie lepiej się spakować i wyjechać? Po co narażasz naszego gospodarza na zbędne koszty i zużywasz mu wodę pod prysznicem? Bierz papugę pod pachę i...

– Zamknij ryja, bo przysięgam, że...!

W tej chwili do jadalni wszedł Kowalski. Dziewczyna z dredami czym prędzej zamilkła i pochyliła głowę. Usiłowała narzucić na twarz kolorowe strąki, by ukryć rumieniec wstydu, ale w ogóle jej się to nie udało.

Kowalski zmierzył ją niechętnym spojrzeniem. Konrad zacisnął usta i jakby skurczył się w sobie. Pewnie się bał, że oberwie za to, że zajął miejsce u szczytu stołu bez pozwolenia.

Jan postawił na blacie dwie butelki szampana.

– To prezent od waszego gospodarza. Jednocześnie pan Śmietański kazał państwu przekazać, że powinniście się dobrze wyspać, ponieważ jutro podczas śniadania poda kolejny temat waszych prac. Nakazał mi również powtórzyć, że osoby, które usłyszały słowa krytyki, powinny albo poważnie zastanowić się nad sensem dalszego uczestnictwa w konkursie, albo naprawdę postarać się następnym razem. Od siebie dodam tylko tyle, że nie jestem waszym taksówkarzem. Jeśli chcecie jutro opuścić rezydencję, to możecie zabrać się przed śniadaniem z naszym kucharzem. Nowak zawsze o szóstej rano jedzie po pieczywo do miasta. Ma w samochodzie trzy wolne miejsca. Dobranoc.

Gdy już zostali sami, we własnym gronie, rozmowa z powrotem zeszła na temat prac. Spekulowali, co też jutro wymyśli pan Stefan. Nikt nie sprawiał wrażenia chętnego do spakowania walizek, chociaż część osób była wyraźnie przygnębiona.

Jedynie moja Ala i Eryk przez większość czasu milczeli, pogrążeni we własnych myślach. Konrad raz po raz wznosił toast. Gdy szampan został wypity, sięgnął do barku i otworzył butelkę wina. Z każdym kolejnym słowem bardziej bełkotał. Czekałem, aż upije się na tyle, żeby wreszcie przyznać, że wcale nie zachwycił Śmietańskiego. On jednak wciąż trwał przy swoim, dodając do

rzekomej oceny swojej pracy coraz więcej szczegółów. Być może nawet sobie zdołał wmówić, że poszło mu genialnie.

Moja ukochana nie miała chyba ochoty na długą zabawę, bo pod pozorem bólu głowy niebawem wstała od stołu. Pognałem czym prędzej do sypialni, lekko zawiedziony. Wolałbym nadal słuchać ich rozmów. W końcu przyjaciół należy mieć blisko, ale wrogów jeszcze bliżej.

– Och, Lordzie! – westchnęła, kiedy znalazła się już w naszym pokoju.

Uniosłem głowę z pościeli, udając, iż obudziła mnie z długiej drzemki. Ala położyła się obok i zaczęła głąskać mnie po plecach.

– Nie wyobrażasz sobie, jaki miałam szalony dzień. Wygląda na to, że zostaniemy tutaj dłużej – powiedziała. – O właśnie!

Zerwała się z łóżka i podeszła do biurka. Bardzo szybko znalazła na podłodze pusty i suchy już po tylu godzinach słoik po buraczkach.

– Lord! – zawołała z wyrzutem. – To twoja sprawka!

Nie rozumiałem jej złości, to przecież dzięki mnie wszystko dobrze się skończyło.

– Ty tłusty kocie. Pewnie usiadłeś zadkiem na słoiku – narzekała.

Wypraszam sobie, wcale nie jestem tłusty. Jestem puszysty.

Rzuciła się z powrotem na łóżko. Sprężyny jęknęły, ale wytrzymały. Wtuliła twarz w moje futro.

– Boję się kolejnego zadania. Następnym razem zalanie rysunku wodą raczej nie zadziała.

Spokojnie, moja ukochana. Nie martw się o nic. Ja o nas zadbam. Mówiłem ci przecież. W myślach mówiłem. Moich myślach. Powinnaś się to wiedzieć.

Reszta jej narzekań i wątpliwości przelatywała mimo moich uszu. Kocham ją, ale czasami za dużo mówi. Spokojnie można przestać słuchać po pierwszych pięciu minutach, a i tak nie traci się wątku.

Nagle rozległo się stukanie do drzwi. Zdziwiona Ala poszła sprawdzić, kto to może być.

– Oby tylko nie Paweł – mruknęła pod nosem.

Jeszcze tego by brakowało, żeby ten świr znowu usiłował ją przekabacić. Może tak samo jak Śmietański uważał, że przypomina rodowitą Niemkę, i wymyślił jakąś nową teorię spiskową?



Ala uchyliła drzwi. Po drugiej stronie stał Eryk. Po jego minie trudno było stwierdzić, o co chodzi, bo facet nie uznawał istnienia mięśni mimicznych. Jego sylwetka wskazywała, że uznawał tylko i wyłącznie mięśnie, które wypychały rękawy koszulek. Być może nie chciał mieć zmarszczek na starość. Ala wiecznie marudziła, że odkąd przekroczyła trzydziestkę, powinna przestać się uśmiechać, bo robią jej się bruzdy dookoła ust.

Na szczęście nie przestała. A w każdym razie nie przestała się uśmiechać do mnie.

– Hej, co tam? – zapytała nieco zmieszana. Chyba nie spodziewała się, że Eryk mógłby coś od niej chcieć.

Ja, szczerze mówiąc, też nie. Zastanawiające.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś nie przejmowała się gadaniem Konrada. Kłamał na kolacji.

– Tak? – zdziwiła się. – Opowiadał całkiem przekonująco...

– Kłamał – powtórzył mężczyzna. – Bezpośrednio po ocenach prac słyszałem, jak płakał w łazience. Nie brzmiało to jak łyzy szczęścia.

– Och... dzięki za info.

– Nie ma sprawy. – Wzruszył ramionami. – Widziałem, że się przejęłaś. Ala, tu wszyscy będą kłamać, bo każdy chce wygrać. A jeśli Śmietański nikogo nie wyrzuca, najłatwiej pozbyć się konkurencji, najzwyczajniej w świecie przekonując innych, że ich prace są do dupy.

– No tak.

– Śpij dobrze.

Odwrócił się i odszedł.

– Ty też! – krzyknęła za nim.

Wróciła do łóżka i zaczęła mnie drapać za uszami. Troszkę bezmyślnie, chciałbym zauważyć. W ogóle nie skupiała się na mojej przyjemności.

– To może nie będzie tak źle? – mruknęła sama do siebie.

Obraziłem się. Przecież staram się przekonać ją o tym przez cały wieczór. A wystarczyło, żeby ten ponury wiking przyszedł i powiedział kilka słów, a jej od razu humor się poprawił. Skandal. Myślałby kto, że skoro ten Eryk jest człowiekiem i umie mówić, to ma nade mną przewagę.

Ala mimo wszystko była znękana po dniu pełnym wrażeń i błyskawicznie usnęła.

Za to dla mnie właśnie zaczynała się przygoda. Tej nocy wyjdę na dwór.

Sam.

## Rozdział 9. Co z oczu, to z wibrysa

Nastroje przy śniadaniu prezentowały się zupełnie inaczej niż przy kolacji. Uczestnicy konkursu byli bardzo milczący, wręcz przygaszeni, ale głównie porządnie skacowani. Nie opłacało się popijać szampana winem. Zamiast butelek z alkoholem osuszali kolejne dzbanki z wodą. Nikt też nie miał apetytu.

Ja także czułem się fatalnie. Moja nocna wycieczka nie skończyła się tak, jak sobie wyobrażałem. Na szczęście udało mi się wrócić po cichu. Ala niczego nie zauważyła. Nie chciało mi się iść do jadalni i patrzeć, jak jedzą śniadanie, z drugiej strony jednak wolałem niczego przegapić. To bardzo przykre, ale moja ukochana nie opowiada mi wszystkiego. W związku z tym, o ile nie chcę czegoś przespać, to muszę stale trzymać łapkę na pulsie.

No właśnie... łapkę. Przystąpiłem do przerwanej toalety. Muszę porządnie wylizać moją prawą przednią łapkę.

Tymczasem do jadalni dotarł, a raczej dotoczył się na swoim wózku, Stefan Śmietański. Obrzucił gości ponurym spojrzeniem. On, zdaje się, także wstał lewą nogą. Jan Kowalski poprowadził wózek do szczytu stołu, a następnie się oddalił.

Zebrani, tak jak co dzień, powitali chórem Śmietańskiego, upodobniając się do uczniów pierwszej klasy podstawówki. Gospodarz nie raczył im odpowiedzieć. Złapał lekko drżącymi dłońmi za lnianą serwetkę i rozłożył ją na swoich kolanach. Sięgnął po dzbanek herbaty i nalał sobie do filiżanki ciemnobrązowego naparu. Pozostali biesiadnicy wrócili do jedzenia. A raczej udali, że do niego wracają. Cały czas zerkali niespokojnie na Śmietańskiego, który wyglądał, jakby miał zamiar na nich nakrzyczeć. Chyba nie mogli doczekać się, kiedy usłyszą kolejny temat ich prac, albo spodziewali się bury za osuszenie butelek z winem.

Wreszcie pan Stefan odchrząknął.

– Widzę, że konkurs zaczął się naprawdę – oświadczył, ponownie przyglądając się zgromadzonym. – Jedno z was już nie wytrzymało napięcia.

Jak na rozkaz wszyscy skierowali spojrzenia na krzesło Konrada.

Ach, no tak. Zupełnie zapomniałem o tym wspomnieć. Kiedy w nocy wracałem ze spaceru, znalazłem jego stygnące zwłoki leżące w kałuży krwi tuż obok stołu, przy którym właśnie siedzieli.

Zerknąłem na parkiet, który kilka godzin temu był zakrwawiony. No proszę! Jestem zaskoczony nadzwyczajnymi zdolnościami Jana. Ani śladu po szkarłatnej plamie. Co prawda pod silnym zapachem sosnowego detergentu do mycia podłóg dało się wyczuć subtelny, metaliczny zapaszek posoki, ale osobiście byłem pod wrażeniem.

Właściwie nie dało się poznać, że popełniono tu morderstwo.

To znaczy, wydaje mi się, że go zamordowano. No, chyba że Konrad sam dźgnął się w serce, żeby nie przeszkadzać innym uczestnikom konkursu. Nie podejrzewam jednak, że tak się stało. Był zbyt egoistyczny na takie posunięcie.

Kiedy wygramy, zdecydowanie powinniśmy zostawić sobie Jana. Radzi sobie z plamami jak prawdziwy mistrz! Ciekawe, gdzie się tego nauczył? Może w tym tajemniczym Mosadzie, w którym podobno kiedyś był?

– Konrad wyjechał? – zapytała Claudia.

Śmietański nie zniżył się do odpowiedzi. Z kamienną twarzą rozbijał jajko na miękko.

– A taki był wczoraj pewny siebie! – ciągnęła dziewczyna z dredami. – Chwalił się przecież ile wlezie.

Wyjechał, wyjechał, ale nogami do przodu. To intrygujące, czemu usiłują ukryć, że Konrad już nigdy niczego nie namaluje?

– Najwyraźniej kłamał – skwitowała wytatuowana Sandra.

Zafascynowany patrzyłem, jak oblizuje wargę z kolczykiem. Że też ją to nie boli. Obrzydlistwo. Nie wyobrażam sobie na stałe nosić na ciele niczego sztucznego. W przeszłości, naprawdę bardzo dawno temu, gdy jeszcze byłem żwawym młodzieniaszkiem, który uwielbiał przygody, Ala usiłowała założyć mi obrozę z adresówką, na wypadek gdybym jej uciekł. Powiedzmy wprost... nie skończyło się to dobrze dla nikogo. Byłem bardzo długo obrażony.

Kanapa do dzisiaj nosi ślady moich zranionych uczuć.

Wróciłem do lizania swojej biednej łapki. Ach, bo chyba nie wspomniałem o tym wcześniej. Wczoraj byłem tak zaaferowany moim udanym, aczkolwiek krótkim spacerem, że zupełnie mi nie

przeszkadzało, iż oprócz zadrapania na nosie mam różany kolec wbity pod jedną z poduszeczek na przedniej łapce. Zaczęło mi to dokuczać dopiero nad ranem. Od kilku godzin usiłowałem go wylizać szorstkim językiem, ale trzymał się mocno. Prawdopodobnie wbił się głębiej.

Niedobrze. Ból robi się coraz większy. Prędzej czy później Ala zauważy, że kuleję. Raczej się domyśli, że nie zrobiłem sobie krzywdy w zamkniętej sypialni.

– Pewnie są państwo ciekawi, jaki będzie kolejny temat waszych prac – powiedział Śmietański, gdy uporał się ze swoim jajkiem.

Wszyscy, nawet ja, spojrzeliśmy na niego z ciekawością. Ala była bardzo spięta. Panicznie bała się kolejnej oceny. Paradoksalnie zachwyty nad zalany obrazem sprawił, że zupełnie straciła wiarę w swoje umiejętności i talent.

– Tym razem coś łatwego. Temat śmierci odrobinę państwa przerósł. Mam też wrażenie, iż niektóre osoby potraktowały go zbyt dosłownie... Przypomnijcie sobie moje uwagi dotyczące waszych prac i tym razem postarajcie się wypaść lepiej.

Kiwali głowami jak szaleni, spijając każde słowo z ust pana Stefana. Tymczasem do jadalni wszedł Kowalski. Pchał przed sobą wózek z wiadrem. W rękę niósł wilgotny mop. Do mojego czułego nosa momentalnie doleciał mocno perfumowany aromat płynu do mycia podłóg. Dozorca się zmieszał.

– Przepraszam – burknął. – Myślałem, że już po śniadaniu.

Śmietański zmarszczył czoło i wyszczerzył zęby, a dokładniej mówiąc przeraźliwie białą sztuczną szczękę, w grymasie wściekłości. Po głębszym zastanowieniu, doszedłem do wniosku, że do twarzy byłoby mu z kłami. Szkoda, że nie potrafię mu tego jakoś zasugerować, ale naprawdę powinien sprawić sobie szczękę z kocimi kłami, kiedy będzie wymieniał obecną na nowszy model.

– Wróć później – dodał Jan szybko i uciekł z mopem i wózekiem.

No proszę, jaki porządny. Chciał jeszcze raz umyć podłogę, żeby na pewno nie został żaden ślad po krwi Konrada.

Śmietański znowu przywołał na twarz nieszczerzy uśmiech.

– Temat waszej następnej pracy to... martwa natura.

Martwa natura, śmierć... Ten człowiek miał jakiś niezdrowy fetysz, tak na moje kocie oko.

– Możecie namalować lub narysować, co tylko chcecie. Od was zależy, czy to będzie wazon z kwiatami, patera pełna owoców, nadgryziona kanapka czy drewniana łyżka. Nie obchodzi mnie, co wybieriecie. Posłuchajcie swojej intuicji. Mnie interesuje tylko, jak to przedstawicie. Zrozumiano?

Uczestnicy pokiwali głowami, kilka osób coś mruknięło pod nosem. Niemniej wydawało się, że pomysł na kolejną pracę przypadł im do gustu. Na pewno zostawiał więcej miejsca na improwizację niż poprzedni.

– Macie trzy dni – oświadczył twardo gospodarz.

– COOO? Trzy dni? Tak mało? Nie zdążymy. – Tym razem nie powstrzymali się przed reakcją. Chór głosów zatrajkotał w jadalni.

Śmietański uśmiechał się złośliwie. Otarł usta serwetką i rzucił ją niedbale na talerz wymazany żółtkiem.

– Za mało czasu na narysowanie kilku jabłek? – zakpił. – Czyżbym przecenił wasze możliwości? Jeśli uważacie, że nie zdążycie, to wiecie, gdzie są drzwi.

Zamilkli.

– Mam nadzieję, że poradzicie sobie lepiej niż ostatnio, bo przez was powoli zaczynam wątpić w sens całego przedsięwzięcia.

Staruszek chwycił za dżojstik na podłokietniku swojego wózka inwalidzkiego. Mechanizm ożył i wywiózł gospodarza z jadalni. Nawet się, skubany, nie pożegnał. Przysunąłem pyszczek do kratki. Śmietański skierował się do drugiego korytarza. Tam nie było sypialni gości. Drugie skrzydło miał tylko dla siebie. Muszę spróbować przejść się tunelami w tamtym kierunku. Ciekawe, co znajdę oprócz jego sypialni.

Milczenie przy stole się przedłużało. Chyba wszyscy czekali, aż całkowicie ucichnie dźwięk elektrycznego silniczka. Gdy młodzi artyści poczuli się bezpiecznie, odezwała się Zuzanna Lubieńska:

– Co za idiotyzm! Maluję olejami. Przecież farba ledwie zdąży zaschnąć w trzy, może w dwa dni. I to jedna warstwa. A ja lubię nakładać dużo farby. Cały obraz mi spłynie, kiedy postawię go w pionie, żeby pan Stefan mógł go ocenić.

– Właśnie! – zawtórowała jej Claudia, która z tego, co pamiętałem, także malowała olejami. – On po prostu nie chce, żebyśmy wykonali to zadanie prawidłowo. Takie rzeczy wymagają czasu. Samo wybranie tematu, ustawienie przedmiotów, oczekiwanie na dobre światło potrwa... no długo! Wydaje mi się, że to wszystko może zająć co najmniej tydzień!

Posługujący się węglem i pastelami Emil Laurentowicz uśmiechnął się nieznacznie pod swoim niemodnym wąsikiem. Najwyraźniej uznał, że dzięki swoim ulubionym technikom pokona konkurencję. On nie musiał czekać, aż coś wyschnie. Zauważyłem, że czujnie rozglądał się po jadalni w poszukiwaniu natchnienia. Jego wzrok zatrzymał się na srebrnej trzypoziomowej paterze, na której leżały smakowicie wyglądające ciasteczka. Obok niej znajdował się srebrny kandelabr z dwiema częściowo wypalonymi świecami. Wosk ładnie zastygł na powyginanym misternie metalu.

Faktycznie, niczego sobie ta kompozycja.

– Dodajcie sykatywy do farb – mruknął Eryk. – Albo pryśnijcie obraz sykatywą w spreju. Ja ją ze sobą zabrałem. Jeśli nie macie, mogę wam pożyczyć.

Zuzanna i Claudia zgromiły go wzrokiem.

– Chyba żartujesz! – prychnęła Lubieńska. – Sykatywa może i przyspiesza schnięcie farb olejnych, ale to nie jest właściwe rozwiązanie. Dodana w zbyt dużej ilości przyspiesza starzenie obrazu. Farby mogą popękać.

– Wątpię, że prace zawisną w jakiejś galerii. Przecież on chce tylko ocenić naszą technikę i oko do szczegółów, być może gust – powiedział Eryk. – Jak dodamy sykatywy, to świat nie upadnie, a będzie można przynajmniej nałożyć kolejną warstwę olei.

– Ten cały konkurs to jakaś farsa! – prychnęła Claudia.

Zerwała się gwałtownie ze swojego krzesła i wyszła, stukając obcasami.

Inni uznali to za sygnał do zakończenia śniadania, bo także zaczęli się zbierać. Emil rzucił jeszcze raz okiem na paterę i wybiegł niemal truchtem. Ala złapała jabłko i razem z Erykiem skierowała się do wyjścia.

Ostatnia szła Sandra Kucharczyk, miłośniczka brunatnej kredki. Zbliżyła się do patery z deserami. Wzięła jedno z ciasteczek.

Zerknęła na drzwi, które właśnie zamknęły się za Alą i Erykiem. Następnie drugą ręką przewróciła patelnię, rozsypując łakocie po podłodze. Przez chwilę zastanawiała się, co dalej zrobić. Wreszcie złapała za kandelabr i przestawiła go w inne miejsce.

Powinienem się zbierać, żeby dostać się do pokoju przed moją ukochaną, ale nie mogłem powstrzymać ciekawości. Najwyraźniej nie tylko ja zauważyłem, że Emil odkrył już miejsce, które go natchnęło.

Sandra zjadła powoli ciastko, ciesząc wzrok zniszczoną kompozycją. Dobrze, że to zrobiła. Sam miałem podobny pomysł, ale zanim znalazłbym sposobność, żeby wbiec do jadalni, to Laurentowicz zdążyłby skończyć szkic.

Gdy dotarłem do pokoju i wskoczyłem przez kratkę pod łóżko, usłyszałem zaniepokojony głos Ali:

– Lord? Lord! Gdzie jesteś?!

W tej chwili narzuta uniosła się i moja ukochana zmierzyła mnie badawczym spojrzeniem. Zatrzymałem się w połowie ruchu przyłapany na gorącym uczynku. Byłem jak jeleń w świetle reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki. Niestety, tak jak jeleń, nie miałem zbyt wielkich szans na ratunek.

Radość na twarzy Ali pojawiła się na krótko i zniknęła, moja piękna zauważyła ziejący za mną prostokątny otwór. Leżąca nieopodal oderwana kratka wentylacyjna także nie poprawiła jej humoru.

Spóźniłem się. Wszystko się wydało. Żegnaj, swobodo.

– Co to ma być?! – warknęła.

No cóż. Liczyłem raczej na: „Mój kochany, tęskniłam tak bardzo za tobą. Me serce szalało z rozpaczy, gdy nie zobaczyłam twojego ponętnego, wysportowanego, w ogóle nie otyłego ciała na mojej poduszce. Podejź do mnie, bym mogła głaskać cię i kochać do końca świata”. Ale oczywiście, jak zwykle, nie doczekałem się od niej takiej deklaracji.

Pieskie życie! Ekhem... znaczy kocie.

Narzuta opadła, pogrążając mnie ponownie w półmroku. Ala przestała być widoczna. Przyznam szczerze, że byłem skonfundowany. Nie trzymała mnie jednak długo w niepewności. Niebawem znów się ujawniła, dzierżąc w dłoni telefon komórkowy,



w którym włączyła opcję latarki. Zamknąłem oczy, gdy zalało mnie przeraźliwie jasne światło.

Święta Bastet, chyba właśnie na zawsze straciłem wzrok.

– Co to jest? Co to za kanał?! Gdzieś ty znowu wlaź? Przygód ci mało?! – piekliła się podczas mozolnego wpełzania pod łóżko. – Nie pamiętasz już, jak twój tłusty tyłek utknął w kocim domku?!

Zrobiło mi się przykro. To bardzo nieładnie z jej strony, że wciąż wypomina mi tamtą zenującą sytuację. Poza tym to wszystko było jej winą. Jak zawsze.

Kupiła mi drapak, bo miała nadzieję, że będę z niego korzystał. Było to naprawdę miłe z jej strony, ale nie wiem, po co wydawała pieniądze, skoro od dawna usiłowałem ją przekonać, że w zupełności wystarcza mi nasza kanapa i tapicerowane krzesła. Mogła zamiast tego kupić mi karton jakichś pysznych pasztetów. Najlepiej o smaku rybnym.

A wracając do drapaka... miał w komplecie koci domek. Z takim małym okrągłym otworem. Kto by podejrzewał, że wewnątrz będzie tak niewiele przestrzeni? Poza tym, jeśli moja głowa weszła do środka, to i reszta ciała powinna się zmieścić, czyż nie? Przecież nie mogłem przewidzieć, że kiedy do niego wejdem, to nie będę mógł się obrócić i utknę. Producent powinien się wstydzić. To bardzo niebezpieczny sprzęt! Kotu o znacznie większych gabarytach ode mnie, bo ja przecież jestem szczupły, mogłaby się stać krzywda.

Skończyło się na tym, że Ala musiała prosić o pomoc sąsiada i razem porąbali domek na kawałki. Nie muszę chyba wspominać, że to mogło się dla mnie skończyć tragicznie? Trauma została do dzisiaj.

Łóżko, pod którym siedzieliśmy, było naprawdę wysokie. Ala zaparła się stopami o podłogę i wepchnęła prawie w całości pod ciężki mebel, usiłując doczołgać się do kanału. Uskoczyłem na bok, żeby zrobić jej miejsce, i ze zgrozą patrzyłem, jak w wentylacji znika najpierw jej głowa, potem ramiona, a następnie brzuch. Teraz wystawał tylko jej ponętny tyłeczek i nogi.

A nie mówiłem, że ta wentylacja jest jakaś taka podejrzanie duża? Nawet moja Ala zmieściła się w środku.

Nagle jej nogi zamachały jakoś dziwnie gwałtownie.

– O kurwa. – Usłyszałem jej stłumiony głos.

Zdziwiłem się. Nigdy nie używała raczej takiego słownictwa. Szybko jednak zrozumiałem, dlaczego tym razem nastąpił wyjątek od reguły.

Utknęła.

Ekhm... nie, żebym zwracał uwagę, ale czyżbym nie tylko ja miał tłusty tyłek?

## Rozdział 10. Koci, koci łapci... pojedziem do weterynarza

Patrzyłem na świat przez więzienne kraty. Moja wolność się skończyła. Zbliżała się kaźń. Zostałem wsadzony do transportera. Jak zwierzę... i na dodatek Ala postanowiła zabrać mnie do weterynarza, oczywiście wbrew mojej woli.

Bardzo głośno miauczałem, ale w żaden sposób nie zmiękczyło to serca mojej ukochanej. Chyba cały czas była na mnie zła za nocną wycieczkę. Albo boczyła się na to, że przez moją uszkodzoną łapkę musimy jechać do miasteczka i straci jeden z trzech dni, który miała poświęcić na malowanie.

Wierzę w nią. Dwa dni spokojnie jej wystarczą.

Postawiła transporter na zwirowym podjeździe. Czekaliśmy podobno na Jana Kowalskiego. Miał do załatwienia jakieś sprawy w miasteczku i łaskawie zgodził się nas zabrać.

Westchnąłem w duszy. Nie lubię chodzić do weterynarza. Za każdym razem, kiedy go odwiedzamy, dzieje mi się coś niemiłego. Przeważnie dostaję zastrzyki albo wsadzają mi termometr w bardzo nieprzystojne miejsce.

Najpierw ucieszyłem się, że Ala dała radę wycofać się z tunelu wentylacyjnego. Teraz jednak nie jestem przekonany, czy moja radość nie była przedwczesna. Gdyby utknęła tam do wieczora, to nie siedziałbym teraz w transporterze.

Było już zimno. Ala wyłożyła moje więzienie grubym kocem, w którym mogłem się zakopać, bo plastikowe ścianki w ogóle nie chroniły przed jesiennym chłodem. Ale i tak trochę marzłem. To na pewno ze stresu.

Przycisnąłem nos do kratki. Niedaleko, na trawniku, zobaczyłem Eryka. Miał na sobie dres. Robił jakieś dziwne pozy. Machał rękami, potem kuczał, stawiał szeroko stopy. Dziwnie się zachowywał. Zupełnie jakby coś mu zaszkoziło. Albo jakby próbował uprawiać sport. Znam takich wariatów. Przez okno naszego bloku widywałem

czasem podejrzanych ludzi, którzy mimo brzydkiej pogody wychodzili na dwór, żeby pobiegać lub poćwiczyć.

A czemu podejrzanych? Dlatego że praktycznie nigdy nie byli ubrani adekwatnie do panujących warunków atmosferycznych. Gdy moja Ala wkładała grubą kurtkę i czapkę, to oni nosili jakieś takie obcisłe, kolorowe ubranka. Jeden notorycznie zakładał krótkie spodenki. Chyba lubił pokazywać wszystkim swoje włosy na nogach.

Kolejną niezwykłą rzeczą był sam fakt, że chodzili pobiegać. No bo kto normalny chodzi pobiegać? Przecież biega się za czymś albo przed czymś. Nawet psy o tym wiedzą. A oni biegali tak po prostu. Nigdy nie zauważyłem, żeby ktoś przed nimi uciekał albo żeby ich ktoś gonił. I nie wyglądali na szczególnie zadowolonych, więc nawet nie przynosiło im to żadnej radości.

Mówię wam, podejrzane.

A teraz konkurent mojej Ali robił jakieś zdumiewające wygibasy na trawniku. Był równie podejrzany jak tamci biegacze.

Eryk pochylił się do przodu i dresowe gacie w kolorze spłukanej szarości uniosły się do góry. Był wysokim facetem, więc miał odrobinę przykrótkie nogawki. Zauważyłem, że coś srebrnego błyszczący mu na prawej kostce. A cóż to takiego? Aż musiałem zmrużyć oczy.

Wiem, że on jest rzeźbiarzem, ale to lekka przesada nosić cały czas nóż ze sobą. Chyba że tak bardzo chce wszystkim udowodnić, że w każdej chwili jest gotów zaatakować pierwsze lepsze drzewo, żeby wyryć na nim swoje inicjały.

Transporter się uniósł. Straciłem z oczu tego pseudowikinga i na dodatek pozera. Niech on lepiej się zajmie rzeźbieniem drapaków dla kotów, a nie udziałem w konkursie o spadek. Phi.

– Och, dziękuję! Dam radę.

– Poniosę, jest ciężki...

Oburzyłem się. Kto uważa, że ja jestem ciężki?!

Łypnąłem okiem przez kratę i dostrzegłem, że Ala podała moje więzienie Janowi Kowalskiemu. Ach, no tak. Miał nas przecież zawieźć do weterynarza. Już zdążyłem zapomnieć, zaferowany obserwacją świata zewnętrznego. Znakomicie, Alu, niech się przyzwyczajają, że musi nosić za tobą różne rzeczy. Niedługo zostaniesz jego szefową.

Moja ukochana wsiadła do furgonetki i wzięła na kolana plastikowe pudło, w którym siedziałem. Na szczęście wykręciła mnie tak, że kratka znalazła się od strony kierowcy. Mogłem dzięki temu obserwować naszego przyszłego „Jana”.

Był naprawdę brzydki. Chociaż osobiście wciąż wierzę, że stałby się o wiele bardziej dystyngowany, gdyby zapuścił elegancki, równy wąsik i włożył liberię. Trzeba będzie go do tego przekonać, kiedy wprowadzimy się na stałe.

– Bardzo dziękuję, że możemy się z panem zabrać – powiedziała Ala.

– Lubię koty – mruknął ponurym tonem.

Zerknął na mnie i... uśmiechnął się. Aż dostałem dreszczy, mimo że ten grymas raczej naprawdę był szczery. Niemniej był to dość przerażający widok. Lepiej wyglądał, gdy się nie uśmiechał.

– W mieście jest jeden weterynarz, ale dobry. Proszę się nie obawiać. Nie zrobi kotu krzywdy. Znam go.

– Nazywa się Robert, prawda? – zapytała. – Podrzucił mnie kawałek, kiedy tu jechałam.

– Tak, to on. Niech pani zapisze sobie mój numer telefonu. Jak wyjdziecie, to proszę do mnie zadzwonić, odbiorę was – oświadczył.

Jaki wspaniałomyślny! A przecież pierwszego dnia wyraźnie mówił, że nie jest niczym szoferem.

– Bardzo dziękuję – pisnęła Ala, tak samo jak ja zaskoczona propozycją. – Ale nie wiem, ile to nam zajmie, czy długo będzie pan na nas długo czekał. Może spróbujemy wrócić w jakiś inny sposób...

– Lubię koty – powiedział po raz kolejny.

– Ale...

– Lubię koty – powtórzył, ucinając tym dalszą dyskusję.

Nie wiem, czego Ala nie zrozumiała. Taka deklaracja tłumaczy wszystko.

Przez chwilę jechaliśmy w ciszy. Moja ukochana bezmyślnie stuknęła palcami w dach transportera. Denerwowała się. Mam nadzieję, że stresowała się moją kontuzją i bardzo ciężkim stanem psychicznym związanym z podróżą w zamknięciu, a nie czasem, który tracimy na tę wycieczkę.

– Długi ten podjazd – zauważyła.

Zamrugalem. To my jeszcze nie wyjechaliśmy z naszej przyszłej posesji? A ja naiwnie myślałem w nocy, że dojdę do ogrodzenia. Chciałem zbadać, jak duży będzie nasz majątek. Nie udało mi się to. Przedostałem się wentylacją do składziku na szczytce na pierwszym piętrze. Tamtejsza kratka w ogóle nie była przymocowana do wylotu. Sądząc po ilości kurzu, który się na niej znajdował, to leżała odłogiem dobre kilka miesięcy. Składzik jako jedyny nie był zamknięty. Drzwi pozostawały zawsze lekko uchylone. Przemknąłem się stamtąd do jadalni i przez otwarte okno wydostałem na gzyms, po którym dotarłem do rozległego balkonu. Potem było już prosto. Musiałem tylko zejść po drewnianej pergoli, którą oplatały pędy róż.

Zejsście nie należało do najłatwiejszych. Trochę się poturbowałem, ponieważ ostatnie dwa metry postanowiłem pokonać za pomocą jednego skoku.

Och, no dobrze. Niech wam będzie! Spadłem. Ale był to kontrolowany upadek.

Szkoda tylko, że niechcący wbiłem sobie ten piekielny kolec w łapę. To znacznie utrudniło mi późniejszy spacer. Kulałem po najbliższej okolicy. Odkryłem, że za dworem znajduje się stajnia, która okrutnie śmierdzi końmi, a także duży garaż. Nie zajrzałem jednak do żadnego z tych budynków.

Korciło mnie, żeby przejść się podjazdem w stronę bramy. Nawet zapaściłem się na krótką przebieżkę, ale udało mi się dojść tylko do sadu. Potem dałem sobie spokój. Co prawda dostrzegłem tam między drzewami coś interesującego, a dokładniej jakiś różowy fatałaszek powiewający na wietrze, ale było tak zimno, a mnie tak bolała łapka, że dałem sobie spokój.

Wybiore się tam następnym razem.

– Podjazd ma prawie pięć kilometrów długości – powiedział Jan Kowalski.

– Bardzo dużo.

– Działka jest spora. Ma kształt prostokąta – wyjaśnił. – Dwór jest idealnie pośrodku. Całość ma dziesięć na pięć kilometrów.

– Och... nie spodziewałam się, że ten teren jest aż tak ogromny.

– Ma to swoje zalety i wady.

Na mnie to nie zrobiło takiego wrażenia, bo kilometr to dla mnie pojęcie abstrakcyjne. Byłbym wdzięczny, gdyby przeliczyli to dla mnie na odległość: od drzwi łazienki do drzwi wejściowych w naszym mieszkaniu. Wtedy miałbym przynajmniej jakieś porównanie, a teraz mogę tylko zgadywać, że to dużo.

– Łatwo się zgubić, jeśli zboczy się z podjazdu – wyjaśnił. – Całość jest ogrodzona, ale jak pani zauważyła, większość terenu pokrywa las. Jest też trochę starych nieużytków i budynków... gospodarczych.

Zająknął się. Ciekawe dlaczego? Moja ukochana tego nie zarejestrowała. Za to ja poczułem dreszczyk emocji. Jan coś ukrywał. Byłem o tym przekonany.

– Spokojnie, nie będę wybierała się na dalekie spacer – zapewniła go Ala. – Pan Śmietański tak podkreślił tempo, że po powrocie z miasta raczej nie ruszę się sprzed sztalug.

– Dobrze.

Zatrzymaliśmy się. Kowalski wysiadł, zostawiając uchylone drzwi. Zobaczyłem przez nie kamienne ogrodzenie, bardzo wysokie. Nawet moja Ala nie zdołałaby podskoczyć i złapać się za górną krawędź. A przecież trenowała kiedyś skoki.

Jan wsiadł z powrotem do samochodu. Trzasnął z furią drzwiami. Lekko zdezelowana furgonetka zaprotestowała głośnym zgrzytem. Przyznaję, iż poczułem się przez to odrobinę nieswojo. To auto w żadnym razie nie wzbudzało zaufania. Wyglądało, jakby wyprodukowali je sto lat temu. Rozumiem, że Śmietański nie inwestował w samochód dostawczy, którym jeździ jego służący, ale na moje oko ten konkretny egzemplarz aż prosił się o pilne zezłomowanie.

– Pierdolony mechanizm w bramie się psuje – wyjaśnił Jan. – Powinien otwierać się pilotem, ale jak pojawiają się przymrozki, to jakiś kabel przestaje stykać.

– To listonosz chyba ma problem.

– Proszę mi dać spokój. W kółko coś się psuje. Powinniśmy mieć ochroniarza w budce przy wjeździe. Tylko wtedy to by miało jakiś sens. A nie ja tracę pół życia na patrzenie w telewizor i obserwację otoczenia przez kamery. A swoją drogą, to listonosz w ogóle się do

nas nie fatyguje. Ja odbieram raz w tygodniu pocztę z miasta. Tak jest prościej.

– Rozumiem.

Przejechaliśmy przez bramę. Znowu wysiadł. Usłyszałem, jak klnie, szarpiąc się z metalową, skrzypiącą bramą.

Kiedy odziedziczymy majątek, powinniśmy zainwestować w ochroniarza, tak jak mówił pan Jan. Przecież w domu jest tyle dzieł sztuki. Szanuję zdolności dozorczy, ale przydałaby się nam dodatkowa ochrona.

– A co z tą dziewczyną? – zapytała Ala, kiedy wsiadł i wreszcie wjechaliśmy na porządną, asfaltową drogę.

Westchnąłem z ulgą. Podczas jazdy szutrówką było mi bardzo niedobrze. Jeszcze chwila, a bym wymiotował.

– Jaką dziewczyną?

– Tą, która zapomniała dowodu. Wróciła do domu?

Jan milczał. Samochodem lekko szarpnęło na zakręcie. Polizałem bolącą łapkę. Mam nadzieję, że nie dostanę żadnego zastrzyku. Wizyta u weterynarza to najgorsze, co może spotkać kota.

– Tak, wróciła – odparł.

Reszta podróży minęła w ciszy. Kowalski najwyraźniej nie miał ochoty rozmawiać. Ala także pograżyła się we własnych myślach. Za to ja mogłem w spokoju pożalić się na własny los i życiowe nieszczęście.

Tak bardzo się rozkleiłem, że aż usnąłem. Obudził mnie bezruch, gdy Jan zaparkował pod przychodnią.

– Będę dzwonić – powiedziała Ala, powoli gramoląc się ze mną na zewnątrz. – Jeszcze raz dziękuję.

– Lubię koty.

Szanuję, że lubi mój gatunek. Miło, że tak często to powtarza.



## Rozdział 11. Kabaret kociego niepokoju

Patrzyłem przez kraty na krzywy chodnik i niskie zabudowania. Miasteczko, niedaleko którego wkrótce zamieszkamy, przypominało raczej dużą wieś. Nie było tu budynków liczących więcej niż trzy pietra. No, chyba że po prostu znajdowaliśmy się w takiej okolicy.

Nabrałem głęboko powietrza i skrzywiłem się z niesmakiem. Sezon grzewczy się rozpoczął. Dało się wyczuć mało subtelny zapach palonego plastiku i jeszcze czegoś chemicznego. Czegoś, co trochę przypominało woń wydzielaną przez zapalone zimne ognie. Swąd drapał nieprzyjemnie w gardło. Miałem wrażenie, że zaległ mi gdzieś z tyłu języka i już nigdy się go nie pozbędę.

Nie lubiłem zimy. Ale nie z powodu mroźnego powietrza wpadającego przez okna, zakatarzonego nosa mojej Ali, lodowatych szyb czy kaloryferów parzących w tyłek. Nie lubiłem zimy, bo świat wtedy cuchnął. A wiem, co mówię, bo mam bardzo wrażliwy węch. Ala chyba aż tak nie czuła tego codziennego smrodu, który wpadał przez uchylone okna do mieszkania. Mnie było od niego czasami niedobrze.

Teraz też poczułem, że zbiera mi się na wymioty. Chociaż może aktualnie związane to było z tym, że podeszliśmy do przeszklonych drzwi, na których krzywo naklejone kolorowe litery głosiły, że przyjmuje tutaj weterynarz Robert.

Czy moglibyśmy zrezygnować z wizyty? Ja w sumie czuję się świetnie. Jak nowo narodzony kociak. Łapa zupełnie mnie już nie boli, a w zasadzie to nigdy nie bolała. Przeszło mi. Naprawdę!

Ala pchnęła drzwi. Zawieszony nad nimi dzwoneczek rozdzwonił się jak szalony. Gdzieś od razu zaczął ujadać pies. Usłyszałem też zaniepokojony miauk jakiegoś mojego pobratymca. Usiłowałem go dostrzec przez kraty, ale musiał się dobrze ukryć.

A może wcale się nie ukrył? Może weterynarz Robert właśnie go torturował w swoim gabinecie? Może nigdy go nie spotkam? Może już nie żył...?

Zakopałem się pod kocyk i zadrzałem.

– Lord? Czemu popiskujesz? – Zaniepokojona twarz Ali pojawiła się za kratą. – Boli cię bardziej? Już idziemy do doktora. Zaraz wyleczy ci łapkę.

Albo mnie wykończy, konował jeden. Na pewno nie bez przyczyny wozi ze sobą kozę. Czy kozy nie są wszystkożerne? Może jedzą zmarłych pacjentów doktora Roberta? A może to świnię potrafią zjeść wszystko? Już nie pamiętam. Z tych nerwów wszystko mi się miesza.

– Lord, kochanie moje!

Ala uchyliła kratkę i pogłaskała mnie po głowie.

– Cały się trzęsiesz! Ojej, i trochę popuściłeś! Nie martw się. Zabrałam drugi kocyk. Kiedy wyjdziemy, to wyściele ci transporter nowym kocykiem, a ten potem upierzemy. Wszystko będzie dobrze.

Nie kiedy stąd wyjdziemy, moja ukochana, ale jeśli stąd wyjdziemy. Mam złe przeczucia. Bardzo złe przeczucia.

– Dzień dobry! – zawołał ktoś jowialnie za plecami Alicji.

O mało nie zszedłem na koci zawał. I chyba na dodatek zwieracze znowu mnie zawiodły. Ala natychmiast zabrała dłoń i zamknęła moje więzienie. Sama także się przestraszyła.

Obok nas stanął weterynarz Robert. Wyglądał na znacznie wyższego i szerszego niż ostatnio. Czyżby urósł?

– A kogo ja tu widzę? Nie sądziłem, że zobaczymy się tak szybko! – zagruchał basem do mojej ukochanej.

– Lord przyspieszył nasze spotkanie – odpowiedziała i uniosła do góry głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

Słucham? Ja przepraszam bardzo, ale jakie „przyspieszył”? Czemu ja nic o tym nie wiem? Na pewno musieli o tym rozmawiać wtedy, kiedy nas podwoził. Mam za swoje, że nie słuhałem.

Dlaczego zamierzali się spotkać?

Uch, nagle zmroziło mnie pewne przypuszczenie. Czy on chce zająć moje miejsce u boku Ali? Święta Bastet, zabije mnie. Jak nic mnie dzisiaj wykończy.

– To co się stało?

Robert pochylił się i zajrzał do mojego więzienia. Zobaczyłem jego uśmiechniętą gębę dokładnie naprzeciwko swojego pyszczka. Błękitne oczy okolone były mimicznymi zmarszczkami, które pogłębiły się, gdy weterynarz się do mnie uśmiechnął. Uśmiech był

na pierwszy rzut oka szczery i wesoły. Duży nos i kości policzkowe całe usiane drobnymi piegami. Ruda broda była starannie przycięta. Gdzieś dało się w niej dostrzec pojedyncze siwe włoski. Pod białym fartuchem Robert nosił podkoszulek z rysunkiem przedstawiającym śpiące szczeniaczki.

Nawet się nie krył z faktem, że woli psy. Jak nic bestialski morderca kotów. Minuty mojego życia są już policzone. Żegnaj, świecie!

– Cześć kotku! – przywitał się ze mną. – Miło cię widzieć.

On to powiedział ironicznie. Jestem o tym przekonany.

– Lord uszkodził sobie łapę – rzekła Ala takim tonem, jakbym co najmniej zrobił to specjalnie. – Usiłowałam ją obejrzeć, ale mnie podrapał. Wydaje mi się, że wbiło mu się coś pomiędzy poduszczyki. Prawdopodobnie jakaś drzazga.

– Drzazga? – zdziwił się. – No proszę, Lordzie, czyżbyś się po czymś wspinał?

A co? Że niby nie wyglądam, jakbym umiał? Ugryzę go. Przysięgam, że go ugryzę, jak tylko uchyli drzwiczki transportera.

– Uciekł na dwór – powiedziała ukochana i spojrzała na mnie z potępieniem. – Mógł się zgubić!

– To nie jest kot wychodzący? – Upewnił się lekarz.

– Wychodził co najwyżej na klatkę schodową.

Weterynarz złapał transporter. Poczujęm, że serce przestaje mi bić. W kilku susach mężczyzna pokonał ze mną odległość, która dzieliła nas od drzwi gabinetu. Koniec, zaraz nastąpi mój koniec. Świecie, byłeś taki piękny, taki cudowny, taki...

Ooo, dzień dobry! A kogo ja tu widzę? Co to za wspaniała istota?

Robert postawił transporter na metalowym stole. Przytuliłem pyszczek do kratki i wbiłem spojrzenie w rudowłosą koteczkę, która leżała na biurku. Ona także na mnie spojrzała. Miała najpiękniejsze zielone oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Zresztą co tu gadać, nigdy nie patrzyłem na żadną kotkę z tak bliska. Mogłem je podziwiać jedynie na ekranie telewizora lub przez okno. Ale akurat te za oknem były dzikusami, z którymi chyba bałbym się porozmawiać.

Za to ta ruda piękność wyglądała na cudownie cywilizowaną i zadbaną. Nic dziwnego, że od razu się zakochałem. Przeciągnęła

się zalotnie i zaczęła lizać przednią łapkę. Puściła przy tym do mnie oczko.

– Poczekaście. Wyniosę tylko Marchewkę – powiedział weterynarz.

Złapał tę ślicznotkę bezceremonialnie pod pachę i ruszył się z nią w kierunku drewnianych drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Jak on mógł ją tak potraktować? Tak brutalnie ją złapał! Bez żadnego ostrzeżenia!

– Marchewka? – zaśmiała się Ala, kiedy wrócił do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że gdy była kociakiem, to miała dużo bardziej pomarańczowe futerko. A Lord? Skąd taki pomysł na imię?

Zanim się zorientowałem, otworzył transporter i wziął mnie na rękę. Już miałem przeorać mu twarz pazurami, kiedy ścisnął mocno fałd skóry na moim karku, a ja poczułem, jak cały wiotczeję. Lubiłem, jak mnie tu łapano. Kojarzyło mi się to z mamusią, ciepłem i mleczkiem.

Mleczkiem mamusi, rzecz jasna, a nie tymi krowimi popłuczynami, które Ala dodaje do kawy.

– Odkąd był kociakiem, to zadzierał nosa – wyjaśniła moja ukochana.

Prawie zdążyłem się na nią obrazić, lecz dodała:

– Po prostu miał w sobie coś dystyngowanego. Nigdy nie biegał bez potrzeby, leżał, zakładając łapkę na łapkę... taki mały, koci dżentelmen.

No, to może się nie obrazę.

Uścisk palców weterynarza na moim karku na chwilę zelżał. Szykowałem się do ataku, ale znowu się nasilił.

– Klamerka do prania? Jak na filmach w internecie?

– Sam się zdziwiłem, że działa równie skutecznie jak palce. Chociaż muszę wyznać, że niektóre koty w ogóle się na to nie łapią.

Leżałem bezbronny na metalowym stole, pozbawiony władzy w kończynach, a także honoru. Bardzo chciałem się ruszać, ale nie mogłem. Pokonała mnie drewniana klamerka do prania.

Zemszczę się. Przysięgam na wszystkie moje dziewięć żyć, które według Ali posiadam.

– O, widzę, że Lord nie jest wykastrowany.

Zmartwiałem. A co, jeśli korzystając z mojej niemocy, pozbawi mnie męskości? Nie przeżyję tego upokorzenia.

– Ma rodowód – wyjaśniła Ala. – Początkowo miałam ambicję jeździć z nim na wystawy, ale jakoś mi nie wyszło.

– A nie sika ci w mieszkaniu?

– Nie, jest bardzo grzeczny. Kilka razy ozdobił tylko buty moich byłych. Bardziej się bałam, że w rezydencji pana Śmietańskiego coś poniszczy, ale na razie nie przynosi mi wstydu.

Alu, skarbie, miłości mojego życia, jeśli czym prędzej stąd nie wyjdziemy, to będę zmuszony przemyśleć poważnie swoje zachowanie.

– No to faktycznie koci dżentelmen. Dobrze, panie Lordzie, obejrzyjmy tę biedną łapkę.

Ja ci dam biedną łapkę, ty łachudro.

– Wyszedł w nocy na dwór. Sam. Tyle złych rzeczy mogło mu się stać. Mógł się zgubić! Coś go mogło zaatakować... – Moja ukochana była szczerze zmartwiona.

Dobrze, niech się martwi. Jestem przecież bardzo ciężko ranny. Umieram! Tej łapy chyba nie da się uratować!

– To może obroża z GPS-em? – zapytał doktor. – Są specjalne aplikacje na telefon. Miałabyś stały podgląd na to, gdzie jest.

– Zdejmie sobie każdą obrożę. Poza tym chyba bym się bała, że gdzieś na niej zawiśnie... – westchnęła.

Robert cmoknął.

– Istnieje takie ryzyko. Koty mają w zwyczaju włączyć w różne wąskie przestrzenie. Mógłby gdzieś utknąć. Poza tym jest opcja GPS-u pod skórą, ale mało kto je zakłada. Są modne zagranicą. U nas jeszcze się to nie przyjęło.

– Och, to brzmi super! – Zainteresowała się.

– Myślę, że niebawem będzie o tym głośno. Chociaż mnie osobiście zastanawia, jak w takim GPS-ie zmienia się baterie.

Zmartwiałem. Nie chcę, żeby Ala śledziła każdy mój krok. Jeśli będzie widziała na telefonie, gdzie jestem, to się dowie, że codziennie drzemię w jej szufladzie ze stanikami.

Robert szarpnął mnie delikatnie za łapę. Przeraziłem się. Na pewno ją obciął! Zostanę kaleką!

– Faktycznie coś tu jest. Usiłował sam wyjąć drzazgę, ale tylko wbił ją głębiej, nieco się nadkaziło... Spokojnie. Nie jest to nic, z czym byśmy sobie nie poradzili – oświadczył po krótkich oględzinach.

– Całe szczęście.

Odrobinę uspokojona Ala położyła dłoń na mojej głowie i zaczęła masować moje czoło. Poczuję się trochę lepiej.

Ale tylko trochę.

– Pani Alu, a jak pobyt w rezydencji Śmietańskiego? Przyzwyczała się już pani czy nie?

– Proszę mi mówić po imieniu. Kiedy ktoś mówi do mnie per pani, to czuję się staro.

– Robert, bardzo mi miło.

Zdjął lateksowe rękawiczki i uścisnęli sobie dłonie. Jak na mój koci gust, to jakoś tak za długo trzymali się za ręce. Przepraszam bardzo, ale ja tu jestem cierpiący. Jeszcze chwila i stracę łapę. Być może gangrena wędruje właśnie w stronę serca. Moglibyście przestać się z łaski swojej migdalić?

– Bezpodstawnie czujesz się staro – dodał z uśmiechem. – Nie masz żadnych zmarszczek. Nie dałbym ci więcej niż dwadzieścia lat.

Och, proszę... zaraz rzygnę kłaczkiem.

– Chyba niezły z ciebie kobieciarz? – Ala zachichotała i lekko się zarumieniła. Podobały jej się te końskie zaloty. Na wszystkie świętości, moja ukochana, ja wiem, że związek z tym wypierdkiem Witkiem znacznie obniżył twoje standardy, ale musisz się bardziej szanować. Przecież ten konował jest bezczelny.

I taki zarośnięty. Ta broda jest wielce niehygieniczna.

– A co do mieszkania u Śmietańskiego, to trudno się przyzwycząić – wyznała. – W środku jest bardzo luksusowo. Nie jestem przyzwyczajona do takich warunków. Cały czas się boję, że coś niechcący zniszczę, zaleję albo że ten ancymon podrze pazurami jakieś zasłony lub zniszczy tapicerkę.

Weterynarz pokiwał głową i na szczęście wrócił do oglądania mojej łapy. Zapieкло, kiedy psiknął jakimś zimnym środkiem prosto w bolące miejsce.

– Jak dla mnie to cud, że w ogóle was do siebie zaprosił. Kiedy zobaczyłem w gazecie ogłoszenie o tym konkursie, to aż usiadłem

z wrażenia – powiedział.

– Dlaczego?

– On nikogo nie wpuszcza na teren posiadłości.

– Nikogo?

– Nikogo – powtórzył. – Nawet listonosza czy kuriera, nie żartuję.

Nie przyjmuje żadnych wizyt. Kiedyś pogonił dziennikarzy, którzy chcieli nagrać materiał o jego życiu. Nasłał na nich tego swojego ochroniarza, który wygląda jak przerośnięty goryl. Facet zaatakował kamerzystę i zniszczył mu sprzęt.

– Naprawdę?!

– Tak, zamienił ten dom w twierdzę. A o tamtym zdarzeniu to było dość głośno w internecie i w lokalnych gazetach. Telewizji nie oglądam, więc nie wiem, czy coś wspominali. Śmietański wydał potem oświadczenie, w którym się tłumaczył i przepraszał. Nawet podobno odkupił kamerę.

Ala się zamyśliła.

– Myślisz, że tak bardzo się boi, że go okradną?

– Na pewno. Ludzie tu w mieście to na jego temat niestworzone historie opowiadają. Głównie o jego rzekomym bogactwie. Wszyscy są przekonani, że ma w piwnicy skrzynie ze skarbami. Niektórzy uważają, że śpi na materacu wypchanym gotówką.

Ala pokręciła głową i prychnęła.

– Co najmniej jeden uczestnik konkursu podejrzewa go o coś podobnego.

– A widzisz. Zatem to nie tylko miejscowi. Hm... co mogę ci jeszcze o nim powiedzieć...? O! Wiem! Z ciekawszych ploteczek słyszałem też wersję, że jest nazistą, który w piwnicy trzyma trumnę z Hitlerem! – Robert śmiał się już w głos. – Część osób twierdzi, że sam Śmietański jest wampirem i że wychodzi na dwór tylko po zmroku.

– Co do Hitlera w piwnicy to nie mam pewności, ale na pewno widziałam Śmietańskiego za dnia. Nie zajął się płomieniami ani nie zaczął krzyczeć.

– A jakieś krzyże w domu widziałaś? – Robert mrugnął. – Nie wisały przypadkiem do góry nogami?

– Kilka bogato zdobionych krucyfiksów jest w korytarzu na piętrze – odpowiedziała. – Przykro mi, że cię zawiodę, ale wiszą we

właściwą stronę.

– No popatrz, czyli nie jest wampirem! A może chociaż jakimś demonem? Potworem?

– Już ten Hitler w piwnicy byłby bardziej prawdopodobny.

Weterynarz wstał na chwilę i zaczął grzebać w szafce. Poczujęm, jak serce podchodzi mi do gardła. Czy on chce mi odciąć łapę? Czy nie da się jej już uratować? Czy szuka metalowej piły?

Wrócił do stołu z pęsetą i lupą.

Odetchnąłem z ulgą. Być może dzisiaj jednak nie umrę.

– Wiesz, jak to jest – kontynuował. – Plotki się biorą stąd, że on z nikim nie rozmawia i w ogóle tu nie przyjeżdża. A w takich małych miejscowościach wszyscy wszystkich znają. Jeśli ktoś nie bierze udziału w życiu społeczności, to od razu trafia na języki.

Nie dziwię się, dlaczego do weterynarza Roberta nie ma kolejki. Przecież on wcale nie pracuje. Tylko gada i gada.

– On rzeczywiście w ogóle nie wychodzi? – zapytała moja ukochana.

– Nie kojarzę, żebym kiedykolwiek widział go w miasteczku. A że do rezydencji też nikogo nie wpuszcza, to rodzą się plotki. W zasadzie to może tam przyjeżdżać tylko jego lekarz i... ja. Stąd moje zdziwienie, że zaprosił dziesiątkę obcych osób. To do niego naprawdę zupełnie niepodobne. Chyba faktycznie spanikował, że nie będzie miał komu zostawić w spadku tych swoich rzekomych bogactw.

– Zaraz, zaraz. Ty możesz wchodzić? A po co Śmietańskiemu weterynarz? – zdziwiła się Ala.

– Śmietański ma konia. Czystej krwi białego araba. Jeżdżę do niego dość często, bo pan Stefan ma lekką obsesję na punkcie jego zdrowia. Chociaż mnie też za daleko nie wpuszcza. Przyjeżdżam do niego od pięciu lat, ale do tej pory udało mi się zwiedzić tylko i wyłącznie stajnię.

Oni tu plotkują, a ja cierpię. Zwariować można z tymi ludźmi. Zero wyczucia.

Nagle poczułem szarpnięcie, gdy zadra wydostała się wreszcie spod mojej poduszeczki. Pisałem cichutko, a Ala natychmiast pocałowała mnie w łebek. Zamruczałem. Od razu zrobiło mi się lżej.



– Kolec róży! – oznajmił weterynarz, unosząc do góry pęsetę, na końcu której faktycznie tkwiło coś małego.

Przekłete zielsko na pergoli. Po przeprowadzce bezzwłocznie musimy je skasować.

– I jak to wygląda?

– Łapka? Bardzo dobrze. Posmarujemy ją specjalną maścią i wszystko będzie dobrze. Opatrunku nie mam co zakładać, bo i tak go zdejmie.

Odetchnąłem z ulgą. Bałem się, że będą chcieli mi tę nogę zabandażować, a na szyję założą plastikowy klosz. Widziałem kiedyś jednego kociego biedaka, który został tak uszczęśliwiony przez właścicieli po jakimś zabiegu.

Oprawcy.

– Rozumiem – odpowiedziała Ala. – A powinnam z nim przyjść na jakąś kontrolę?

– Nie ma potrzeby. Chyba że coś cię zaniepokoi. Oczywiście nie miałbym nic przeciwko, gdybyś przyjechała. Mógłbym zaprosić cię wtedy na kawę.

– To się zastanowię!

Znowu zachichotała. Przewróciłem oczami. Rozstanie z Witkiem zdecydowanie jej zaszkodziło.

– Jakby ci się nie udało wpaść do miasta, to ja za kilka dni przyjeżdżam do Siwka. To ten arab Śmietańskiego. Jeśli ochroniarz nas nie wyrzuci, pospacerujemy sobie dookoła stajni.

– No popatrz, nie zwiedzałam jeszcze ogrodu. Cały czas siedziałam w rezydencji. Przez to nawet nie wiedziałam, że tam jest stajnia!

– Koniecznie musisz się przejść po terenie. Teraz jest co prawda słaba pora roku, bo liście już spadły z drzew i panuje ponury nastrój, ale Śmietański ma na przykład piękny sad. Pod koniec lata drzewa uginają się od jabłek. A konia pewnie szybko zobaczysz, bo Śmietański codziennie na nim jeździ.

Ala zmarszczyła brwi.

– Przecież jest sparaliżowany.

– Kto? Koń?

– Nie, Śmietański.

– Nie rozumiem.

Dłoń weterynarza zatrzymała się tuż nad klamerką na moim karku. Sekundy dzieliły mnie od odzyskania władzy w kończynach i dokonania zemsty, czyli wydrapania mu oczu.

Ala, przestań go zagadywać!

– Śmietański – odparła. – Jeździ na elektrycznym wózku inwalidzkim.

Weterynarz wydawał się wstrząśnięty.

– Żartujesz?

– Nie. Dlaczego miałabym żartować?

– Przecież on normalnie chodzi. Widziałem go dwa tygodnie temu, kiedy byłem u niego na wizycie.

– Niemożliwe.

– W dwa tygodnie by się chyba tak nie uszkodził, żeby wylądować na wózku? Wiedzielibyśmy o tym w miasteczku.

## Rozdział 12. Strach ma kocie oczy

Ala spała. Padła jak zabita po dniu pełnym stresów. Rzadko kiedy widywałem ją śpiącą tak mocno. Moja ukochana była raczej typem nerwicowca, który myśli w kółko o tym samym, odtwarzając w głowie coraz to nowe scenariusze zdarzenia, które już minęło, bądź takiego, które ma dopiero nastąpić. A skąd to wiem? Chciałbym czytać jej w myślach, nierzadko nawet udaje mi się przewidzieć, co zrobi lub powie. Niemniej to nie żadne specjalne zdolności. Po prostu moja Ala bardzo często do mnie mówi.

Podobno to normalne u właścicieli kotów. W każdym razie tak powiedziała moja ukochana.

Dzisiaj natomiast usnęła od razu, zamiast leżeć przez godzinę i przewracać się z boku na bok. Nie lubię, kiedy się tak kręci, bo nie mogę się do niej w spokoju przytulić. A jak się obrażę i po prostu położę nad jej poduszką, to cały materac skacze, kiedy ona ze złości rzuca się pod kołdrę. Czasami naprawdę trudno z nią wytrzymać. Mieszka ze mną już tyle lat i jeszcze się nie nauczyła, że najzdrowiej jest przytulić się do kogoś, kogo się kocha (znaczy do mnie) i po prostu przestać myśleć o czymkolwiek.

Ja się staram przed każdym snem albo drzemką w ogóle nie myśleć i dzięki temu śpię jak kociak opity mleczkiem mamusi.

Była dopiero dziewiąta wieczorem, ale moja ukochana cały dzień ciężko pracowała. Wczoraj przez naszą wizytę u weterynarza zdążyła zrobić zaledwie kilka szkiców ołówkiem. To dlatego dzisiaj od rana malowała. Przytargała do pokoju miskę z owocami, postawiła ją na parapecie i zawzięcie rozchłapywała farby. Po paru godzinach zamieniła miskę na butelkę i kilka gazet. Potem przerzuciła się na malowanie lekko zmechaconych zasłon. Po obiedzie z kolei przyniosła sobie z kuchni kilka kawałków ciasta czekoladowego i uwieczniła je na brystolu. Na sam koniec machnęła mój portret, kiedy drzemałem na fotelu.

Osobiście uważam, że mój portret jest najładniejszy i to właśnie ten obraz powinna pokazać Śmietańskiemu.

Ona jednak preferowała ten z ciastem. Był dobry, ale wydaje mi się, że podobał jej się najbardziej tylko i wyłącznie dlatego, że po wykonaniu dzieł zjadła eksponat i wydzieliły jej się od tego endorfiny.

Teraz chrapała w najlepsze. Początkowo drzemałem obok ucieszony, że wreszcie mogę się do niej przytulić. Później jednak postanowiłem przejść się na krótki spacer. Ponieważ nasz pokój znałem już na wylot, uznałem, że ponownie zwiedzę rezydencję.

Wszedłem pod łóżko i stanąłem przed kratką wentylacyjną. Moja ukochana po utknięciu w wejściu postanowiła zabezpieczyć pułapkę. Nie miała śrubokrętu, którym mogłaby przykręcić śrubki, więc po prostu wepchnęła pod łóżko swoją walizkę i zatarasowała nią otwór.

Amatorszczyzna.

Walizka nie była dość wysoka. Ponad jej krawędzią pozostała kilkucentymetrowa szpara. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście można było dojść do wniosku, że nie zmieszczę się w tej szczelinie, ale przecież jestem kotem. My, koty, potrafimy się wszędzie zmieścić zgodnie z zasadą, że jeśli przejdzie głowa, to i resztę się przepchnie. To powszechnie znany fakt.

Co prawda od tej zasady zdarzały się wyjątki. Niekiedy okazywało się, że nasze pośladki mogą się zaklinować, niemniej byłem przekonany, iż się zmieszczę.

Prawie wciskałem głowę do kanału, kiedy usłyszałem jakiś stukot, a potem szelest. Zamarłem w bezruchu. Poczułem, jak moje serce przyspiesza, a sierść na grzbiecie staje dęba.

Dźwięk się powtórzył.

Szybko podbiegłem, a raczej dokuśtykałem ze względu na kontuzjowaną łapkę, do brzegu łóżka. Wystawiłem pyszczek spod opadającego do ziemi koca i spojrzałem w stronę drzwi.

Było bardzo późno. Cały dom spał. Od co najmniej dwóch godzin niczego nie słyszałem. Nawet rury milczały, czyli wszyscy już skorzystali z łazienki i pozamykali się w sypialniach.

Szelest się powtórzył. Był głośniejszy. Potem kolejny i jeszcze jeden.

To kroki. Ktoś szedł korytarzem. I to szedł bardzo cicho. Pewnie nie chciał obudzić śpiących sąsiadów.

Odetchnąłem z ulgą. Przez tę wizytę u weterynarza sam się nabawiłem jakiejś nerwicy. Ten durny konował gadał o demonach, potworach, przez co mi się udzieliło!

Nagle kroki przestały być słyszalne. Sierść znowu mi się zjeżyła. Ktoś zatrzymał się dokładnie za drzwiami naszego pokoju.

Poczułem, że trochę chce mi się siusiu. Zawsze tak miałem w chwilach dużego stresu, to nic wstydliwego. Powszechny problem, zapewniam.

Niespodziewanie klamka drgnęła pod czyimś naciskiem. Zasyczałem przestraszony i skurczyłem się w sobie. Nie jestem kotem obronnym, bo nie ma takich. Bardzo chciałbym być odważny dla mojej Ali, ale nie oszukujmy się – nie potrafię.

Klamka opadła całkowicie. Ktoś usiłował pchnąć drzwi, ale okazały się zamknięte.

Poczułem zalewającą mnie falę wdzięczności. Na szczęście moja ukochana ma odruch zamykania wieczorem drzwi. Zawsze! Co prawda nie robi tego, żeby nas chronić. Pierwszej nocy w rezydencji Śmietańskiego oświadczyła mi, że nas zamyka, bo wie, że potrafię skakać na klamki i raczej mi nie ufa, że podczas naszego pobytu w gościach będę zachowywał się grzecznie.

Jak to dobrze, że jestem tak inteligentny i nauczyłem się obsługiwania klamki. Bo gdyby nie to...

Osoba za drzwiami powoli puściła klamkę. Metal brzdęknął. Moja Ala poruszyła się, ale tylko westchnęła nieświadoma tego, co właśnie się stało, i ponownie zapadła w głęboki sen.

Szeleszczące kroki oddaliły się od naszego pokoju.

Ostrożnie wyszedłem spod łóżka. Przez chwilę rozważałem, czy nie powinienem podejść do drzwi i je obwąchać. Może poznałbym po zapachu, kto usiłował się do nas włamać. Doszedłem jednak do wniosku, że byłaby to strata czasu. Przecież nie jestem psem.

Wskoczyłem na łóżko i wtuliłem się w szyję mojej ukochanej. Przebudziła się, gdy niechcący ją podduśłem, kładąc się całym swoim ciężarem na jej tchawicy.

– Oj, Lord – jęknęła półprzytomnie. – Przestraszyłeś się czegoś?

Przekręciła się na bok i przytuliła mnie do siebie jak pluszowego misia.

Od razu poczułem się bezpiecznie.

Mam nadzieję, że ten tajemniczy ktoś już nie wróci. I mam też nadzieję, że Ala nigdy nie zapomni o zamykaniu drzwi na klucz.

## Rozdział 13. Kot człowiekowi kotem

Trzy dni na stworzenie nowych prac przeleciały w okamgnieniu. Młodzi artyści stresowali się jeszcze bardziej niż przed pierwszą oceną. Biegali po całym budynku jak kot z pęcherzem, szukając inspiracji. Niezupełnie ich rozumiałem. Przecież Śmietański wyraźnie im powiedział, że nikogo nie będzie wyrzucać. Jeśli się uprą, to mogą zostać do samego końca, żeby zobaczyć, jak Ala i ja wygrywamy majątek. Bez znaczenia, czy sportretują czajnik, czy brudne kalosze Jana. I tak nie mają szans.

Moja ukochana malowała jak szalona. Udzieliło jej się wariactwo innych uczestników i zaniedbała głaskanie mnie po plecach. Ech, sztuka to kapryśna pani. Trudno, muszę się pogodzić z tym, że natchnienie czasem spycha mnie na drugi plan. Kocham Alę, jestem w stanie jej to wybaczyć ale tylko wtedy, jeśli taka sytuacja nie trwa dłużej niż tydzień.

Ala stworzyła dziesięć obrazów, wszystkie piękne. Najpiękniejszy, oczywiście, był mój portret. Ona jednak postanowiła pokazać ten przedstawiający ciasto. Niech jej będzie. W gruncie rzeczy był bardzo apetyczny. Kawałki czekoladowego deseru dzięki wodnym farbom wyglądały zarówno realistycznie, jak i eterycznie. Udało jej się oddać wszystkie szczegóły, ale jednocześnie ciasto wydawało się ulepione z dymu i powietrza. Rozpływało się na płótnie. Moja Ala jest niewątpliwie bardzo utalentowana. Jestem z niej dumny.

Tak jak poprzednio zakradłem się do biblioteki, żeby posłuchać opinii pana Stefana. Do ostatniej chwili zastanawiałem się, czy powinienem wychodzić z pokoju. Cały czas miałem w pamięci tę tajemniczą osobę, która usiłowała dostać się do naszej sypialni. Przekonał mnie w końcu fakt, że włamywacz szedł korytarzem, a nie tajnym przejściem. Być może był na tyle duży, że nie zmieściłby się w kanale wentylacyjnym.

Albo nie wiedział, że tajne tunele istnieją. Ala utknęła, ale reszta kobiet, które brały udział w konkursie, spokojnie by się zmieściła. Mężczyźni, pomijając wątego grafika komputerowego, raczej nie

daliby rady przepchnąć się przez kanał wentylacyjny. No nic. Nie zastanawiałem się długo, bo wiedziałam, że zbyt dużo wątpliwości mogłoby sprawić, że usnąłbym w trakcie wewnętrznej dyskusji.

Dzisiejszego wieczoru Śmietański chyba nie miał nastroju do długich pogawędek. W większości przypadków przyglądał się pracom w milczeniu, a potem mówił zaledwie kilka słów. Przy niektórych jego opiniach nawet nie było w sumie wiadomo, czy są pozytywne, czy może negatywne.

Rozwinął swoje wypowiedzi tylko przy dwóch uczestnikach.

Gdy Paweł Grzegorzczak pokazał mu na ekranie laptopa swoją pracę, gospodarz od razu się skrzywił. Nawet nie udawał, że się jej przygląda.

– Powiem panu szczerze... – zaczął ponurym tonem.

Blady chudzielec przygarbił się nad komputerem. Jego czarne oczy wydawały się jeszcze bardziej zapadnięte niż zwykle.

– Zakwalifikowałem pana do tego konkursu nie przez wzgląd na pana umiejętności, ale jako ciekawostkę. Chciałem zobaczyć, jak pan i pana maszyna poradzicie sobie w konkurencji z tradycyjnymi artystami.

Śmietański zawiesił na chwilę głos, jakby spodziewał się, że grafik wejdzie z nim w dysputę. Nie doczekał się. Grzegorzczak zapewne postanowił nic nie mówić, chociaż właśnie został dość brzydko obrażony.

– Tak – skwitował pan Stefan. Najwyraźniej milczenie mężczyzny było dla niego odpowiedzią na jakieś pytanie zadane tylko i wyłącznie w myślach.

Paweł wciąż się nie odzywał. Jego spojrzenie pomknęło na sekundę w stronę przeszklonej witryny z Wagnerem. Zmrużył oczy i przełknął głośno ślinę.

– Ja nie wierzę w grafikę komputerową – kontynuował swoją przemowę Śmietański. – Pańska praca jest bardzo ładna. Te kieliszki wyglądają autentycznie, światło rzuca piękne cienie. Wszystko się wydaje prawdziwe, namacalne, jest na wyciągnięcie ręki. Tylko że to właśnie w ogóle nie jest realne.

– Jest tak samo realne jak obraz namalowany farbami. – Paweł odważył się w końcu odezwać.



– Otóż nie. Obraz namalowany farbami nigdy nie jest idealny. Każdemu malarzowi chociaż raz drgnie ręka, na płótno spadnie kropla jego potu, pędzel zgubi włos. A tu tego nie ma.

– Pan chyba nie wie, jak się tworzy na komputerze. Też się rysuje, tylko za pomocą takiego specjalnego tabletu i programu...

– Programu – przerwał mu Śmietański. – I to jest problem. Bo program może poprawić każde pana niedociągnięcie. Może pan skasować bez trudu nieprawidłowo postawioną linię. Jak to się mówi? Cofnąć? Zresetować! O, zresetować!

Tym razem grafik nie zaprotestował.

– Nie będę pana mamił obietnicami. Używając komputera, nie wygra pan z innymi uczestnikami. Zaspokoilem swoją ciekawość w kwestii pańskich możliwości, a raczej możliwości pańskiego komputera. Jeśli nie zmieni pan techniki i nie złapie w dłoń pędzla lub ołówek, to proponuję zrezygnować z udziału.

Grzegorzycy zamknął laptopa i przytulił do siebie urządzenie.

– Technika miała być dowolna. – Usiłował się kłócić.

– Tak, miała – zgodził się Śmietański. – I dwa razy dałem panu szansę. Widzę jednak, że to nie jest coś, co mnie interesuje. Jeśli nic więcej pan nie umie, to obawiam się, że nie jest pan osobą, której powinienem przekazać całe swoje dziedzictwo.

– Zamiast sprawdzać, jak malujemy, powinien pan z nami rozmawiać o sztuce, o tym, co wiemy, rozumiemy.

– Och, spokojnie. Na to przyjdzie jeszcze czas! – Gospodarz machnął ręką. – A na razie, jak przystało na starszego pana, chciałem mieć trochę rozrywki. Poza tym sam całkiem nieźle maluję, więc chciałbym, aby mój następca nie tylko znał się na sztuce, ale także umiał ją tworzyć.

– Rozumiem.

– A niestety to, co pan robi, nie jest prawdziwą sztuką. To oszustwo.

Na ten zarzut nie doczekał się żadnych wyjaśnień, bo obrażony grafik wyszedł. Nie trzasnął nawet drzwiami. Zamknął je cichutko, zupełnie jakby godził się z losem i ze swoją przegraną.

Nie spodziewałem się po Śmietańskim aż tak stanowczej opinii. Myślałem, że będzie wszystkich zwodził do ostatniej chwili, bo bawi go napauszanie ich na siebie nawzajem. Może ma już dość

wspólnych posiłków? Albo męczy go, że obcy ludzie kręcą mu się po domu?

Innym malarzem, którego otwarcie dzisiaj skrytykował, był Sebastian Tan. Łysy był zwykle taki cichy, że niemal zapomniałem o jego istnieniu. Nigdy nie odzywał się podczas posiłków, znikał gdzieś na całe dni. Jeśli z kimś rozmawiał, to tylko z Claudią albo Sandrą. Dziwak.

Swoją pracę stworzył techniką gwaszu. Gwasze to farby podobne do akwareli. Ala również ich czasem używała. Rozrabia się je wodą. Bardziej rozwodnione zachowują się jak akwarele, z kolei gęstsze – jak oleje. Czyli z jednej strony można było malować półprzezroczystymi kolorami, a z drugiej dało się spokojnie nałożyć jasną barwę na ciemną, jeśli użyło się tylko suchszych farb. Ala ich nie lubiła, bo uważała, że jak coś jest do wszystkiego, to jest do niczego.

Poza tym śmierziały niemożebnie, co osobiście potwierdzam.

– Jak obraz przedszkolaka – skrytykował Śmietański martwą naturę przedstawiającą sztukę leżącą na pogniecionej serwetce. – Myślałem, że pana technika stoi na wyższym poziomie.

Sebastian poczerwieniał, ale twardo milczał. Nawet Grzegorzcyk był w stanie się trochę pokłócić, mimo że także wyglądał na introwertyka. Z tym Sebastianem zdecydowanie było coś nie tak albo stracił już po prostu serce do tego konkursu.

Znakomicie. Niech wszyscy zrezygnują!

– Myliłem się – skończył pan Stefan. – Może pan już iść. I proszę zabrać pracę ze sobą. Nie mam ochoty jej więcej oglądać.

Moja Ala należała do tej grupy uczestników, którzy właściwie nie dowiedzieli się, czy ich prace były dobre, czy nie. Kiedy pokazała Śmietańskiemu swoją akwarelę, tylko pokiwał głową. Nie pochwalił. Niemniej kazał jej zostawić obraz. To chyba przypadł mu do gustu.

Tuż po pokazie artyści zasiedli w jadalni na późnej kolacji. Tak jak ostatnio Śmietański się nie pojawił. Zrozumiałem, że to kolejny element jego gry. Przecież gdyby siedział z nimi, nie mogliby plotkować i oszukiwać się nawzajem, jak im poszło. A tak rywalizacja nieprzerwanie trwała.

Przysłał Kowalskiego, żeby przekazał im, że kilka osób głęboko zawiodło gospodarza. Tym razem nie podarował im alkoholu.

Najwyraźniej nie mieli czego świętować albo poskąpił pieniędzy.

Nastrój był, że tak powiem, minorowy.

– To co? Chyba wszystkim poszło tak samo chujowo? – zapytała Sandra, bezmyślnie szarpiąc się za jeden z kolczyków.

Zuzanna Lubieńska spojrzała na nią z ukosa.

– Czy ja wiem...? Śmietański po prostu nie był dzisiaj skory do dyskusji.

– Jak z kim... – burknął grafik, wbijając wzrok w swój talerz. Czekali chwilę, czy coś doda, ale nie miał ochoty na zwierzenia.

– A jak twoje oleje, Zuza? – Sandra skupiła się na blondynce. – Nie rozlały się? Taka byłaś niezadowolona z krótkiego terminu.

– Śmietański nie miał zastrzeżeń – odparła zdawkowo dziewczyna i spuściła wzrok.

Claudia skrzywiła się pod nosem, lecz nie powiedziała ani słowa. Jej obraz także nie wzbudził wielkiego zachwytu, ale z drugiej strony nie usłyszała, że powinna się pakować. Panu Stefanowi nie spodobał się światłocień, ale poza tym nic nie skrytykował. Zuzanna nie usłyszała nawet tego. Na widok jej pracy gospodarz powiedział tylko „aha” i kazał jej wyjść.

– A kto był teraz najlepszy? – drążyła dalej Sandra. – Ostatnio Konrad się przechwalał, jak to niby mu świetnie poszło.

– A potem wyjechał – dodała Claudia. – Czyli ewidentnie kłamał.

– Ja tam za nim nie tęsknię – stwierdziła przedmówczyni. – Irytował mnie.

Kilka osób się uśmiechnęło, najwyraźniej dzielając jej zdanie. Ja także podpisuję się wszystkimi czterema łapkami pod tym stwierdzeniem. Konrad naprawdę był irytujący. Nie dziwię się, że ktoś go zadźgał.

Pogrzebali jeszcze chwilę smętnie w talerzach. Pierwsza zerwała się Claudia. Wy tłumaczyła się rzekomym bólem głowy i poszła do siebie. Jej wyjście zmobilizowało innych. Po kolei wstawali od stołu i szli spać.

Kiedy Ala w piżamie położyła się obok mnie, starałem się użyć całego mojego uroku osobistego, żeby poprawić jej humor.

– Chyba średnio mi poszło – wyszeptała w moje srebrne futerko. – Nic nie powiedział. A przecież wcześniej był taki rozmowny. Trochę

pociesza mnie, że wszyscy mało usłyszeli, ale jednak... Już zaczynałam mieć nadzieję, że może wygramy.

W odpowiedzi zamruczałam pocieszycielsko.

– Lordzie, wyobrażasz sobie mieszkać w takim miejscu? Wygrana na loterii to przy tym pikuś. Aż w głowie mi się to nie mieści. Przyglądałam się wczoraj obrazom w naszej sypialni. Znam wszystkich malarzy. Uczyłam się o nich. To nie są obrazy, które można kupić od ręki. Jeśli w każdym pokoju jest taka kolekcja... – Nabrała głęboko powietrza i wypuściła je ze świstem. – Śmietański musi być bardzo, ale to bardzo bogaty.

To akurat przecież wiemy, skarbie.

– Dziwne to wszystko, Lordzie. Jakim cudem on nie ma żadnej rodziny, czemu chce dać to obcym?

Moim zdaniem nic tajemniczego tu się nie kryje. Na samym początku powiedział, że nie ma komu zostawić spadku, a nie chce oddać majątku państwu polskiemu ani niewłaściwej osobie. Zapewne jest skłócony z rodziną. Szkoda, że nie mogłem o tym powiedzieć Ali. Najwyraźniej wtedy tego nie wyłapała.

– Nie wiem, co myśleć o Śmietańskim. Czemu jeździ na wózku? Udaje przed nami? Ale po co? Chce wyglądać na starszego i bardziej niedołężnego? Może wcale nie stoi jedną nogą w grobie? Nie rozumiem. Nic nie rozumiem!

Zmartwiałem. Ala miała rację. Może on nie zamierza wkrótce umierać? Może na ten spadek będziemy musieli poczekać co najmniej dwadzieścia lat? Albo potrzebna mu pielęgniarka lub opiekunka i wymyślił sobie, że zanęci za pomocą majątku naiwną młodą osobę, którą potem będzie zmuszał do zmieniania mu pieluch?

Chociaż z drugiej strony, nawet jeśli miałyby pożyć jeszcze ze dwadzieścia lat, to pieniądze, które wiszą tu na ścianach, są chyba warte takiej męczarni.

– Zaraz się okaże, że faktycznie ma w piwnicy trumnę ze zwłokami Hitlera albo kradzione obrazy... – wymruczała niewyraźnie i usnęła.

Jak dla mnie może sobie być i nawet nekrofilem, byleby tylko przepisał na nas spadek i umarł w miarę szybko.

Polizałem łapkę, która już prawie nie bolała. Aż wstyd przyznać, ale trochę się cieszę, że pojechaliśmy do weterynarza. Sam nigdy bym nie wyjął tego kolca. Może w sumie ten Robert nie jest taki zły? No i mieszka ze śliczną koteczką. Chętnie poznałbym ją bliżej. Moglibyśmy ich jeszcze odwiedzić.

Nie wiem, kiedy usnąłem. Pod pachą Ali było ciepło i przyjemnie. Aż chciało się mrużyć.

Spaliśmy dość długo.

Nagle ktoś zaczął krzyczeć...

## Rozdział 14. W nocy wszystkie koty są czarne

Wrzask.

To nie był krzyk. To był zwierzęcy wrzask. Poderwałem się na równe nogi, niechcący przebiegając Ali po twarzy. Na szczęście przywykła już do tego i nie zrobiła afery.

– Co się dzieje?!

Ona też usiadła i wbiła wzrok w otaczającą nas ciemność. Było znowu bardzo cicho, ale tamten krzyk wciąż brzmiał mi w uszach. Brzęczał niczym niecierpliwa mucha, która utknęła za szybą i nie pozwalała mi się złapać, pogryźć, a potem wypluć.

A może mi się przyśniło, że ktoś wrzeszczał? Poczułem, jak nachodzą mnie wątpliwości. Zdarzało mi się, że miałem bardzo realistyczne sny. Czasem nawet w nich biegłem, a gdy się budziłem, to kontynuowałem ucieczkę, ekhm, znaczy bieg dla zdrowia tak jak ci dziwni ludzie w obcisłych szortach.

– Ktoś krzyczał? – wyszeptała nie na żarty przestraszona Ala.

Aha, czyli mi się nie wydawało.

– Ty też to słyszałeś, Lord?

Miauknąłem i zeskoczyłem z łóżka. Podbiegłem do drzwi i nadstawiłem ucha. Ciszę, która panowała w olbrzymiej rezydencji, przerwała seria trzasków i szelestów. To inni mieszkańcy wyglądali na korytarz, żeby sprawdzić, co się stało.

Bose pięty Ali zastukały o parkiet. Złapała mnie na ręce i przekręciła klucz w zamku. Następnie nabrała powietrza i wytknęła głowę na korytarz.

Długi hol tonął w egipskich ciemnościach. Ktoś musiał zgasić na noc nieliczne lampy. W korytarzu nie było okien, jedynie szereg drzwi do sypialni i dwóch łazienek. Jeden koniec był ślepy, drugi natomiast wychodził na jadalnię. Drzwi jednego z pokoi także się otworzyły. Na korytarz wlał się strumień ciepłego światła.

– Co się stało? – zapytała ciemna na tle blasku sylwetka Eryka.

– Słyszałam krzyk – powiedziała Ala i stanęła pośrodku korytarza. Odwróciła się w stronę jadalni, pogrążonej w ciemnościach.

Otworzyły się kolejne drzwi.

– Hej, co tu się wyprawia, do cholery?! Ludzie chcą spać! – Mrukliwy i cichy do tej pory Emil Laurentowicz mocno się wkurzył.

Ściągnął z głowy szlafmycę. Jego loki od razu stanęły dęba. Nie mogłem się napatrzeć. Pierwszy raz widziałem, żeby ktoś nosił do snu czapkę. Chyba nie tylko ja byłem zdziwiony. Emil wysunął do przodu żuchwę i zaatakował Alę:

– A ty co się tak patrzysz?

– Eee... bezmyślnie – westchnęła.

Sandra wystawiła głowę ze swojej sypialni. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie, a potem lekka złość.

– Co tu się dzieje? – zapytała. – Co to za nocne zgromadzenie w korytarzu?

– Żadne zgromadzenie. Komuś się zebrało na głupie żarty i postanowił powrzeszczeć – odparł zirytowany Eryk.

– Że co?

– Słyszałaś krzyk?

– Jaki krzyk? Nic nie słyszałam.

– To co cię obudziło? – Ala wychyliła się w jej stronę.

– Muszę iść do łazienki – wyznała Sandra. – Za dużo się opiałam przy kolacji. A jaki krzyk? O co chodzi? Śpię w zatyczkach do uszu i nic nie słyszę.

– Ktoś krzyczał – powtórzył Emil. – Bardzo głośno.

– Nie przesłyszało się wam? Przecież to stary dom, wszystko trzeszczy. Rury rzeżą, coś gdzieś piszczy. Ja bez zatyczek wcale bym nie usnęła. W nocy jest tu jak w tanim horrorze.

– Na pewno ktoś krzyczał – upierał się Emil.

– Ja też słyszałam – potwierdziła Ala.

– I ja – dodał Eryk.

Sandra przestąpiła kilka razy z nogi na nogę. Chyba rzeczywiście musiała pilnie skorzystać z łazienki.

– No tak, ale kto miałby...

Niespodziewanie zgasło światło w pokojach Eryka, Sandry i Emila. U nas go w ogóle nie zapaliliśmy, więc nie mogło zgasnąć.

Ala jęknęła. Emil także się nie powstrzymał. Wszyscy stali przez chwilę nieruchomo, usiłując przyzwyczaić oczy do ciemności.

– Spokojnie. Prąd chyba wysiadł – stwierdził Eryk.

– Co ty nie powiesz... – prychnęła Sandra.

Nagle w korytarzu zapaliło się światło. Oślepiające. Goście odwrócili się trochę przestraszeni w stronę jadalni. Ala aż podskoczyła i o mało przy tym mnie nie upuściła. Westchnąłem z niesmakiem. Niby tak lubi oglądać horrory, a jak przypadkiem znalazła się w starej rezydencji żywcem wyjętej z filmu grozy, to potem stała się taka przerażona.

Ludzie. Kto by ich zrozumiał.

W korytarzu stanął Jan Kowalski. Trzymał w dłoni latarnię turystyczną rzucającą to straszne, blade światło, które raniło moje oczy.

Dozorca nie miał na sobie piżamy, tylko codzienne ubranie. Sprane dzinsy były ubrudzone na nogawkach błotem. Na stopy wzuł kalosze, a na ramiona narzucił ortalionową kurtkę. Spływała z niej woda. Dopiero gdy to zobaczyłem, zdałem sobie sprawę, że w tle słychać kapanie deszczu. Krople obijały się o szyby w oknach naszej sypialni, które przez to drżały w drewnianych, starych szprosach.

Najwyraźniej Jan właśnie wrócił z dworu. Tylko dlaczego wałęsał się po okolicy w deszczu, na dodatek sporo po północy?

Ach, no tak. Przecież nasz Jan pełni też funkcję ochroniarza. Pewnie patrolował okolicę w poszukiwaniu niecnych dziennikarzy, którzy chcieliby przeprowadzić wywiad ze Śmietańskim.

Kowalski coraz bardziej mi się podoba. Że też chciałem kiedyś jakiegoś wymuskanego służącego z wąsikami, który nosi liberię. Ten Jan jest sto razy lepszy!

– Wracajcie do swoich pokoi – powiedział ponurym głosem.

Trochę przesadzam. Nie mówił jakimś specjalnym tonem. To był normalny tembr jego głosu. Taki odpychający, zupełnie niezapraszający do dalszej rozmowy.

– A niby czemu? – odparła buńczucznie Sandra.

– Bo wysiadł prąd. Gdzieś zrobiło się przepięcie. Na dodatek rezerwowo agregat nie zadziałał. Muszę wszystko sprawdzić.

– To nie jest powód... – zaczęła, ale jej przerwał:

– Macie mi się nie pętać pod nogami. Poza tym tu nocą jest naprawdę bardzo ciemno. Jeśli pospadacie ze schodów i połamiecie karki, to ani ja, ani pan Śmietański nie będziemy za to brali



odpowiedzialności. Ponadto spuściłem dzisiaj wieczorem psy. Nie znają was, mogą zaatakować. Rozumiemy się?

Chyba myślał, że to załatwi sprawę. Jeśli o mnie chodzi, to by wystarczyło. Ta informacja mnie aż zmroziła. Jestem przerażony tym, że tu w ogóle mieszkają jakieś psy. Przecież mogłem się na nie natknąć podczas mojego spaceru!

Sandra natomiast postanowiła dyskutować:

– Jakie psy?! Czemu my nic nie wiemy o żadnych psach?

– A po co mielibyście wiedzieć?

– A co, jeśli któreś z nas wyszłoby nocą na spacer? Mogliśmy zostać zaatakowani – argumentowała.

– Nie spuszczaamy psów codziennie – wyjaśnił. – Jedyne wtedy, gdy dzieje się coś podejrzanego. Na czas państwa pobytu miały pozostawać zamknięte, żeby nie narażać was na niebezpieczeństwo.

– Podejrzanego? – Sandra od razu podchwyciła.

– Proszę nie szukać taniej sensacji. Zalecam państwu powrót do pokoi. Przekażcie to pozostałym.

Gdy tylko skończył mówić, od razu odwrócił się na pięcie i odszedł, zabierając ze sobą jedyne źródło światła.

– Halo! Halo! Proszę tu natychmiast wrócić! – Sandra usiłowała go zatrzymać.

Oczywiście nie posłuchał.

Ludzi na korytarzu znowu spowiała ciemność. Pokiwałem głową zachwycony. Pomimo że miał na stopach kalosze, poruszał się kompletnie bezgłośnie. Niczym kot.

– Ciekawe, czy zdoła naprawić sieć albo uruchomić agregat – zastanawiał się Emil. – Jeśli nie, to kilka następnych wieczorów będzie nastrojowych. A w każdym razie na pewno nie będzie można pracować po szesnastej, bo zniknie odpowiednie światło.

– Przewagę będzie miał Grzegorz – stwierdziła sucho Sandra. – O ile naładował baterię laptopa.

– Długo mu nie pociągnie na baterii – rzucił Eryk.

– No i dobrze. – Nie dało się tego dostrzec w ciemnościach, ale byłem przekonany, że Sandra się uśmiechnęła. – Będzie o jedną osobę mniej.

– Ja wracam spać – stwierdził Emil. – Sami powiedzcie reszcie, że mogą zostać zeżarci przez psy.

Trzasnął drzwiami i tyle go widzieliśmy.

– Bez przesady, kto w nocy będzie chodził po polu, i to w deszczu? Nie ma ich co budzić. Dobranoc, dziewczyny – oznajmił Eryk i także wycofał się do swojej sypialni.

Sandra wyciągnęła z kieszeni komórkę. Włączyła latarkę i poświeciła nią na podłogę.

– Chyba jednak agregat działa – odezwała się Ala.

Podskoczyłem jej na rękach. Milczała przez większość czasu, więc zupełnie się nie spodziewałem, że nagle coś powie.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytała Sandra.

– Tam w rogu, widzisz? Miga czerwona dioda.

– Gdzie?

Sandra wcelowała w nas światło telefonu, żeby zobaczyć kierunek, który wskazywała Ala. Ja także spojrzałem w róg korytarza, tam gdzie był ślepy zaułek. Faktycznie dostrzegłem czerwony punkt. Dioda, jak ta na telewizorze, która świeci zawsze, gdy nie odłączy się wtyczki od prądu.

Gdy Sandra przesunęła w tamto miejsce światło ze swojej komórki, zobaczyliśmy duże stare lustro. Wisiało chyba wyłącznie po to, żeby udawać, że korytarz jest jeszcze dłuższy. Miało piękną, zdobioną złotą ramę. Tafla była pełna przebarwień. Warstwa srebra na tylnej ścianie musiała się wytrzeć, ale sprawiało to tylko, że lustro wyglądało dostojniej. Dziewczyny (oraz oczywiście ja, bo Ala cały czas trzymała mnie na rękach) podeszły do ściany.

Teraz wyraźnie widzieliśmy, że czerwony punkcik migał w zagłębieniu ramy.

– Kamera – stwierdziła Sandra. Wydawała się wstrząśnięta.

Nie pojmuję czemu. Przecież Śmietański ma mnóstwo dzieł sztuki. Musi je jakoś zabezpieczać. Jeden Kowalski pewnie nie wystarcza. To zrozumiałe, że zainstalował u siebie kamery.

– Tyle pociechy, że agregat się włączył. – Ala ziewnęła głośno. – Ja też idę spać. Dobranoc.

Wróciliśmy do naszego pokoju. Gdy przechodziliśmy obok sypialni Eryka, usłyszałem u niego szelest. Udał, że się kładzie, ale tymczasem chyba nas podsłuchiwał.

Moja ukochana dokładnie zamknęła drzwi. Szarpnęła kilka razy klamką, żeby upewnić się, czy na pewno nie da się ich otworzyć.

Sięgnęła do przełącznika światła. Kilka razy go nacisnęła, ale nic się nie stało.

– Hm.

Dla pewności spróbowała włączyć nocną lampkę. Ona także się nie zapaliła.

– To agregat jednak nie działa – mruknęła sama do siebie i wskoczyła do łóżka.

Gdy tylko mnie puściła, pognałem czym prędzej na parapet. Za plecami usłyszałem, jak Ala wierci się pod kołdrą. Nie miała żadnych problemów z zaśnięciem po tej nocnej przygodzie. Niebawem usłyszałem jej miarowy, głęboki oddech.

Ja za to usiłowałem wypatrzeć w ciemności psy obronne. Byłem ciekawy, czy są duże. To na pewno jakieś ogromne potwory! Niestety mrok był nieprzenikniony nawet dla moich oczu.

Już miałem dać sobie spokój, kiedy zobaczyłem, że z za rogu budynku wysuwa się postać trzymająca w dłoni lampę. To był Kowalski. Nagle za nim pojawił się drugi krąg światła.

Tym razem to był Jan Nowak, kucharz. On oprócz lampy niósł jeszcze karabin. Nie żartuję. Takie karabiny, mają na swoim wyposażeniu umięśnieni mężczyźni w telewizji. Robią one bardzo szybko piu, piu, piu i wszyscy źli ludzie od razu padają martwi w czerwonej fontannie sztucznej krwi.

Kowalski skierował się do domu, a Nowak ruszył podjazdem w stronę bramy wjazdowej.

Postanowiłem, że przejdę się na spacer kanałami. Nadzwyczajnie mnie ciekawiło, kto krzyczał. Musiało się wydarzyć coś bardzo, ale to bardzo interesującego. Może Kowalski złapał złodzieja i torturował go właśnie w swoim pokoju?

Przecisnąłem się obok walizki i pognałem tunelem. Wbiegłem do tajnej klatki schodowej, a stamtąd z powrotem do wentylacji. Niebawem znalazłem się obok pokoju dozorca.

Dotarłem w samą porę. Jan akurat wszedł do środka. Postawił lampę na podłodze przy drzwiach i zaczął zdejmować mokre okrycie. Ku mojemu wielkiemu rozżaleniu nie zobaczyłem w jego pokoju niczego podejrzanego.

Jeśli chodzi o wystrój, to nic nowego nie przybyło, a wręcz coś ubyło. Gdzieś zniknęła różowa walizka pierwszej uczestniczki, która

odpadła z konkursu.

No i po co mi był ten spacer? Bez sensu. Wracam spać.

## Rozdział 15. Nawiedzony drapak

Następnego dnia burzowe chmury odeszły w niepamięć. Było zimno, mokro, ale za to słonecznie. Gdy uczestnicy zaczęli schodzić się na śniadanie do jadalni, żyrandole były już rozświetlone.

Usiadłem sobie spokojnie przy kratce wentylacyjnej i zająłem się poranną toaletą. Szczerze żałuję, że muszę się ukrywać. Uwielbiam być w centrum wydarzeń. Szkoda, że Ala nie dostała pozwolenia na swobodne wypuszczanie mnie z pokoju. Wolałbym siedzieć teraz na parapecie niż w tym szerokim tunelu.

Gdzieś za moimi plecami usłyszałem głosy. Były zwielokrotnione przez echo, które odbijało się o ściany kanału wentylacyjnego. Ktoś rozmawiał. Na pewno kobieta i mężczyzna. Nie miałem jednak pojęcia o czym. Dźwięki zlewały się ze sobą. Nawet moje kocie uszy nie potrafiły wydobyć z tej kakofonii niczego istotnego.

Zaintrygowało mnie to. Na pewno osoby, które słyszałem, nie stały po prostu w pokoju obok wlotu do wentylacji. Dźwięki nie niosły się tu aż tak dobrze. Musiały znajdować się w tajnym tunelu. Tylko skąd wiedziały o jego istnieniu? Na pewno ktoś nim często chodził, bo część posadzki nie była zakurzona. Myślałem, że to któryś z Janów używa tajnych przejść do patrolowania domu.

Jeśli natomiast słyszę głos kobiety...

Zerknąłem na stół w jadalni. Na razie tylko Ala i Eryk zajęli swoje miejsca. Rozmawiali spokojnie o nocnej przygodzie. Poza nimi nikt jeszcze nie zwlekł się z łóżka. Przynajmniej rzekomo. Zatem to mógł być każdy z nieobecnych.

Poczułem niepokój. Naszły mnie bardzo złe przeczucia. Od dawna fantazjowałem, że byłoby dobrze pozbyć się innych uczestników konkursu. Niemniej pozostawiłem te pomysły w sferze marzeń. Jednak przypadek Konrada dobitnie wskazuje, że nie ja jeden wpadłem na takie drastyczne rozwiązanie.

Spojrzałem na moją ukochaną. Eryk musiał powiedzieć coś zabawnego, bo uśmiechała się szeroko. Niechcący machnęła ręką

i rozlała trochę soku pomarańczowego, co wywołało jeszcze więcej radości.

Nie mogę pozwolić, by ktoś ją skrzywdził. Alu, ja o nas zadbam. Obiecuję ci.

Głosy w tunelu ucichły, lecz moje postanowienie było nadal mocne. Zamierzałem zwiedzić cały kompleks tajnych przejść. Dowiem się, kto knuje coś niebezpiecznego, a potem postaram się go powstrzymać.

Ale po śniadaniu. Najpierw chcę posłuchać, jakie będzie następne zadanie.

Miejsca przy stole powoli się zapełniały. Nawet Śmietański wjechał przy akompaniamencie elektrycznego silniczka swojego wózka.

– Dzień dobry – burknął tonem sugerującym, że dla niego dobry to on na pewno nie jest. A następnie dodał, nie czekając na ich odpowiedź: – Dobrze państwo spali, jak miemam. Problemy z elektrycznością nie uprzykrzyły państwu życia?

Z miną jastrzębia poszukującego ofiary sondował ich twarze. Sprawiał wrażenie, jakby tylko czekał, aż ktoś się poskarży.

– Chyba wszyscy dobrze spaliśmy – odważyła się odpowiedzieć Sandra.

– Wyśmienicie – odpowiedział równie ponurym tonem co wcześniej.

Nowak wjechał do jadalni swoim metalowym wózkiem. Miał na podgrzewaczu trzy patelnie z jajecznicą.

Ech, chciałbym wylizać czyjś talerz. Tęsknię za śniadaniem z moją ukochaną. Zawsze mi dawała coś do jedzenia, a potem narzekała, że umrę na cukrzycę albo na nerki.

– Chociaż ktoś w nocy krzyczał... – dodała Sandra.

Śmietańskiemu nie drgnęła nawet powieka.

– Słucham?

– Ktoś krzyczał – powtórzyła Kucharczyk. – To znaczy sama nie słyszałam, ale podobno ktoś krzyczał.

– Nikt nie krzyczał – zaprzeczył właściciel.

– Wyraźnie słyszeliśmy – powiedział Eryk.

– Kto słyszał? – zapytał pan Stefan.

– Ja, Alicja i Emil.

Poważny wzrok Śmietańskiego spoczął na Ali. Moja ukochana skurczyła się w sobie.

– Wcale nie było aż tak głośno – bąknęła.

– Nikt nie krzychał – powtórzył gospodarz. – To stary dom. Pewnie słyszeliście rury. Zresztą, nieważne. Czekają państwo z niecierpliwością, by dowiedzieć się, jaki będzie wasz nowy temat. W takim razie...

– Jeszcze nie ma wszystkich – przerwała mu Sandra.

Zmierzył ją zirytowanym spojrzeniem. Bardzo nie lubił, kiedy nie dawało mu się dojść do słowa.

W tej chwili usłyszeliśmy kroki w korytarzu. Claudia wpadła do jadalni, oddychając ciężko. Dredy związała kolorową wstążką na czubku głowy. Nie udało jej się tego jednak zrobić prosto i wyglądała, jakby wyrosła na jej ciemieniu krzywa palma.

– Przepraszam! – wysapała i pobiegła do swojego krzesła.

Wyraźnie utykała na prawą nogę. A wczoraj chodziła prosto. Ciekawe, co sobie zrobiła?

I kiedy? Czy to ona krzyczała w nocy?

– Dobrze, a więc skoro raczyliście się pojawić w komplecie, to... – zaczął Śmietański, ale Sandra znowu mu przerwała:

– Nie ma jeszcze Zuzy.

Teraz staruszek zirytował się nie na żarty. Zacisnął mocno palce na sztuccach. Aż mu kostki pobielały.

– Czy pozwoli mi pani dojść do słowa? Pani Zuzanna Lubieńska nie przyjdzie, ponieważ zrezygnowała z udziału w konkursie.

Wszyscy wbili w niego zaskoczone spojrzenia. Nawet ja. Emil zakrzusił się maślaną bułeczką. Siedzący obok niego Paweł musiał kilka razy uderzyć go w plecy, bo biedak niechybnie zadławiłby się na śmierć.

Rzuciłem grafikowi pełne potępienia spojrzenie. No i po co mu pomagał? Byłoby o jednego uczestnika konkursu mniej. Ech, ludzie... Gdzieś te ich wszystkie instynkty, zwłaszcza instynkt przetrwania, zagubiły się przez lata źle pojętej ewolucji.

A czemu źle pojętej? No ja bardzo przepraszam, ale jeśli ktoś w toku ewolucji traci całkowicie futro i musi na siebie codziennie nakładać ubrania, które to futro mają udawać, to, na świętą Bastet, coś tu poszło nie tak.

To w sumie ciekawa informacja, że Zuzanna Lubieńska zrezygnowała. Z tego, co zaobserwowałem podczas wczorajszego pokazu prac, była odrobinę zawiedziona opinią Śmietańskiego o swoim obrazie, ale nie wyglądała na osobę, która by się poddała i w jeden wieczór spakowała walizki. Owszem, nie była tak pyskata jak Sandra Kucharczyk, ale, co zauważam z bólem, była o wiele bardziej uparta od mojej ukochanej Ali.

Dobrowolne odejście jakoś mi do niej nie pasowało. Zastanawiające, co mogło ją do tego skłonić.

– Zrezygnowała? – zdziwiła się Sandra.

Chyba chciała udąć zmartwioną tym faktem, ale nie zdołała stłumić uśmiešku, który wypłynął na jej usta.

Pan Stefan też to dostrzegł.

– Widzę, że specjalnie to pani nie zmartwiło – skwitował jadowicie.

– Jedna osoba mniej do pokonania.

Śmietański przez chwilę przyglądał jej się z uwagą. Zmrużył oczy i się rozchmurzył.

– Podoba mi się pani bezwzględność.

– To w końcu konkurs. – Wzruszyła ramionami. – Nie będę płakać za kimś, kto mógł mnie pokonać.

– Pani Zuzanna raczej nie miała z panią szans.

Sandra błysnęła zębami i kolczykiem w wardze w szerokim uśmiechu. Niby się cieszyła, ale ten grymas był pozbawiony radości. Wyglądała jak rekin na filmach przyrodniczych.

Inni artyści nie byli zachwyceni tą wymianą zdań. Emil mruczał coś pod swoim równym wąsikiem. Pewnie był zazdrosny. Jako jedyny artysta, którego prace wiszą w galeriach, nie może wyraźnie przeboleć faktu, że Śmietański nie wychwala go pod niebiosa.

Ja też byłem zazdrosny. Muszę wymyślić, jak się pozbyć Sandry. Przecież to Ala miała być ulubioną uczestniczką. Jest śliczna, mądra i pięknie maluje. Ta Kucharczyk nie dorasta jej nawet do pięt.

– Wracając do tematu... – Śmietański niczym mistrz ceremonii znowu zawiesił głos, dzięki czemu emocje przy stole jeszcze bardziej wzrosły. – Wasze kolejne prace powstaną w tym samym czasie. Ba, będziecie mogli nawet podglądać, jak idzie innym. Tym razem nie zamkniecie się w swoich pokojach. Będziecie musieli stworzyć akt.



A podczas jego tworzenia będziecie siedzieć w tym samym pomieszczeniu.

– Akt? – zdziwiła się Sandra. – Ktoś będzie nam pozował?

– Tak. Dzisiaj o dziesiątej przyjedzie model. Będziecie mieli cały dzień, żeby go narysować lub namalować. Wieczorem zostanie wam trochę czasu, żeby dopracować szczegóły, a jutro rano ocenię wasze prace.

– Co?! – wykrzyknęła Claudia. – Jeden dzień?! No to jest już przesada! Nie możemy pracować na akord!

– A niby czemu nie możecie? – zaciekał się Śmietański.

– Bo jesteśmy artystami!

– Artyści dostają zlecenia, które mają wykonać w konkretnym czasie – oznajmił. – I tak było od wieków. Każdy musiał dotrzymać terminów.

– Ale nigdy nie mieli jednego dnia na stworzenie dzieła sztuki! – Claudia dalej pyskowała, szarpiąc się nerwowo za dredy.

– Ależ ja was nie proszę o stworzenie dzieła sztuki – zachnął się. – Przecież wiem, na co was stać czy raczej nie stać...

Zachichotałem. Uwielbiałem, jak im dogryzał. Szkoda, że przy okazji obrywało się mojej Ali, niemniej byłem pod nieustającym wrażeniem tego, jak bardzo Śmietański nimi wszystkimi gardził.

Stało to w zupełnej sprzeczności z jego pomysłem, by jednemu z artystów oddać swój majątek.

– Chcę ocenić wasze oko i technikę. Wiem, że pewnie żadne z was nie skończy swojej pracy w jeden dzień.

– Aha – burknęła Claudia.

– Już wasze poprzednie prace były wystarczająco niechlujne i niedorobione. Udowodniliście mi, że nie potraficie zarządzać swoim czasem. Tylko dwie osoby ukończyły wtedy zadanie. Resztę z was powinienem w zasadzie od razu pożegnać.

Zmierzyli go ponurymi spojrzeniami.

– A komu się udało? – zapytał Emil.

– Żeby nie napędzać waszej niezdrowej rywalizacji, zatrzymam tę informację dla siebie.

– Ale...

– Koniec dyskusji. Będziecie dzisiaj pracować w bibliotece. Zanieście tam swoje sztalugi i przybory. Macie niewiele czasu, żeby

się przygotować. Radzę wam powoli się zbierać, zamiast napychać żołądki.

Chyba nie miał ochoty na dalsze dyskusje, bo odłożył sztucce, wytarł szybko usta i wyjechał z jadalni.

Dziwny człowiek. Naprawdę. Jeszcze nie widziałem, żeby zjadł cały posiłek. Nic dziwnego, że jeździł na wózku. Pewnie nie miał siły chodzić.

– To jakaś kpina! – skrytykowała Claudia.

– Jak ci się nie podoba, to zrezygnuj – doradziła jej Sandra z uśmiechem Mony Lisy na twarzy.

– A ty co? Pupilka się znalazła. Głębiej mu w tyłek wejdź – warknęła Claudia w odpowiedzi.

Ala i Eryk spojrzeli na siebie. Oboje nie czuli się teraz komfortowo. Moja ukochana nie lubiła konfrontacji. Najprawdopodobniej milczący wielkolud także. Chociaż to dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę, jak bardzo był umięśniony.

– Oj, nieładnie tak zazdrościć – zaśmiała się Sandra. – A w ogóle to czemu kulejesz, co? Papuga cię ugryzła?

– Nie twój zasrany interes!

– Zamknijcie się obie – uciszył je stanowczo Sebastian.

Zamrugalem. Znowu o nim zapomniałem. Schował mi się za olbrzymim Erykiem. Zupełnie nie widziałem jego błyszczącej, wygolonej na zero łepetyny.

– Bo co? – Zaatakowała go rozzłoszczona Sandra.

– Bo słuchać was już nie można. Jesteście siebie warte.

Wstał i szybko wyszedł.

Eryk spojrział na Alę i kiwnął głową w stronę korytarza. Ala potwierdziła. Wstali i także opuścili jadalnię.

O cholera! Muszę się pospieszyć, bo jeszcze zauważy, że nie ma mnie w sypialni!

## Rozdział 16. Kot da Vinci

Leżałem skwaszony i przyglądałem się, jak pozostała siódemka artystów tkwi przed swoimi sztalugami i gorączkowo szkicuje. Po drugiej stronie biblioteki, na wysokim stołku, siedział zawstydzony do granic możliwości, calutki czerwony (na twarzy i nie tylko)... weterynarz Robert.

Był już czerwony w momencie, gdy Kowalski wprowadził go do biblioteki. Z czasem jego rumieńce pociemniały. Zupełnie nie odnajdywał się w roli modela. Gdy Jan wskazał mu prosty drewniany stołek, na którym miał usiąść, podejrzenie wysokim głosem zapytał, czy na pewno musi się rozbierać. Jan nie raczył mu odpowiedzieć. Zmierzył go tylko takim wzrokiem, że osobiście od razu wyskoczyłbym z futra, gdybym miał taką możliwość.

Robert próbował jeszcze przez chwilę dyskutować, ale i tak w końcu zrzucił buty i zaczął szarpać się z guzikami flanelowej koszuli. Jednak mimo niemej groźby Jana nie rozebrał się do rosołu. Zostawił sobie slipy.

Nie jestem przekonany, czy został wcześniej ostrzeżony, że będzie musiał pozować, bo włożył wściekle czerwone majtki w żółte uśmiechnięte serduszka. Nie żartuję. A centralnie na jego przyrodzeniu znajdował się napis: „Daj mi buziaczka”.

Chociaż nawet jeśli go nie poinformowali, że będzie zmuszony się rozebrać, to i tak nie rozumiem, co mogło nim kierować przy wyborze codziennej bielizny. Przypuszczalnie nie był to dobry gust.

Weterynarz usiadł spłoniony na wysokim stołku i nieporadnie zasłonił się rękami w kroku. Prychnąłem z potępieniem. Najwyraźniej dopiero teraz nasza go refleksja, że mężczyźni po czterdziestce nie powinni nosić takich slipów. Zwłaszcza rudowłosi i o takiej karnacji. No, chyba że nie sądził, iż kiedykolwiek będzie musiał się przed kimś rozebrać.

Jan Kowalski chyba także był zniesmaczony jego bielizną, bo przyniósł białe prześcieradło i kazał mu przepasać się nim

w biodrach. Dzięki temu nie musieliśmy podziwiać dłużej tych koszmarnych majtek.

Artyści powoli rozkładali swoje akcesoria i przestawiali sztalugi w poszukiwaniu lepszego miejsca. Sandra i Claudia zdążyły się już pokłócić, bo koniecznie chciały siedzieć w tym samym kącie.

A ja byłem wściekły. Jednak tym razem nie na Roberta, który co prawda wciąż nie wzbudzał mojego zaufania, ale nie wadził mi w tej chwili jakoś specjalnie. W sumie to było całkiem przyjemne popatrzeć na zakłopotanego weterynarza.

Moja wściekłość była aktualnie skierowana w stronę Eryka. Wyraźnie smalił cholewki do mojej Ali. Najpierw ją niby odprowadził do pokoju, a potem się uparł, że pomoże jej nieść rzeczy do biblioteki. Miauknąłem ostrzegawczo, kiedy wszedł do naszej sypialni, ale czy zrozumiała, o co mi chodzi? Oczywiście, że nie. Ucieszyła się, że ten młotek będzie jej niósł sztalugę.

Święta Bastet... Witek okropnie zaniżył jej standardy.

Eryk oczywiście ustawił swoje stanowisko pracy tuż przy sztaludze Ali. Na okrągłym, brudnym od pracy stoliku umieścił bryłę gliny. Obok siebie na krześle położył tackę z narzędziami. Miał noże rzeźbiarskie w różnych rozmiarach i jakieś tajemnicze srebrne szpikulce. Cierpliwie zdierał z bryły kolejne warstwy gliny, powoli odsłaniając sylwetkę siedzącego weterynarza.

A przy okazji zerkał na brystol mojej ukochanej. Nie wierzyłem w jego dobre intencje. Jestem przekonany, że chciał jej w jakiś sposób zaszkodzić. Nie byłem tylko jeszcze do końca pewien, jak chce to zrobić. W każdym razie fakt, że tak sprawnie posługiwał się ostrymi narzędziami, nie działał na jego korzyść. Ja dobrze pamiętam, że Konrad został dźgnięty nożem.

Ala bardzo delikatnie szkicowała ołówkiem. Rysik ledwie muskał papier. Bała się, że później nie zdoła zakryć go akwarelami, a chciała jak najdokładniej odwzorować proporcje. Wysunęła koniuszek języka całkowicie skupiona na liniach i odległościach. Pochylający się w jej stronę Eryk w ogóle teraz dla niej nie istniał.

Uff, tyle dobrego, że przynajmniej jej nie rozprasza.

– Powiem wam, że pierwszy raz jestem w tym domu – odezwał się Robert, którego najwidoczniej krępowała panująca w bibliotece

cisza. – Ładnie tutaj. Chociaż troszkę mrocznie. Co prawda myślałem, że będę zwiedzał go w ubraniu, ale...

– Przepraszam, ale właśnie rysuję twoją twarz. Czy mógłbyś być cicho? – upomniała go uprzejmie, ale bardzo stanowczo Sandra.

– Och, przepraszam! – zawstydził się.

– Nie pochylaj głowy! Zmieniasz całkowicie cienie na swojej klatce piersiowej! – zawołała Claudia.

Weterynarz wyprostował głowę i w rezultacie siedział zupełnie inaczej niż na początku.

Ala wychyliła się zza swojej sztalugi i posłała mu pocieszający uśmiech. Odwzajemnił go nieśmiało.

– Nie ruszaj twarzą, do cholery! – Tym razem głos Sandry już nie był taki miły. – Ile razy będziesz zmieniał pozycję?!

Biedny Robert skamieniał w jednej chwili. To weterynarz, więc z zasady go nie lubię. Na dodatek nie podobało mi się, że zaprzyjaźnił się z Alą. Niemniej bardzo mu teraz współczuję. Ludzie, w przeciwieństwie do kotów, nie potrafią zastygać w bezruchu. Widać było po nim, że strasznie się męczy.

Poza tym chyba nie mógł być aż tak złym człowiekiem, jeśli sam miał kota. Ta Marchewka była bardzo ponętna. Chętnie bym się z nią jeszcze kiedyś spotkał.

Skoro wszyscy byli zajęci odwzorowywaniem weterynarza, to ja udałem się na spacer po tajnych przejściach. Być może był to z mojej strony przejaw słabego ducha, ale wolałem zwiedzać, kiedy miałem pewność, że artyści siedzą na tyłkach i nie mogą mnie przyłapać. Śmietański też mnie nie zobaczy, bo na wózku nie pokona wąskiej klatki schodowej. Z kolei Nowak chyba nigdy nie opuszczał kuchni. Pozostawał mi Kowalski, ale jego akurat się nie bałem.

Przecież lubił koty.

Pognałem do drugiego skrzydła budynku. Chciałem zobaczyć prywatne pokoje gospodarza. Nie wiem do końca, czego się spodziewałem, ale bardzo interesowało mnie, dlaczego nikomu nie wolno tam wchodzić. Każde zamknięte miejsce koniecznie trzeba sprawdzić. Weźmy, na przykład, szufladę z rajstopami mojej Ali. Nigdy nie pozwalała mi do niej wchodzić. Zawsze pilnowała, żeby zasunąć ją do końca. Przez te komplikacje musiałem się nauczyć

sam ją otwierać. Jak jakaś tresowana małpa, a nie porządny kot domowy. Okazało się jednak, że było warto odkryć zasady działania szuflad. Teraz zawsze zakopywałem się w jej rajtkach, kiedy mi było smutno albo byłem głodny, albo było mi smutno, bo byłem głodny.

Zaglądałem do kolejnych pokoi pewien, że i tym razem natrafie na coś interesującego, na coś, co zrekompensuje moje wysiłki. Pierwsze dwa były pustymi sypialniami. Meble i wiszące na ścianach dzieła sztuki pokrywała gruba warstwa kurzu. W powietrzu czuć było stęchły smrodek dawno nie wietrzonego pomieszczenia. Chyba nikt od długiego czasu tam nie wchodził. Okna przysłonięto zasłonami, żeby obrazy nie blakły, panujący w środku półmrok sprawiał, że wnętrza jeszcze bardziej zniechęcały. Po krótkim rekonesansie, kichając od kurzu, pobiegłem dalej.

I wtedy natrafiłem na coś naprawdę godnego uwagi. Kilka pomieszczeń przez wyburzenie ścian działowych połączono w jedno duże. Śmietański zbudował sobie własne studio. W środku unosił się całkiem świeży zapach farb, na sztalugach stały obrazy olejne. Grube warstwy farby lśniły w słońcu, które wpadało przez okna.

Nie oszukiwał Grzegorzycyka. Naprawdę lubił malować.

Kratki wentylacyjnej w ogóle tu nie było. Najprawdopodobniej zapomniano ją zamontować po remoncie. Wszedłem do pomieszczenia. Pracownia zupełnie nie pasowała do reszty budynku. Było tu bardzo nowocześnie. Zamiast położenia parkietu na podłodze pozostawiono betonową wylewkę, a ściany pomalowano na oślepiającą biel, która odbijała światło słoneczne, dzięki czemu wnętrzu wydawało się niezwykle jasne. Naliczyłem piętnaście rozstawionych sztalug. Na wszystkich znajdowały się obrazy. Niektóre były już skończone, a inne rozgrzebane i porzucone. Cechował je jednak ten sam styl i technika nakładania grubej warstwy farby.

Po drugiej stronie pomieszczenia, na podłodze, stały prace uczestników konkursu. Zobaczyłem dwie akwarele mojej Ali. Śmietański nie zabierał wszystkich prac. Brał tylko te, które mu się podobały.

Usiadłem naprzeciwko nich, by jeszcze raz dokładnie się im przyjrzeć. Jeżeli szukał swojego następcy, to najbliższe stylem były mu Zuzanna i Claudia. Być może dlatego ich prace, mimo że

podobno gorsze, umieścić z przodu. Przysłaniały akwarele mojej ukochanej.

Ledwie się powstrzymałem, żeby nie nasikać na prace konkurencji. Jeszcze nigdy nie ogarnęła mnie aż taka zazdrość. Szkoda, że Ala mu nie nakłamała i nie powiedziała, że ma niemieckie korzenie. Mielibyśmy już ten spadek w garści.

– Malują?

– Tak, proszę pana.

– Doskonale. Masz nadzór?

– Tak, proszę pana. Razem z Nowakiem patrzymy w monitory. Wszyscy siedzą na swoich miejscach.

– Wyśmienicie.

Prawie pogubiłem nogi, usiłując jak najszybciej dobiec do wentylacji. Głosy i terkotanie wózka inwalidzkiego w korytarzu były coraz bliżej. Klucz zazgrzytał w zamku.

Nie zdążyłem.

Jan Kowalski wprowadził wózek do środka. Zamknął za sobą drzwi i przekreślił zasuwkę. Ja w tym czasie schowałem się za kilkoma pustymi płótnami rozpiętymi na blejtramacach, które stały pod ścianą i czekały na zagruntowanie. Ledwie zmieściłem się pomiędzy nimi. Święta Bastet, ja jednak mam gruby tyłek.

– A jak Robert?

– Lepszy z niego weterynarz niż model.

Pan Stefan zaśmiał się donośnie i klepnął w kolano.

– A taki był wygadany, kiedy go poprosiłem o pomoc. Tak się cieszył, że zadzwoniłem – powiedział. – Już od dawna zżerała go ciekawość, jak wygląda wewnątrz domu.

– Tak. Za każdym razem szukał wymówki, żeby wejść do środka. Jest wścibski. Nie podoba mi się.

Przeczółgałem się za płótnami. Byłem już całkiem niedaleko wlotu do wentylacji. Co prawda ostatnie dwa metry będę musiał pokonać na widoku, ale poczekam, aż odwróci się do mnie plecami. Wyrzałem ostrożnie pomiędzy dwoma podobraziami, pilnując, aby moje ciało cały czas pozostawało w cieniu.

– Już nie bądź taki skwaszony, Eliaszu. Gdyby nie Robert, to ty musiałbyś siedzieć przed nimi w bieliźnie albo i bez. A jeśli

zobaczyliby, ile masz blizn, to zaczęliby zadawać niewygodne pytania.

A nie mówiłem, że Jan Kowalski na pewno nie nazywa się Jan Kowalski? Chociaż szczerze mówiąc, to byłem troszkę zawiedziony. Miło byłoby mieć prawdziwego „Jana”.

– Wolałbym tego uniknąć.

– No właśnie. A w ten sposób upiekliśmy dwie pieczenie na jednym ogniu. Zobaczył wnętrze, a my zajęliśmy czymś uczestników.

Śmietański zaśmiał się, jakby ktoś opowiedział dobry dowcip, i wyciągnął rękę. Kowalski posłusznie go złapał i dźwignął do pionu. Patrzyłem zafascynowany, jak staruszek staje najpierw na jednej, a potem na obu nogach.

Nawet się nie zachwiał.

– Grzegorzcyk oskarża mnie o bycie neonazistą – powiedział pan Stefan. – Gdyby się dowiedział, że moim najbardziej zaufanym człowiekiem jest rodowity Żyd z Izraela, to chyba byłby bardzo zawiedziony.

– Być może.

Śmietański podszedł do jednego z niedokończonych płócien. Zdjął marynarkę i podał ją Janowi. Zawinał śnieżnobiałe rękawy koszuli. Zdjął z palca sygnet z rubinem i schował go do kieszeni spodni.

– Dobrze. Zostaw mnie i idź pilnować tych młokosów. Musimy kogoś wytypować. Masz już jakieś propozycje?

– Nie podoba mi się Emil Laurentowicz.

Śmietański skrzywił się pogardliwie.

– Ostatnio nie podobała ci się Zuzanna Lubieńska i zobacz, jak się skończyło.

– Niby tak.

– Mówiłeś, że sprawdziłeś dokładnie ich przeszłość.

– Sprawdziłem, ale wiedzieliśmy, że spróbuje się przemknąć.

O czym oni mówili? Nic nie rozumiałem. Wprawdzie powoli przestawało mnie to interesować. Zależało mi tylko na tym, żeby jak najszybciej stąd uciec. Już szykowałem się do skoku i biegu w stronę wentylacji, kiedy jedno zdanie z powrotem usadziło mnie w miejscu:

– A co myślisz o Alicji Nawrockiej?

Drgnąłem. Czego oni chcą od mojej Ali?!



– Jeszcze nie mam o niej zdania – mruknął Kowalski.

## Rozdział 17. Jak się masz, koteczku?

Dopiero obowiązkowa przerwa obiadowa wywabiła ludzi z biblioteki. Gdyby nie to, że Jan Kowalski osobiście przyszedł i wyrzucił artystów, pewnie nadal by tam siedzieli, bazgrząc w amoku i udając, że nie słyszą delikatnych uwag Roberta na temat jego dość pilnej potrzeby opróżnienia pęcherza. Zjedli szybko, a potem rozleźli się po całym budynku, żeby rozprostować zastałe kości. Gderali przy tym, jakby wszyscy byli dobrze pod sześćdziesiątkę.

Osobiście uważam, że to dlatego, że w ogóle się nie rozciągają. Każdy kot minimum kilkanaście razy dziennie się przeciąga. Poza tym regularnie ćwiczymy, myjąc każdy zakamarek swojego ciała. Nawet moja Ala, pomimo swojej sportowej przeszłości, zapomina o starej dobrej rozgrzewce. A potem się dziwi, że ją połamano od siedzenia przy sztaludze i nie może podrapać się po łopatce, bo jej ręki nie starcza.

Ech... ludzie.

Ruszyłem powoli wentylacją. Zamierzałem podsłuchać, jakie nastroje panują u konkurentów Ali. Nie chciałem wracać do sypialni, bo wiedziałem, że nie powinna raczej tam zaglądać. Rano wyspała mi do miski tyle karmy, że spokojnie starczyłoby mi na cały tydzień. Wychodząc, powiedziała przeproszającym tonem, że nie będzie jej cały dzień, bo jest strasznie mało czasu. Teraz, kiedy na horyzoncie pojawił się szeroko uśmiechnięty Robert, miałem niemal pewność, że przerwę spędzi w jego towarzystwie, pokazując mu wnętrze rezydencji, na punkcie której miał chyba lekką obsesję.

Zobaczyłem, że Emil idzie gdzieś z Erykiem. Od razu mnie to zainteresowało, bo tych dwóch do tej pory w ogóle nie spędzało ze sobą czasu. Wydawało mi się, że kierują się na dwór. Niedobrze. Tam nie miałem możliwości ich śledzić. Na szczęście zatrzymali się w holu przy wejściu. Uchylili jedno z dwóch okien i stanęli w lodowatym przeciągu. Wspaniale, bo tuż obok znajdowała się moja kratka.

Coraz bardziej podobała mi się rola tajnego agenta. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, jakie moje życie w bloku było nudne! Całymi dniami spałem i bawiłem się nakrętkami od butelek.

Jeśli nie otrzymamy tej rezydencji w spadku, to zupełnie nie wiem, jak sobie poradzę zamknięty w naszych czterech ścianach.

Poczułem woń dymu papierosowego. Przeciąg zaciągnął go prosto do wentylacji. Szybko potarłem łapą nos. Ledwie powstrzymałem się przed kichnięciem. Strasznie nie lubiłem tego zapachu.

– Zapalisz? – Emil wyciągnął w stronę Eryka napoczętą niedawno paczkę.

– Nie palę.

– A nie przeszkadza ci, że ja będę?

– Nie, spokojnie. To co chciałeś mi powiedzieć? Mów szybko, bo jeszcze nas Kowalski przyuważy. Poza tym chciałem jeszcze zrobić sobie herbatę.

Ericsson stanął przy oknie. Bawił się nożem. Stał błyskała niepokojąco.

– Sorry, muszę przykurzyć, bo sytuacja powoli mnie zaczyna przerastać! Już sam nie wiem, co mam o tym myśleć. To wszystko jest jakieś porąbane! Sądziłem, że rozumiem, o co biega, że to taki wymysł ekscentryka, który śpi na pieniądzach i mu się zwyczajnie nudzi, ale teraz... teraz...

Emil sprawiał wrażenie mocno rozhisteryzowanego. Jego loki podskakiwały niespokojnie, gdy kiwał głową, jakby właśnie nabawił się tiku. Raz za razem zaciągał się papierosem. Jeszcze go takiego nie widziałem. Zwykle był spokojny, trochę wycofany, ironicznie się uśmiechał pod wąsem i czasem komentował coś złośliwie. Jednak nawet jego komentarze liczyły raptem kilka słów, z rzadka wypowiadał pełne zdanie. Teraz za to trajkotał szybko, wypluwając z siebie nerwowo kolejne dźwięki.

Bał się. Tylko czego?

– Co się stało? – zapytał Eryk zajęty wygrzebywaniem spod paznokci gliny za pomocą noża.

– Chodzi o Zużę.

– No?

– Jakby to powiedzieć... pewnie sam odczułeś, że zamknięcie w tym miejscu trochę robi na głowę.

Skandynaw wzruszył ramionami. W przeciwieństwie do Emila wyglądał na zdrowego na umyśle.

– Mam w Warszawie narzeczoną – wyznał Laurentowicz. – Jesteśmy zaręczeni już trzy lata. Przez jakiś czas rozważaliśmy wzięcie ślubu, ale koszty nas przerosły. Po namyśle doszliśmy do wniosku, że papier nie jest nam potrzebny i nie mamy ochoty robić imprezy dla wszystkich pociotków.

Zamilkł. Eryk w tym czasie przeszedł do oczyszczania drugiej dłoni. Miałem wrażenie, że jeśli Emil nie będzie się streszczać, to znudzony rzeźbiarz po prostu sobie pójdzie. Myślami i tak był zupełnie gdzie indziej, podejrzewam, że przy swojej pracy.

– Wiesz, jak to jest, gdy jest się daleko...?

Papieros Emila zgaś. Gorączkowo zapalił kolejnego.

– Nie do końca wiem, co chcesz mi powiedzieć. – Eryk rzucił mu lekko zirytowane spojrzenie.

– Tak, tak. Przepraszam. Jestem trochę zdenerwowany.

– Widzę.

– Chodzi o to, że... Słuchaj, Eryku, nie będę owijał w bawełnę. Nikomu tu nie ufam. Tobie w sumie też nie, ale jakoś na tle innych wydajesz się jeszcze w miarę w porządku. Ja zdradziłem moją Natalię. Zrobiłem to z Zuzką. Wczoraj. Zresztą nie tylko wczoraj. Spaliśmy ze sobą już od dobrego tygodnia. Tak jakoś wyszło. Najpierw gadaliśmy, a potem od słowa do słowa... Wiesz, jak to jest.

– A Natalia to...?

– Natalia to moja narzeczona.

– Ale co mi do tego? Czemu mi się z tego zwierzasz? – zdziwił się Eryk. – Zadzwoń lepiej do narzeczonej.

Laurentowicz machnął lekceważąco ręką.

– Nie, nie, nie! Nie rozumiesz? Nie chodzi o to, że zdradziłem Natalię. Chodzi o to, że spałem z Zuzą.

Ericsson był lekko skonfundowany. Przyznaję, że ja również. Ta rozmowa zaczynała mnie nudzić. Myślałem, że usłyszę jakieś interesujące wieści, na przykład ci dwaj umawiają się, jak zamordować innych uczestników czy coś... Jestem głęboko zawiedziony. Trzeba było iść za Claudią i Sebastianem. Oni też się gdzieś oddalili, szepcząc do siebie zagadkowo.

– Chodzi o to, że Zuzka wcale nie sprawiała wrażenia, jakby chciała wyjechać – powiedział Emil.

– Aaa, o to chodzi.

– No słuchaj, stary, to jest jakieś totalnie podejrzane. Ona naprawdę była dość pewna, że idzie jej dobrze. Chwaliła mi się nawet, że Śmietañski za każdym razem zabiera jej prace, czyli szczerze mu się podobają. Dlaczego miałyby wyjeżdżać?

– Może wcale nie mówiła ci wszystkiego? – Eryk wzruszył ramionami.

– Na pewno nie. Krysztalowa zresztą nie była od początku. Umiała kłamać. Wiesz, że zostawiła w Gdyni męża?

– Naprawdę? Nie miała obrączki.

– Też ją o to zapytałem. Powiedziała, że rok temu, po ciąży, przytyła, i ciągle jeszcze nie doszła do jubilera, żeby ją poszerzyć.

– Po ciąży...?

Emil zapalił trzeciego papierosa. W tym tempie rozwinię raka płuc przed pięćdziesiątką.

– Dzieciaka też miała. – Teraz on wzruszył ramionami. – Nie oceniaj.

Eryk uniósł lekko brwi i wykrzywił pogardliwie jeden kącik ust. Najwyraźniej mógł się powstrzymać tylko przed werbalnym ocenianiem. Mimika zdradzała, że myśli nadal miał niepochlebne.

– Wczoraj, jak co wieczór, poszliśmy z Zuzką do łóżka. Tym razem spaliśmy w mojej sypialni. Wydawała się rozluźniona, całkiem zadowolona. Zastanawiała się, jak jej dzisiaj pójdzie. Mówiła, jakich użyje technik. To nijak nie pasuje do jej nagłego wyjazdu przed śniadaniem. Przecież by mi powiedziała, że się pakuje. Zdradziłaby się jakoś. Coś tu śmierdzi!

– Może nagle coś się stało u niej w domu? Musiała pilnie wracać z jakiegoś powodu. Dzieci zachorowały, a rano mąż do niej zadzwonił.

– To jedyna możliwość, bo z konkursu na pewno sama by nie zrezygnowała. Niemniej... sądzisz, że tak wyjechała bez pożegnania?

– Byłeś jej kochankiem. Z tego, co mówisz, raczej przygodnym. Serio myślałeś, że się będzie z tobą czule żegnać? – zakpił Eryk.

– Nie, no nie. Ale z wami chyba się pożegnała. Ja bym się pożegnał. Ty byś wyjechał bez słowa?

– Co sugerujesz? – Rzeźbiarz się zasepił. Zapewne pospieszny wyjazd koleżanki zaczął mu się również wydawać podejrzany.

– Mówię tylko, że to bardzo dziwne. Najpierw Konrad wyjeżdża przed śniadaniem. Potem Zuza. Czemu oboje zrobili to po kryjomu? Dlaczego się nie pożegnali?

– Konrad uciekł – odparł Eryk. – Przechwalał się wtedy na kolacji, ale słyszałem, jak po kryjomu płakał w łazience. Wcale mu dobrze nie poszło. Uważam, że uciekł, bo było mu wstyd, że tak nam beczelnie nakłamał.

Emil zamrugął.

– Naprawdę?

– Tak. Myślę, że twoja Zuza też kłamała jak z nut. Jak widać, miała w tym doświadczenie, skoro zdradzała męża. A ty co myślałeś? Że ktoś ich zabił? – Eryk roześmiał się w głos. – Masz wyobraźnię.

Laurentowicz sprawiał wrażenie tylko trochę uspokojonego.

– No może masz rację...

– Kończ to palenie. Zaraz powinni nas znowu wpuścić do biblioteki. Serio, nie przejmuj się. Tu wszyscy kłamią. To przecież konkurs. Każdy dba tylko o siebie.

Malarz kiwnął głową. Zgasił papierosa o kamienny parapet i zamknął okno. Śwąd nikotyny nadal wisiał w powietrzu. A ja siedziałem i zastanawiałem się nad tym, co właśnie usłyszałem.

Wszyscy kłamią. Eryk miał rację. A to oznacza, że on także bez żadnych skrupułów oszukuje Alę. Udaje, że ją lubi. Muszę jakoś to mojej ukochanej powiedzieć. Tylko jak to zrobić?

Zasmucony poszedłem do jadalni. Chciałem zobaczyć Alę i spróbować jakoś telepatycznie przekazać jej informację o zdrażliwym charakterze Ericssona. Niestety mojej pięknej tam nie było.

Zmartwiłem się, że może jednak poszła do sypialni i oczywiście odkryła, że mnie nie ma. Na pewno szalała z rozpaczy.

Hm, gorzej, jeśli znowu utknęła w tunelu.

Początkowo chciałem nawet tam pobiec, ale przy stole zauważyłem Sebastiana i Claudię. Siedzieli tylko we dwójkę,

pochyleni, i o czymś szeptali. Robili to tak cicho, że nawet za pomocą mojego czułego słuchu nie mogłem wyłapać ani jednego słowa.

Byłem przekonany, że knują coś bardzo niedobrego. Przecież jak się szepcze, to tylko dlatego, że ma się złe zamiary. Na szczęście mogłem się szybko o tym przekonać. Albo los mi dzisiaj sprzyjał, albo umiem sterować ludźmi za pomocą siły woli, bo spiskowcy nagle wstali i podeszli do stolika, na którym stała patera z ciastkami. Pod nim znajdował się wylot wentylacji.

Dzięki temu mogłem usłyszeć wszystko, co chciałem. Święta Bastet, mam nadzieję, że umiem sterować ludźmi. Przydałaby mi się taka zdolność.

– Nie jestem pewna – powiedziała Claudia.

– Przecież sama powiedziałaś, że widziałas w nocy Kowalskiego.

– Widziałam, ale wiesz... byłem nieźle napruta – odparła z pełnymi ustami.

Na ziemię posypało się mnóstwo okruszków. Kruche ciasteczka faktycznie były kruche.

– A masz jeszcze towar? – Sebastian się ożywił.

– Niedużo. Za mało wzięłam. Bałam się, że jednak przeszukają klatkę. Do walizki nie odważyłam się niczego schować.

– Przecież to nie lotnisko. Nie mogli przeszukać ci walizki.

– Nie jestem pewna, czy nie mogli. W tych dokumentach, które musieliśmy podpisać przed przyjazdem, było wymienionych dużo rzeczy, które może zrobić ochrona. Dlatego wypchałam papugę ziołem.

Chłopak roześmiał się chrapliwie. Był taki ubawiony, że upuścił ciasteczko. Spadło na ziemię naprzeciwko mnie. Mhm, maślane. Na pewno było pyszne. Poczulem, jak do pyszczka napływa mi ślina. Żołądek skreślił mi się z głodu.

Chyba powinienem wrócić do pokoju i też zjeść obiad. Tak. To zdecydowanie dobry pomysł.

– To aż niedorzeczne, że ten goryl z ochrony uwierzył, że masz tam papugę.

– Boże, całe szczęście, że nie chciał jej oglądać. Od razu widać, że jest sztuczna.

Zaraz, zaraz, dopiero teraz do mnie dotarło, o czym oni rozmawiają. To nie ma żadnej papugi? W ogóle? Miałem ją przecież zagryźć! Nie bawię się tak!

– Wkurza mnie ten Kowalski – wyznał przyciszonym głosem Sebastian. – Nie można mieć chwili spokoju. Mam wrażenie, że nas śledzi.

– No proszę cię, na pewno nas śledzi. W korytarzach są kamery. Nawet teraz jesteśmy obserwowani.

– Co?!

– Tak, tam w rogu nad oknem jest kamera. – Usłyszałem jakiś szelest. Claudia się zdenerwowała. – Głupi! Nie oglądaj się! Pewnie nas nagrywają.

– Myślisz, że zauważyli, jak wchodzimy do tajnego przejścia? – Głos Sebastiana był pełen napięcia.

– Mam nadzieję, że nie. Gdyby tak było, to chyba ktoś zwróciłby nam uwagę. Przecież wiedzą o korytarzach. Nie chce mi się wierzyć, że kamery zamontowaliby tylko tutaj.

– Może nie podejrzewają, że ktoś mógłby się tam dostać?

– Myślisz?

– A cholera wie. Spróbujemy dzisiaj w nocy znowu dostać się do tamtego pokoju? – zapytał. – Te obrazy były niesamowite.

– Obrazy? Mnie się podobała korona i klejnoty. Ten piernik faktycznie śpi na forsie. Ciekawe, które muzeum obrabował?

– Do twarzy ci było w tej koronie.

Claudia zachichotała jak szalona, a na koniec chrumknęła niczym świnka. Na ziemię posypały się okruchy.

– Tak myślisz? – zapytała kokieteryjnie.

– Zwłaszcza jak miałś na sobie tylko koronę... – Sebastian zniżył głos. Claudia znowu zachichotała. Jeśli dalej będzie tak chrumkać, to się w końcu zakrztusi tym kruchym ciasteczkiem, które przeżuwała.

– Już myślałam, że spodobało ci się tylko jaranie zioła w muzeum – flirtowała w najlepsze.

– Raczej inne rzeczy mi się spodobały...

Usłyszałem, że zaczęli się całować. Ćlamali przy tym okrutnie. Uch, obrzydliwe.



Doprawdy, czy wszyscy uczestnicy konkursu myślą tylko o jednym? Całe szczęście, że przynajmniej moja Ala jest normalna.

Kroki w korytarzu sprawiły, że spłoszeni Sebastian i Claudia odskoczyli od siebie.

– Spotkamy się dzisiaj? – wyszeptał Tan.

– Tak.

– Tam gdzie wczoraj?

– Będę czekać w piwnicy.

– Ale weź ze sobą zioło – zaznaczył.

– Jesteś pewien? Ostatnio trochę przesadziliśmy i spadłam ze schodów... Ta noga mi nadal dokucza.

– Daj spokój, było fajnie. Weź zioło – powtórzył.

– Bo pomyślę, że naprawdę tylko na nim ci zależy...

– Claudia...

Do jadalni weszli moja ukochana i Robert zawinięty w prześcieradło po samą szyję. Kiedy usiadł przy stole, jego koszarne slipki znowu ujrzały światło dzienne.

Claudia i Sebastian wyszli bez słowa. Udawali przy tym, że wcale nie obmacywali się chwilę wcześniej.

– A tym co się stało? – zdziwił się Robert. – Uciekli przeze mnie?

– Daj spokój, po prostu są dziwni – uspokoiła go Ala.

– A, to okej – powiedział, ale sprawiał wrażenie lekko zasmuconego.

Ala podeszła z talerzykiem do stolika nad moją głową. Nałożyła sobie i Robertowi ciasteczek, a potem wróciła do kolegi. A mnie to nie przynosi ciasteczek! Za to weterynarza od razu częstuje.

Na dodatek nie wyglądała na zmartwioną. Z tego wniosek, że nie zaglądała do sypialni, żeby mnie odwiedzić. W ogóle za mną nie tęskniła! Całą przerwę spędziła z rudobrodym! Skandal...

Mężczyzna rzucił się na słodycze z takim apetytem, jakby się głodził co najmniej od miesiąca. Pozazdrościłem mu. Miał sylwetkę jak młody bóg. W sumie to nawet do twarzy było mu w tym prześcieradle. Nic dziwnego, że Śmietański wybrał go na modela dla artystów. Ja nie byłem aż tak wysportowany. Oczywiście kiedyś także mogłem się pochwalić piękną rzeźbą mięśni. Teraz niestety... puchate futerko, tak, tak, właśnie, moje piękne, puchate futerko wszystko przykryło.

Zresztą w moim przypadku brak atletycznej sylwetki to wina tylko i wyłącznie Ali. Gdybyśmy mieli większe mieszkanie, takie duże jak rezydencja Śmietańskiego, to mógłbym się wyszaleć. A ile można chodzić tam i nazad od drzwi wejściowych do drzwi łazienki?

– Jak się czujesz jako model? – zapytała Alicja.

– Wyjątkowo niezręcznie – wyznał weterynarz. – Chociaż dużo bardziej niezręczne było jedzenie obiadu tylko w prześcieradle.

– I slipkach – dodała.

Robert poczerwieniał.

– I slipkach – wydusił. – Ale wiesz, nie miałem pojęcia, że będę pozował w bieliźnie. Kiedy Śmietański do mnie zadzwonił i zapytał, czy oprócz zbadania Siwka nie wyświadczylbym mu przysługi, to słowem się nie zająknął, że będę musiał się rozebrać. Mówił, że artyści będą malować mój portret, a nie akt. W ogóle nie wdawał się w szczegóły.

– A zgodziłbyś się wtedy?

– Raczej nie.

– Może dlatego nic nie powiedział.

Robert westchnął ciężko.

– Najtrudniejszy jest ten bezruch. Ostatnie pół godziny myślałem o tym, jak bardzo mam ochotę podrapać się po nosie. Czułem, że się skręcę, ale bałem się, że znowu na mnie nakrzyczą. Poza tym naprawdę musiałem już skorzystać z toalety.

– To podziwiam, ja nie zdołałabym się nie podrapać. A tym trudniej byłoby mi wytrzymać nieruchomo, gdybym wypila wcześniej litr kawy.

Wzruszył ramionami zażenowany.

– Skąd miałem wiedzieć? Zawsze robię sobie rano litrowy kubek kawy. Inaczej ciężko mi się myśli. A jak twój obraz? Ładny wyszedłem? – Robert postanowił szybko zmienić temat.

– Jeszcze nie skończyłam. Malowanie akwarełami niestety trochę trwa. Muszę czekać, aż wyschną poszczególne warstwy, żeby nałożyć nową, bo inaczej wszystko się rozmaże.

– Trzymam kciuki, żebyś wygrała.

– Dziękuję!

– Wiesz, tak naprawdę nie mówię tego tylko dlatego, że jestem miły. – Pochylił się delikatnie w jej stronę.

– Nie?

Na policzki Ali zakradł się zdradliwy rumieniec. Spojrzała na weterynarza spod rzęs. Poczułem, że przewraca mi się coś w żołądku. Oni wszyscy chyba za długo wachali farby. Praca w zamkniętym pomieszczeniu zdecydowanie źle na wszystkich wpłynęła. Nawet mojej ukochanej pomieszało się w głowie.

– Nie obraziłbym się, gdybyś przeprowadziła się tutaj na stałe.

– Ja... ja chyba też bym chciała.

W tym momencie do jadalni wszedł Eryk. Zmierzył ich długim spojrzeniem i powiedział:

– Już piętnasta. Jan zaraz otworzy bibliotekę.

## Rozdział 18. Lot nad kocim gniazdem

Był bardzo późny wieczór. Teoretycznie powinniśmy spać w najlepsze, ale moja ukochana miała chyba za dużo zmartwień. Dzisiaj była jedna z tych nocy, kiedy kręci się niespokojnie, a potem ląduje na kanapie. Robi sobie wtedy coś pysznego do jedzenia i czyta kryminał lub ogląda horror w telewizji. W międzyczasie przeważnie usypia, budzi się zdrętwiała o trzeciej nad ranem, żeby narzekając na starość, bolące plecy i niewygodną kanapę, którą kupiła z przeceny, przenieść się z powrotem do łóżka.

Nie byliśmy jednak w domu ani nie mieliśmy naszej kanapy, więc Ala postanowiła złamać kilka zasad. Na jej obronę trzeba przyznać, że na początku usiłowała nawet oglądać jakiś na telefonie, ale internet tak jej się rwał, że po godzinie prób wreszcie się poddała.

Założyła mi szelki, wzięła mnie na ręce, a następnie narzuciła na nas poncho z polaru. Znowu poczułem się jak tajny agent.

– Mam już dość siedzenia w sypialni – wyszeptała. – Idziemy razem do biblioteki. Usiądziemy w fotelu, ja znajdę jakąś ciekawą książkę i poprzytulamy się do siebie. Co ty na to?

W odpowiedzi zamruczałem. Byłem zachwycony. Przytulanie to zawsze dobry pomysł. Poza tym też miałem dość naszej sypialni. Wystawiłem głowę z rozcięcia jej dekoltu i podziwiałem drogę do biblioteki. Miło było przejść się do niej jak człowiek, znaczy kot. Skradanie się wentylacją powoli zaczynało mi się już nudzić.

Pod drzwiami czytelnicy widać było smugę światła. Ala zatrzymała się niepewna, co powinna zrobić.

– Może ktoś zapomniał zgasić? – mruknęła do siebie. – No nic, spróbujemy.

Wepchnęła moją głowę pod poncho. Zgrzyt zawiasów powiadomił mnie, że otworzyła drzwi. Serce mojej ukochanej przyspieszyło. Zły znak.

– Cześć. – Usłyszałem głos.

Poznałem go natychmiast. Niestety to był Paweł Grzegorzczak. Nie mieliśmy szczęścia. Znowu będzie gadać o nazistach.

– O, hej – odpowiedziała lekko, ale nie do końca udało jej się ukryć zawód.

– Nie wchodzisz? – zdziwił się.

– Ja... nie chcę ci przeszkadzać.

– Daj spokój. Ja też nie mogę spać. Wchodź śmiało. W sumie to nawet lepiej się czuję, bo samemu o tej godzinie to trochę strasznie tu być.

Moja piękna przez chwilę się wahała. Doskonale słyszałem, jak serce tłucze się jej w piersiach. Chyba głupio jej było się teraz wycofać.

– Okej, ale nie jestem sama – zaznaczyła.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi i odwróciła się do kolegi, poczułem się w obowiązku ujawnić. Wystawiłem głowę przez dekollet poncha i miauknąłem. Podejrzliwa mina Grzegorzycyka zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nigdy nie widziałem go takiego radosnego.

– Kotek! – zapiął z zachwytem. – Jaki śliczny!

Jego reakcja miała w sobie coś dziecięcego. Chyba lubił koty. Nawet bardzo.

Oby nie za bardzo.

– Tylko obiecaj, że nie powiesz nikomu – poprosiła Ala. – Nie wolno mi wypuszczać go z pokoju.

– Nikomu nie powiem – odparł z tak szczerym uśmiechem, że nawet ja mu uwierzyłem. A ja zwykle nikomu nie wierzę. Tak dla zasady.

Ala postawiła mnie na ziemi i podeszła do regałów. Nie zabrała ze sobą na wyjazd żadnej książki, bo nie chciała dźwigać zbędnego obciążenia. Już i tak wywiozła tutaj pół mieszkania.

Ciągnąc za sobą smycz przyczepioną do szelek, podreptałem, żeby wszystko dokładnie obejrzeć i powąchać. Wspaniale było zwiedzić wreszcie bibliotekę, której tyle razy przyglądałem się z ukrycia. Szkoda tylko, że wciąż unosił się tu zapach farb używanych niedawno przez artystów. Kowalski chyba próbował wywietrzyć pomieszczenie, ale chemikalia wżarły się w zasłony, tapicerki i książki. Dopiero za kilka dni będzie można tu normalnie oddychać.

– Gospodarz się chyba nie obrazi, jeśli coś pożyczę? – zapytała Pawła. – Nie będę stąd wynosić żadnej książki.

Uniósł do góry dzieło w skórzanej okładce.

– Co wieczór tu przychodzę poczytać. Jeszcze mi nikt nie zwrócił uwagi. Na wszelki wypadek jej stąd nie zabierałem i za każdym razem odkładałem z powrotem na półkę.

Grzegorz nie spuszczał ze mnie wzroku. Cały czas uśmiechał się jak wariat. Westchnąłem w duchu. W swoim długim kocim życiu poznałem już wystarczająco dużo ludzi, żeby wiedzieć, co oznacza taka mina i ten błysk w oczach.

No niech mu już będzie. Niech stracę.

Podszedłem powoli, żeby zrozumiał, że tak naprawdę wcale nie cieszę się na jego widok i wyświadczam mu przysługę, a następnie stuknąłem głową o nogawki jego spodni. Zostawiłem przy tym trochę srebrnych włosów na jego sztruksach, bo ostatnio nieco linieję. Będzie miał po mnie pamiętkę.

Zachwycony grafik oczywiście od razu wyciągnął łapę, żeby mnie pogłaskać. Łaskawie pozwoliłem mu dotknąć mojego drogiego futra.

Ale tylko na chwilę. Niech sobie nie myśli, że cieszy się jakimiś specjalnymi względami.

Wskoczyłem na jeden z foteli i zwinąłem się na nim w kłębek. Aż zamruczałem, tak mi się zrobiło dobrze. Wreszcie znajdowałem się na swoim miejscu, czyli w otoczeniu luksusu. Wysunąłem lekko pazurki. Było mi tak przyjemnie. Oficjalnie uwielbiam już te fotele, a ten, na którym się ułożyłem, od dzisiaj jest mój.

– Widziałaś, co się dzieje za oknem? – zagadnął.

Odwróciłem się w tamtą stronę. Za szybami panowała kompletna ciemność, było słychać tylko wyjący wiatr. Właśnie to przeszkadzało mi w położeniu rezydencji Śmietańskiego. Podoba mi się, że tereny dookoła należą do niego, bo to zdecydowanie oznaka prestiżu. Jednak przeszkadza mi, że w nocy jest tutaj aż tak ciemno. Przyzwyczaiałem się do delikatnego, brudnego światła miejskich latarni. Wzrok mam dużo lepszy od ludzi, ale niestety lata lecą. Jeszcze trochę, a wsparcie żarówek będzie mi niezbędne. Nawet już teraz światło, choćby bardzo słabe, dużo mi ułatwia.

Ala podeszła do okna. Miałem nadzieję, że powie głośno, co tam widać, bo nie chciało mi się ruszać z fotela.

– Śnieg! – wykrzyknęła zaskoczona.

O, śnieg? Coś wcześniej w tym roku. Przecież jest dopiero koniec października. Na Święto Zmarłych zwykle pada deszcz, a nie śnieg. Phi, a w telewizji wciąż straszą tym globalnym ociepleniem. A tak się cieszyłem, że wreszcie będzie ciągle ciepło i nie trzeba będzie się przytulać do kaloryfera, który czasem potrafi oparzyć. Powinienem się domyślić, że w telewizji kłamią.

– I to jaki śnieg – burknął Grzegorz. – Prawdziwa zadymka jak w filmach postapokaliptycznych. Tylko raczej nie jest radioaktywna.

– Było dzisiaj na minusie. Jeśli taka temperatura się utrzyma, śnieg się nie rozpuści – stwierdziła Ala. – Będzie jutro biało.

– Emil chyba dobrze zrobił.

– Myślisz?

Paweł przytaknął i odłożył książkę na stolik. Najwyraźniej odechciało mu się czytać. Rozmowa z Alą okazała się ciekawsza.

Moja ukochana podeszła do fotela, na którym leżałem. Podniosła mnie, umościła się wygodnie i ułożyła sobie mnie na kolanach. Było mi teraz mniej komfortowo, ale niech będzie. W sumie trochę wiało od nieszczelnych okien. Miło było się poprzytulać.

– Ciekawe, co go skłoniło do wyjazdu? – zapytała Ala. – Cały dzień był podenerwowany.

– Tak, też zauważyłem. Widziałas w ogóle jego szkic? Strasznie niechlujny. Ręka mu się okrutnie trzęsła. Mam wrażenie, że zupełnie się nie starał. Rysował na odwal.

Ja, szczerze mówiąc, nie zwróciłem na to uwagi. Skupiałem się na obserwacji Eryka, który bezczelnie gapił się, jak Ala maluje.

– Nie widziałam. Dziwne, że akurat on nie wytrzymał presji. Był zawsze taki profesjonalny. Przecież z nas wszystkich miał największe doświadczenie. Chyba powinien najlepiej radzić sobie ze stresem.

– Tak, też mnie to zastanawia. W każdym razie dobrze zrobił, że zabrał się z naszym modelem do miasta. Wtedy jeszcze nie padało i droga była przejezdna.

Ala zrobiła wielkie oczy. Dłoń, którą gładziła mnie po plecach, delikatnie zadrżała.

– A teraz będą nieprzejezdne?

– No jasne. Przecież jesteśmy na totalnym odludziu. Do samej bramy jest kilka kilometrów. Jeśli Jan nie odśnieży jakimś

traktorem tej szutrówki, to nawet do ogrodzenia się nie dostaniemy. Zresztą dalej nie jest dużo lepiej. Ta asfaltówka też prowadzi donikąd. Jest spora szansa, że jej odśnieżenie nie będzie priorytetem dla miasta. Kończy się przecież ślepo przy rezydencji.

W duchu zgadzałem się z grafikiem. Miał rację, zwłaszcza jeśli to, co mówił Robert, było prawdą i mieszkańcy miasta nie lubili Śmietańskiego, bo mieli go za wampira. Wtedy na pewno nie będą się spieszyć.

– Czyli będziemy odcięci? – jęknęła.

– Kompletnie.

– To trochę przerażająca perspektywa.

– Przerażająca? Czemu? Mnie ta perspektywa jedynie irytuje. Nie lubię, kiedy nie mam możliwości wyboru. – Zmarszczył brwi, które połączyły się w jedną czarną linię.

– Wiem, że nie ma się czego bać, ale koszmarnie się czuję z tą myślą – tłumaczyła się Ala. – Właściwie nie ma tutaj zasięgu telefonicznego i internetu. Wczoraj cały dzień próbowałam się połączyć, żeby sprawdzić pocztę. Nie udało mi się. Aż strach co byśmy zrobili, gdyby stało się coś złego! Lepiej, żeby droga jak najszybciej była ponownie przejezdna.

Paweł spojrzał na nią zagadkowo. Jego wzrok był trochę przestraszony, a trochę zadowolony. Nie potrafiłem tego prawidłowo zinterpretować. Nienormalny ten facet. Może nie powinniśmy z nim siedzieć w bibliotece? Jeszcze to szaleństwo przejdzie na nas. Strasznie się poczułem nieswojo.

– A co miałoby się stać? – zapytał.

– Śmietański dostanie zawału? Ktoś się czymś zrani? Nie wiem... Tak po prostu mi przyszło do głowy. Claudia trochę kuleje. Musiała sobie coś nadwyreżyć. Chociaż w jej przypadku bardziej prawdopodobne jest, że spadła po pijaku z jakiegoś schodka.

Prychnąłem. Wcale nie po pijaku. Ta zdrajczyni nie zabrała ze sobą papugi, tylko narkotyki, które przemyciła w klatce. Skandal. Powinna zostać zdyskwalifikowana za kłamstwo.

Grzegorz kiwał głową do własnych myśli.

– Ciekawe, dlaczego Emil uciekł – mruknął.

– Nawet Śmietański był tym zaskoczony, a to znaczy, że nie poszło mu tak źle w konkursie. Musiał być inny powód.



– No wyskoczył z tym tekstem jak Filip z konopi.

Zgadzałem się z nimi w duchu. Cała ta sytuacja była dość dziwna. Wszyscy sobie w spokoju malują, to znaczy w stresie, bo czas im się kończy. Nagle drzwi się otwierają, wjeżdża pan Stefan, uśmiecha się złośliwie (jak to on) i obwieszcza, że termin minął. Tylko weterynarz się ucieszył. Reszta wyglądała, jakby się miała popłakać. I w tym momencie Emil wstaje od swojej sztalugi i mówi:

– Uwaga, chciałbym coś ogłosić! Jest mi bardzo przykro, ale rezygnuję z udziału w konkursie. Jeśli pan Robert pozwoli, to zabiorę się z nim jego furgonetką i pojadę już dzisiaj do miasta. Trzymam gorąco kciuki za resztę uczestników, a panu Śmietańskiemu życzę znalezienia najlepszego dziedzica. Bardzo dziękuję za możliwość sprawdzenia swoich sił.

Nie wiem, kto był bardziej zdumiony – pan Stefan, prowadzący jego wózek inwalidzki Kowalski, weterynarz czy reszta uczestników. Jedynie Eryk był oazą spokoju. Najwyraźniej spodziewał się takiego ruchu po ich rozmowie przy otwartym oknie.

Moim zdaniem, bardzo dobrze, że wyjechał. Jednego konkurenta mniej.

Laurentowicz tak się spieszył z ucieczką, że nawet nie zjadł kolacji. Robert był na nią zaproszony i miał zamiar zostać, ale Emil przekonał go, żeby szybciej wyjechali. Bardzo, ale to bardzo było mu pilne. Zupełnie jakby przewidział, że wkrótce będzie to niemożliwe z powodu zmiany pogody.

Mam nadzieję, że wytłumaczył się jakoś po drodze weterynarzowi. On jest tak wygadany, że na pewno wszystko powtórzy Ali, gdy się spotkają. Przecież to niemożliwe, żeby Emil tak spanikował tylko dlatego, że Zuzanna wyjechała. To nie miało sensu.

Nagle światło w żyrandolach zamigotało. Zgasło na chwilę, ale zaraz znowu rozbłysło. Przestraszyliśmy się. Nawet ja.

Wiatr zawył za oknem i rzucił w stronę szyby garść śniegu. Ala drgnęła niespokojnie.

– W taką pogodę można pomyśleć, że ten dom jest nawiedzony – powiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

– Byłoby dobrze, gdyby był tylko nawiedzony – odparł całkiem złowieszczo Grzegorz.

## Rozdział 19. Ostatnia kocia wieczerza

– Podoba mi się ten brak dosłowności – powiedział Śmietański, wpatrując się z uwagą w akwarelę namalowaną przez Alę. – To rozmycie, plama czerwieni na twarzy przechodząca płynnie na tło. Bardzo pasuje do naszego zawstydzonego weterynarza, a jednocześnie nie ma w sobie nic ze wstydu. Ja tu widzę pasję, może trochę agresji. Ukryte, wewnętrzne zło. Niezwykle ciekawe. Naprawdę dostrzegła pani to wszystko w naszym poczciwym Robercie?

– Ja... – zaczęła, ale nie dał jej dojść do słowa.

– Tak, ma pani rację. Sama jego postawa, zwłaszcza ta pozycja, którą przyjął, sugeruje, że zaraz zaatakuje, rzuci się do walki. Bardzo, bardzo mi się podoba. Chociaż widzę też element humorystyczny, który pani tutaj umieściła. Cień czerwieni pojawia się także w kroku weterynarza. Usiłowała pani namalować slipki?

– Ja...

– Ach, już rozumiem. Jak mogłem pomyśleć, że chciała pani namalować coś tak prostackiego jak te jego, pożał się Boże, majtki dla małego chłopca. To kolejna oznaka męskiej dominacji nad kobietą, prawda? Agresja kryjąca się w kroczu...

Ja jak zwykle siedziałem w kanale wentylacyjnym. Prawdę mówiąc, czułem się jak na tureckim kazaniu. Niezmiernie podziwiam ludzi za to, że zamiast powiedzieć, że coś jest ładne albo brzydkie, potrafią godzinami krążyć dookoła tematu. W akcie Ali nie było nawet grama agresji. Z kolei czerwona plama w kroku miała przedstawiać majtki. Powiedziała to Robertowi, kiedy oglądał jej obraz przed wyjazdem. Dodała jeszcze, że jej się podobają. Oj Alu, Alu... serce mi krwawi przez twój brak gustu.

Nie wiem, skąd Śmietańskiemu przyszło do głowy, że w jej akwareli jest tyle agresji. Chyba tylko dlatego, że użyła czerwonej farby. Moja ukochana pomyślała tak samo, bo zrobiła głupią minę i kiwała potulnie głową do wynurzeń pana Stefana.

W sumie miała rację. A niech on sobie widzi, na co ma ochotę, bylebyśmy tylko wygrali.

Dzisiaj było wyjątkowo nudno. Gospodarzowi podobały się wszystkie obrazy, a także gliniana rzeźba Eryka. Nikogo nie skrytykował. Nawet Grzegorzycyka, który po poprzednim ostrzeżeniu zamiast stworzyć obraz na komputerze, wykonał szkic ołówkiem. Nad każdym artystą wręcz się rozczułał. Podejrzane. Zupełnie to do niego nie pasowało. Gdzieś musiał tkwić haczyk. Jeszcze tylko nie miałem zielonego pojęcia gdzie.

– Czy mógłbym zatrzymać pracę? – zapytał Alę na sam koniec.

– Oczywiście.

Odetchnąłem. Moja ukochana, jak zawsze, była ostatnia w kolejce. Bałem się, że wcześniejsze prace bardziej mu przypadły do gustu, ale poprosił ją, żeby nie zabierała akwareli. Dobra nasza.

– Doskonale. A zanim pani pójdzie, pani Alu.

– Tak?

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, jak się pani tutaj podoba?

Uśmiechnął się znowu, ale tym razem był to tylko pusty grymas. Nie było w nim ani odrobiny prawdy. W jednej chwili Śmietański przeistoczył się ze zwariowanego staruszka w dwulicowego trolla. Miałem nadzieję, że moja ukochana też to dostrzeże.

– Chodzi panu o rezydencję? Bardzo mi się tutaj podoba. Ma pan wspaniałą kolekcję. Codziennie podziwiam obrazy w korytarzach, a i tak mam wrażenie, że nie widziałam jeszcze nawet połowy. To musi być niesamowite cały czas obcować ze sztuką. Co do położenia rezydencji...

Machnął niecierpliwie ręką. Nie o to mu chodziło.

– Tak, tak – skwitował. – Obrazy obrazami, dom domem. A co pani myśli o samym konkursie?

Tu już Ala dłużej się zastanawiała.

– To ciekawy pomysł na wyłonienie następcy, chociaż nie wydaje mi się najbardziej trafny.

Widząc, że gospodarz marszczy brwi, natychmiast zaczęła tłumaczyć:

– Żeby mnie pan dobrze zrozumiał... Chodzi mi o to, że malowanie jest niezwykle ważne, ale talent czasami nie idzie w parze z ogólnie pojętą zaradnością.

– Interesujące. Co pani przez to rozumie?

– Będę szczerą...

O nie, Alu... nie bądź szczerą! Zawsze jak tak zaczynasz rozmowę, to potem mówisz coś, czego żałujesz. Mogę się założyć, że zaraz umniejszysz swoją wartość i podkopiesz nasze szanse.

– Wydaje mi się, że potrzebuje pan kogoś obrotnego, kto zadba o pana interesy. Będzie kontynuował dzieło życia. A to, czy ktoś z nas dobrze maluje, niestety nijak się ma do posiadania żyłki do interesów. Ja chyba nie jestem taką osobą. Gdybym była, nie prowadziłabym życia od pierwszego do pierwszego.

Nie rozumiem, jak można celowo sobie szkodzić. Ta moja Ala jest zbyt prostolinijna i zdecydowanie zbyt miła. Zawsze, ale to zawsze źle na tym wychodzi.

– Hm... dziękuję pani za szczerą.

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie odbije mi się to czkawką, ale po co mam owijać w bawełnę. Musi pan podjąć świadomą decyzję.

– Tak, odbije się to pani czkawką – zgodził się. – Kiedy się rozmawia z kimś, od kogo zależy przyszłość, to się kłamie jak z nut. Mówi się to, co ten ktoś chce usłyszeć, a nie to, co powinien.

– To pana zdanie.

Westchnął ciężko.

– Ratuje panią jedynie to, że umie mi się pani jako tako postawić i że wygląda pani jak Niemka. Dobrze, dziękuję. Niech już pani idzie. Zmęczyła mnie pani. – Ostentacyjnie pochylił głowę i zaczął masować sobie skronie.

A nie mówiłem, że szczerą nie popłaca?

Ala potulnie wyszła. Śmietański siedział nieruchomo na swoim wózku inwalidzkim i wpatrywał się w brystol z aktem weterynarza. Nerwowo stukał sękatymi palcami o podłokietnik. Wymamrotał do siebie coś pod nosem, lecz nie usłyszałem co dokładnie. Był ewidentnie zły, ale to chyba nie dyskusja z moją ukochaną tak go zirytowała. Już wcześniej wydawał się lekko nabuzowany. Pewnie dobrowolna rezygnacja Emila go wytrąciła z równowagi.

Do środka wszedł Kowalski. Stał naprzeciwko swojego pracodawcy, który oznajmił:

– Powiedz im, że jutro przed kolacją zapraszam ich do biblioteki.

– Wreszcie koniec tej farsy? – W głosie Jana było słychać ulgę. Za to w jego oczach... Nie spodobało mi się to spojrzenie.

– Tak. Coś jest tutaj zdecydowanie nie tak. Może podczas konfrontacji prawda wyjdzie na jaw.

– A jeśli nie?

– Jeśli nie, to pozbedziemy się ich wszystkich.

– I bardzo dobrze.

Cofam. To nie jego oczy były straszne. Dużo gorszy był jego uśmiech.

## Rozdział 20. Kotu bije dzwon

Ala zamknęła się ze mną w sypialni. Chyba nie chciała z nikim gadać po tym, jak zaprzepaściła nasze szanse na spadek. Na szczęście miała tego całkowitą świadomość. Nawet nie musiałem na nią patrzeć z potępieniem. Popłakała się i przeprosiła mnie, że przez jej długi język nie odziedziczymy fortuny. Kocham ją, więc od razu jej wybaczyłem. Niemniej nadal było mi przykro, bo już mi się tu spodobało. Powrót do naszego małego mieszkania nie będzie komfortowy.

Eryk próbował ją namówić na spacer dookoła budynku w padającym śniegu, ale się nie zgodziła. Dziwak jakiś. Śnieg jest mokry i zimny. Niby jakim cudem ten spacer miałby być przyjemny? Jeszcze miał czelność być zawiedziony, że mu odmówiła.

Podejrzany ten Eryk. Zdecydowanie.

Ala była przekonana, że jutro usłyszy od Śmietańskiego, że ma wyjechać. Ja niestety miałem podobne przypuszczenia. No nie popisała się.

– Mówię ci, Lordzie, on nam powie, kto wygrał. Już mu się znudziło patrzeć, jak malujemy. Myślałam, że zostaniemy tu jeszcze z tydzień albo dwa, ale chyba ma nas wszystkich dość. W sumie to mu się nawet nie dziwię. Kto by chciał, żeby tyle obcych osób pałętało mu się po domu? Na pewno mu przeszkadzamy.

Moja kochana, spokojnie. Wszystko się ułoży. Postaram się coś wymyślić. Może jakoś to naprawię? Pan Stefan wydaje się bardzo surowy, apodyktyczny, momentami psychopatyczny (jak każdy kot, swoją drogą), ale istnieje szansa, że gdzieś na dnie kamiennego serca skrywa trochę ciepła. Może jednak przemyśli to na spokojnie przez najbliższą dobę i powie jutro, że chciałby mieć dziedziczkę, która będzie dla niego miła i na dodatek wygląda jak typowa Niemka? To człowiek z epickimi wręcz wąsami. Na pewno nie jest zły.

Za przeproszeniem, ale pozostali uczestnicy jakoś mi nie wyglądają na takich, co będą starszemu człowiekowi poprawiać kocyk na nogach. Poza tym, Alu kochana, masz jeszcze mnie. Pokażcie mi emeryta, który nie chciałby mieć darmowej poduszki elektrycznej? Która mieści się w miłym, futrzastym pokrowcu?

I umie mrużyć, chciałbym podkreślić.

– Trochę się cieszę, że wrócimy do domu – wyznała. – Chociaż szkoda, że mieszkamy tak daleko stąd...

Ja też będę tęsknił za tą rezydencją, moja ukochana.

– Już pewnie nigdy tu nie przyjedziemy, a on tu zostanie...

Masz rację, za Janem też będę trochę tęsknił.

– I już nigdy nie zobaczę Roberta...

Za nim to akurat nie będę tęsknił.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ala uniosła głowę z poduszki. Kto mógłby do nas pukać po kolacji? Eryk znowu coś wymyślił?

– Ala? Jesteś tam?

– Paweł? – mruknęła do siebie.

Patrzyłem, jak wstaje z łóżka i idzie mu otworzyć. Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł. Nie powinniśmy się z nim kolegować.

Grafik był jeszcze bardziej roztrzęsiony niż zwykle. Nie wiem, czy on pije kawę, ale jeśli tak, to zdecydowanie powinien przestać i przerzucić się na melisę. Przecież był kłębkim nerwów.

– Co się stało? – zapytała Ala.

– Przyszedłem cię ostrzec. Mogę wejść?

Niechętnie się zgodziła. Zamknął za sobą drzwi i chwilę nasłuchiwał. Nie wiem, czego się spodziewał. Tego, że ktoś zamierza zacząć się po drugiej stronie?

– Nie będę owijał w bawełnę. Jesteśmy odcięci od świata – oświadczył grobowym tonem.

– Przez śnieg?

– Tak. Rozmawiałem właśnie z Janem. Złapałem go, jak wracał z podwórza. Powiedział, że był pod bramą. Miasto jeszcze nie odśnieżyło drogi, jest kompletnie nieprzejezdna. Podobno nie ma co nawet do nich dzwonić, bo pług zawsze dojeżdża tutaj na sam koniec.

– Aha, najgorzej to nie jest. Pewnie jutro już odśnieżą. – Usiłowała go pocieszyć.

– Też tak stwierdziłem, ale Jan zaprzeczył. Cały czas pada i jest na minusie. Możemy być ze dwa dni odcięci. Kowalski powiedział, że przejechał takim traktorem z odśnieżarką dwa razy od rezydencji do bramy, ale gdy wracał, to powoli z powrotem zasypywało szutrówkę. Jeśli nie przestanie padać, to on sam będzie miał problem.

Ala ciałniej owinęła się swetrem, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

– Trudno, jeśli drogi będą nieprzejezdne, to będziemy musieli zostać tutaj dłużej. Pan Stefan chyba zrozumie. Na pewno nie będzie zachwycony, skoro chce już zakończyć konkurs, ale przecież to nie nasza wina, że tak popsuła się pogoda.

– Boję się, Alu.

– Czego? Że tu utkniemy? Widziałam spiżarnię Nowaka. Z głodu nie umrzemy. Gorzej, jeśli prąd znowu wyładzie.

Kanciasta grdyka Grzegorzycyka podskoczyła gorączkowo, gdy przełknął ślinę. Przyglądałem się z fascynacją jego szyi. Wyglądał, jakby połknął mysz, która usiłowała się cały czas wydostać.

– Boję się, że stanie nam się coś złego – wyznał. – Śmietański jest złym człowiekiem.

Moja ukochana aż się zachnęła.

– Nie demonizuj go tak. Przecież to zwykły człowiek, na dodatek... niepełnosprawny... – zająknęła się przy ostatnim słowie. Paweł od razu to zauważył.

– Czemu nie jesteś pewna, że jest niepełnosprawny?

Zmieszała się. Nie miała ochoty plotkować.

– Nie, po prostu...

– No powiedz – naciskał.

Ala przygryzła wargę, walcząc ze sobą. W końcu westchnęła głęboko. Chyba doszła do wniosku, że nie pozbędzie się Pawła, jeśli nie odpowie na jego pytanie.

– Chodzi o to, że gdy rozmawiałam z Robertem, był zdziwiony, że Śmietański jeździ na wózku. On tu często zajmuje się koniem i według niego nasz gospodarz normalnie chodzi, a nawet jeździ na Siwku.

– Co?



Grzegorzycy zrobił wielkie oczy. Jego grdyka znowu upodobniła się do małego zwierzątka. Podrapał się po czole i zaczął kiwać głową do własnych myśli.

– W sumie coś w tym jest. Zwróciłaś uwagę, że ani razu nie pokazał się Robertowi? Gdy weterynarz przyjechał, to pan Stefan zamknął się w swojej sypialni i tyle go widzieliśmy. – Paweł gorączkowo wyrzucał z siebie słowa. – A powinien się z nim przywitać, powinien mu pokazać, gdzie ma usiąść, jak pozować. Robert nie ma żadnego doświadczenia. Kompletnie nie wiedział, co robić.

– To prawda. Nawet nie wiedział, że do pozowania w akcie należy się rozebrać do golasa – zachichotała.

– No właśnie. Wysłał Kowalskiego, który przecież sam na każdym kroku nam przypomina, że jest tylko dozorcą. To dozorca ma ustawić profesjonalnie modela do malowania? Może w takim razie Jan wcale nie jest tylko dozorcą?

– A może Śmietańskiemu było wszystko jedno, czy Jan ustawi go profesjonalnie? Zależy mu tylko na ocenie naszej techniki. W kółko to powtarza.

– Może i tak. Jednak to zdumiewające, że się z nim nie przywitał. A skoro się nie przywitał, to pewnie dlatego, że nie chciał mu się pokazać na wózku. Wiedział, że w ten sposób by się zdradził, a gadatliwy Robert coś by nam potem powiedział.

Ala uśmiechnęła się lekko. Ta łamigłówka chyba ją zainteresowała. Swego czasu zaczytywała się w kryminałach. Zawsze obstawiała na samym początku, kto jest mordercą, i nigdy nie mogła się doczekać, aż skończy czytać, żeby się przekonać, czy miała rację.

Zwykle nie miała. Nie oszukujmy się, detektywem to ona nie zostanie.

– Tylko po co miałyby udawać niepełnosprawnego? – zapytała. – Trochę to bez sensu.

– W żadnym razie. Chce wyglądać na bezbronnego, bardziej niedołęznego niż jest w rzeczywistości. Chce, żebyśmy myśleli, że nie jest żadnym zagrożeniem, że można go łatwo przechytrzyć. Tak samo jest dla mnie podejrzane, że pracuje tutaj tylko dwóch ludzi.

Mam wrażenie, że dał wychodne innym pracownikom na czas naszego konkursu.

– A to dlaczego? Dom nie wygląda na bardzo zadbane, wszędzie leży kurz. Chyba nie ma zatrudnionych na stałe pokojówek. Moim zdaniem to całkiem prawdopodobne, że poza Śmietańskim jest tutaj tylko Jan i... Jan. – Zawiesiła głos.

– Dwóch Janów, to też podejrzane.

– Tu się akurat zgodzę, na dodatek jeden Kowalski, a drugi Nowak. Już nawet ja bym im wymyśliła lepsze pseudonimy.

– I obaj mają jakieś takie szpetne twarze, jakby w przeszłości dużo się bili. Zdecydowanie z wyglądu bliżej im do ochroniarzy niż do dozorca i niemego kucharza. Chociaż z tymi nazwiskami to mi się wydaje, że oni celowo się nie wysilali.

– Tak?

– I oni, i my wiemy, że normalny służący się tak nie zachowuje – perorował. – Nawet jakby zadbali o lepszy kamuflaż, to i tak by było wiadomo, że coś kręcą. Dzięki temu mam wrażenie, że nas bardziej szanują. Przynajmniej nie obrażają naszej inteligencji.

– Eee... czy ja wiem?

Też nie byłem do tego przekonany. Nie wiem, jak Nowak, ale Kowalski wyglądał, jakby wszyscy artyści go irytowali. Patrzył na nich jak na szkodniki, które nagle mu się wylęły w domu.

Tylko mnie lubił.

Ale nie ma się tu akurat czemu dziwić. Przecież ja to ja. Każdy mnie lubi. No, poza Witkiem, ale umówmy się, że z nim to od samego początku coś było nie tak.

– Pomyśl, czy Śmietański w zasadzie nie potrzebowałby pielęgniarki? Jakoś mi się nie wydaje, że któryś z Janów codziennie pomaga mu wziąć prysznic. Plus to, że w tym domu nie ma żadnych udogodnień dla osób na wózku.

– Jest winda obok schodów – zaprzeczyła.

– Jechałaś nią?

– Nie.

– Ja jechałem. Z ciekawości. To wąska, stara, metalowa klatka. Brakuje tylko specjalnego portiera, który stałby w środku ubrany w liberię, uchylałby czapkę, mówił „dzień dobry” i wciskał guziki po uprzednim zapytaniu, na które piętro się jedzie.

Nie do końca wiedziałem, o co mu chodzi. Chyba że nie lubił wind tak jak ja. Wtedy świetnie go rozumiałem.

– Wózek inwalidzki ledwie mieści się do środka – dodał.

– Wiesz, to jest stary dworek. Pewnie można zamontować nową windę, ale wtedy już nie byłoby takiego efektu. Poza tym może ona jest zabytkowa? Raczej jest coś takiego jak zabytkowe windy. – Ala grała adwokata diabła.

– Pewnie tak, ale zwróciłaś uwagę, co się dzieje, jak Śmietański do niej wjeżdża?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie sięga do guzików. Jeśli wjedzie przodem, to ledwo dosięgnie, ale wtedy nie zamknie za sobą drzwi. Jeśli wjedzie tyłem, to nie wciśnie guzika. Ktoś musi mu pomagać.

– No dobra, winda nie jest przewidziana dla osób z niepełnosprawnością, no i? To jeszcze nie dowodzi, że nas okłamuje.

– Według mnie, tak. Śmietański nie jest osobą, która lubi być zależna od innych. Jego wózek ma przecież silniczek i dżojstik do kierowania. Przez większość czasu jeździ sam. Jan go wprowadza na posiłki tylko dla większego efektu, żeby pokazać nam, jak wysoką pozycję zajmuje Śmietański. Poza tym reszta domu też w ogóle nie jest przystosowana dla osoby z niepełnosprawnością.

– A to niby skąd wiesz?

– Bo poszedłem do jego skrzydła.

Ala była zaskoczona.

– Odważyłeś się?

– Nikt nam nie mówił, że nie wolno. Dlaczego nie mógłbym pójść tam na spacer? – Wzruszył ramionami. – W jego skrzydle także są takie progi na podłodze przy wszystkich drzwiach. Zajrzałem też do dwóch łazienek, które się tam znajdują. W obu stoją wanny na metalowych nóżkach. Jak u nas. Śmietański nie wygląda, jakby unikał prysznic, ale jeżeli faktycznie nie mógłby chodzić, to przecież sam nie dałby rady wejść do wanny. Tam nie ma żadnych poręczy, schodków, stołeczka w wannie, na którym mógłby usiąść. To jest bardzo podejrzane. On na pewno udaje.

– No tak.

– Mówię ci, to jest naprawdę bardzo podejrzane! – wykrzyknął, a następnie znowu zaczął wymieniać te rzeczy, które mu nie pasowały.

Moja ukochana była już trochę zmęczona tą rozmową. Przeciągnęła dłonią po skołtunionych włosach. Jej niesforne loki, zamiast się uklepać, stanęły dęba. Wyglądała uroczo. Rozczuliłem się. Chciałbym się do niej przytulić i pójść spać.

Ech, podniecenie Grzegorzycyka było wyczerpujące. Miło, że miał jakieś hobby i lubił teorie spiskowe, ale niekoniecznie musiał nam o nich opowiadać późnym wieczorem. I to dwa razy z rzędu. Na pierwszy rzut oka było widać, że Ala nie jest specjalnie zainteresowana rozmową, ale jemu to mimo wszystko w ogóle nie przeszkadzało. On po prostu musiał się komuś wygadać.

– Dobrze, że ten konkurs się kończy – przerwała mu Ala. – To fajna przygoda, ale chcę już wrócić do domu. Mam nadzieję, że śnieg przestanie padać.

– A ja chcę dowiedzieć się, o co tutaj chodzi. Nie zamierzam stąd wyjechać, dopóki się nie dowiem, jakie tajemnice skrywa Śmietański.

– To powodzenia.

– Nie wierzysz, że mi się uda?

– Nie sądzę, żeby to miało jakikolwiek sens.

– Alu, ale przecież tutaj się dzieje coś bardzo złego. Nie dziwi cię, że wszyscy zawsze wyjeżdżają bez słowa pożegnania?

– Emil się pożegnał.

– Emil uciekł – sprecyzował. – On jako jedyny oznajmił, że wyjeżdża. Ani Konrad, ani Zuzanna nic nie powiedzieli.

– Paweł, nie byliśmy przyjaciółmi. Nie musieli nam się spowiadać.

Grzegorzycy podszedł do drzwi, otworzył je i wysunął się na korytarz. Ala już odetchnęła, że się go pozbędzie.

– Dowiem się, o co tu chodzi – oświadczył obrażony. – Zacznę od sprawdzenia kuchni. Słyszałem tam jakieś dziwne dźwięki. W ścianie.

– Z Bogiem – mruknęła, ale on tego nie usłyszał, bo pognął w stronę schodów.

Ala przekreśliła klucz w drzwiach. Zgasiła światło i wsunęła się pod kołdrę. Pogładziła moje futerko.

– On tak lubi gadać, żeby gadać, co nie, kocie?

Miauknąłem na potwierdzenie.

– Nie to, co ja – zachichotała. – Ja mówię do ciebie same ważne rzeczy. Dobranoc, koteczku.

Cmoknęła mnie w czubek głowy. Po chwili jej oddech się uspokoił. Najwyraźniej niestworzone teorie Pawła podziałały na nią jak tabletki nasenna.

Leżałem przez chwilę nieruchomo i wpatrywałem się w ciemność. Powinienem pójść spać. Byłem przecież senny.

A jednak nie mogłem usnąć. Grafik zamierzał szukać tajnego pokoju albo tajnego przejścia. Byłem o tym przekonany. Jeśli uda mu się znaleźć przejście, to może ja będę mógł za jego pomocą dostać się do zamkniętej kuchni.

Zależało mi na tym bardzo, bo na środku stołu jeszcze godzinę temu leżała wielka wędzona szynka.

## Rozdział 21. Nie chwał dnia przed kocim pasztetem

Zacząłem się w kanale wentylacyjnym. Obserwowałem przez kratkę Grzegorzycy, który miotał się w szale po kuchni. Szarpał za garnki powieszony na hakach, otwierał szuflady, czołgał się po kamiennej podłodze. W ogóle nie robiła na nim wrażenia apetyczna szynka, której aromat sprawiał, że dostawałem ślinotoku. Paweł zamiast zjeść coś pysznego, dzięki czemu przestałby wyglądać jak zabiedzony strach na wróble, zachowywał się, jakby miał wściekliznę.

Dziwak.

Podszedł do lodówki i otworzył ją kilka razy, uważnie przyglądając się plastikowej rączce. Zaczął mamrotać pod nosem. Chyba przeklinał. Trzasnął drzwiami zamrażarki, a następnie poodsuwał od stołu krzesła. Na szynkę nawet nie spojrzał.

Następnie podbiegł do zlewu i odkręcił wodę. Żadne tajne przejście się nie otworzyło, jedynie odpływ zbulgotał podejrzenie, jakby był odrobinę przytkany.

Paweł zatrzymał się przy wysokim, drewnianym regale, na którym stały przykurzone słoiki, butelki i pudełka. Złapał za jedną z półek i szarpnął. Z regału posypał się kurz i mąka, ale ciężki mebel się nie poruszył. Zaczął macać przetwory, sprawdzając, czy można je przesunąć. Niechcący o mało nie zrzucił na ziemię słoika z konfiturą wiśniową. Odetchnął głęboko i odstawił ostrożnie na regał.

Chyba powoli tracił nadzieję, bo kolejne słoiki przestawiał ze znacznie mniejszym zaciętrzewieniem niż te, których dotykał na początku. Już miał zrezygnować, kiedy jedna z butelek odmówiła ruchu. Uniósł głowę i wbił spojrzenie w pozbawioną nalepki butelę z jakimś brązowym, mętym płynem w środku. Objął ją dłońmi i szarpnął.

Ani drgnęła. Za to na twarzy grafika pojawił się uśmiech. Dość przerażający.

– Mam cię – warknął.

Spróbował różnych pociągnięć, słabszych i mocniejszych. Usiłował ją przesunąć, popchnąć i pociągnąć, butelka jednak uparcie tkwiła na swoim miejscu. W ogóle go to nie zniechęcało. Wyjął smartfon i włączył w nim latarkę. Oświetlił podstawę butelki. Usłyszałem, że znowu coś mamrocze.

– Już wiem! – wykrzyknął.

Spłoszony własnym głosem skulił się w sobie i odwrócił szybko do drzwi. Na moment zamarł. Jednak obaj Janowie spali o tej godzinie chyba bardzo głęboko. Uspokojony schował telefon do kieszeni sztruksów i objął dwoma rękoma butelkę.

– Zobaczymy, co ukrywasz, ty stary nazisto.

Szarpnął butlę do góry, kręcąc nią dookoła jej własnej osi. Z zaciekawieniem przyglądałem się, jak uniosła się na takim jakby składanym wysięgniku. Skojarzyło mi się to z korkiem wyciąganym z butelki wina. Ku naszemu wspólnemu rozczarowaniu nic się nie stało, więc pociągnął butlę do siebie. Teraz odchyliła się jak dźwignia. Kurz na regale zadrgał, gdy ten poruszył się razem z fragmentem ściany. Grzegorzycyk z zachwytem na twarzy jeszcze raz pociągnął za butlę. Całość obróciła się bez jednego zgrzytu. Ktoś musiał używać tego przejścia równie często jak tajnej klatki schodowej.

Poczułem, jak obwiewa mnie przeciąg. Przyznaję, iż byłem zaskoczony. Nie sądziłem, że uda mu się znaleźć przejście. Poczułem też wstyd. Chyba jednak nie byłbym dobrym tajnym agentem, bo nie przyszło mi do głowy, że drewniana ściana ukrytego przejścia to tak naprawdę plecy kuchennego regału.

Paweł wszedł do środka. Omiótł podłogę korytarza światłem telefonu. Zamruczał coś do siebie z zadowoleniem. Wysunąłem głowę z kanału wentylacyjnego i spojrzałem na niego. Dawno nie był taki radosny. Postanowiłem trzymać się w cieniu. Jeśli by mnie zobaczył, to przecież od razu by mnie poznał. Był trochę nieobliczalny. Wolałbym, żeby nie zaczął nagle oskarżać Ali, że wiedziała o tajnych przejściach, skoro ja nimi notorycznie wędruję

Niespodziewanie grafik cofnął się, złapał za regał i wciągnął go na miejsce.

NIEEE!

– To idziemy zwiedzać! – mruknął do siebie i przeszedł obok mnie. Kierował się w stronę oświetlonej klatki schodowej. Był taki zachwycony własnym geniuszem, że nawet nie zauważył niskich wlotów do wentylacji, które odchodziły co jakiś czas od głównego tunelu, a następnie prowadziły do wszystkich pokoi.

Szczerze żałowałem, że nie umiem zabijać spojrzeniem. Jak on mógł zamknąć przejście do kuchni? Teraz nie mogę się poczęstować. Nienawidzę go. Na świętą Bastet, nienawidzę tego człowieka. W ogóle nie myśli o innych, zwłaszcza o potrzebujących kotach.

Postanowiłem, że pójdę za nim. Może uda mi się go zepchnąć ze schodów. Należałoby mu się za odcięcie drogi do jedzenia.

Zresztą i tak powinienem poszukać tego pokoju, który Claudia i Sebastian nazywali muzeum. Do tej pory kradłem zwykle nakrętki od butelek, ale może znajdę tam coś, co warto byłoby zakosić dla mojej Ali.

Trzymałem się w cieniu. Oczywiście Grzegorz nie wiedział, że go śledzę, bo w przeciwieństwie do niego umiem poruszać się zupełnie bezgłośnie. On przy każdym kroku szurał, poza tym co jakiś czas pokasywał.

Chyba przeszkadzał mu unoszący się w powietrzu kurz. Złapał go w którymś momencie taki atak kaszlu, że aż zgiął się wpół. Jakoś nie potrafiłem mu współczuć. Nie po tym, jak zamknął przejście.

Dotarł do klatki schodowej. Z tego miejsca korytarz rozchodził się w kilku kierunkach. Mógł zwiedzić drugie skrzydło, gdzie znajdowała się między innymi biblioteka. Mógł też przejść na tył rezydencji, gdzie jeszcze nie byłem, ale warstwa kurzu na podłodze sugerowała, że nikt raczej tam nie chodził. Poza tym miał jeszcze do wyboru wspiąć się po schodach lub sprawdzić, co jest pod poziomem ziemi. Ja jeszcze nie zwiedziłem dołu i szczerze mówiąc, nie zamierzałem. Nie jestem kotem piwnicowym.

Chociaż tak sobie teraz myślę, to pewnie tam Śmietański trzyma wszystkie swoje skarby.

Grafik musiał pomyśleć podobnie, bo ruszył na dół. Pobiegłem za nim.

Wzdrygnąłem się. Mimo że pokonaliśmy ledwie jedno piętro, to zrobiło się dużo zimniej. W rezydencji i tak było całkiem chłodno. Gospodarz prawdopodobnie oszczędzał na ogrzewaniu, jeśli chcecie



znać moje zdanie. Tutaj jednak dopiero można było solidnie przemarznąć.

W piwnicy znajdowały tylko dwa korytarze. Jeden był dość krótki, zamontowano w nim ciąg drzwi. Drugi natomiast niknął gdzieś w ciemnościach. To właśnie stamtąd ciągnęło przy ziemi lodowate powietrze.

Ukryłem się pod ostatnim schodkiem. Paweł przeszedł się po korytarzu z drzwiami. Szarpał za klamki i zaglądał do środka pomieszczeń. Nie wiem, co zobaczył, bo nie odważyłem się iść za nim. Niemniej chyba było to coś wartego uwagi, bo aż się zaczął trząść z ekscytacji.

– Wiedziałem, wiedziałem! Ja to wszystko wiedziałem! – szeptał gorączkowo, ale oczywiście nie powiedział głośno, co też takiego wiedział.

Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie przyłapie gdzieś Claudii i Sebastiana na przymierzaniu korony, ale najwyraźniej jeszcze nie zaczęli się dzisiaj obmacywać albo już sobie poszli.

Kiedy Grzegorzycyk zaspokoił już swoją ciekawość i pozamykał wszystkie drzwi, żebym ja nie mógł za nie zajrzeć, skierował się w stronę ciemnego korytarza. Przez chwilę tupał w miejscu i oddychając płytko, spoglądał w ciemność. Tam nie zamontowano oświetlenia. Kable z gołymi żarówkami wisiały tylko w tunelu z drzwiami.

– Skurczybyk. Cholerny kłamca. Niemiecki złodziej. Wiedziałem – szeptał. – Wiedziałem, wiedziałem.

Niestety ja nadal nie wiedziałem, co zobaczył, bo cały czas mówił niepełnymi zdaniami. Pozostawało mi się tylko domyślać, czy za drzwiami spoczywała szklana trumna z Hitlerem, czy może kradzione dzieła sztuki.

– A co tam ukryłeś skurczybyku, co? – gadał jak najęty do siebie. – Co jest na końcu korytarza? Bursztynową komnatę też ukradłeś?

Odetchnął głęboko, a następnie powoli ruszył pogrążonym w ciemnościach tunelem. Przyświecał sobie latarką w komórce. Telefon Ali zawsze odmawiał współpracy w najmniej odpowiednim momencie. Nie mam pojęcia, jaką grafik miał baterię, ale mu zaraz wysiadzie. Na jego miejscu szedłbym szybciej.

Nie miałem ochoty na spacer, ale stwierdziłem, że co mi w sumie szkodzi. Potruchtalem za pokracznym Grzegorzkiem. Korytarz był bardzo długi. Miałem wrażenie, że nigdy nie dojdziemy do końca. Im dłużej nim szliśmy, tym robiło się zimniej i bardziej wilgotno.

Dawno temu minęliśmy mury rezydencji. Nie byłem pewien, ale chyba znajdowaliśmy się w połowie drogi do ogrodu.

Zmarznięty Paweł kichnął kilka razy, a potem wytarł nos rękawem kraciastej koszuli. Obrzydliwiec.

Niespodziewanie przystanął. Dopiero po chwili zorientowałem się dlaczego. Korytarz się rozdzielał. Mieliśmy do wyboru trzy tunele.

– Śmietański, ty złodzieju! – warknął Grzegorek. – Nie dość, że nakradłeś, to jeszcze masz drogę ucieczki, gdyby wszystko się sypnęło. Zadzwoń na policję i dobiorą ci się do dupy. Wszystko ci zabiorą. Już ja tego dopilnuję.

Nie spodobały mi się jego groźby. Wolałbym, żeby policja niczego nie zabierała. W końcu mamy to odziedziczyć.

Ruszył pierwszym korytarzem z prawej. Przez chwilę wahałem się, czy nie wrócić do domu. Kusilo, ale z drugiej strony byłem ciekawy, dokąd prowadzi tunel. Sam nie chciałem nim iść. Przyznaję to ze wstydem, ale czułem się bezpieczniej z Grzegorzkiem. Gdybyśmy spotkali psy, to rzucą się najpierw na niego, a ja wtedy zdążę uciec.

Ziewnąłem. Nudny ten spacer. Strasznie długi.

Nagle coś usłyszałem. Jakiś szelest. Gdzieś za nami. Przysiadłem i odwróciłem się w stronę ciemności. Korytarz nie był idealnie prosty. Prowadził lekko po łuku, więc nic nie widziałem.

Sierść na karku stanęła mi dęba. Naprawdę coś słyszałem. Jestem tego pewien. Czy to psy? W razie czego na moment zamarłem. Byłem przeświadczony, że zaraz dobiegnie mnie szczekanie.

Na szczęście nie dobiegło.

Wróciłem spojrzeniem do grafika, żeby zobaczyć, czy on też to usłyszał. Okazało się, że niespodziewanie zostałem w korytarzu sam. Grzegorek znacznie mnie wyprzedził. Mizerne światło latareczki z jego komórki migotało gdzieś w oddali.

Rzuciłem się do biegu. Nie dlatego, że się przestraszyłem. Po prostu nie chciałem go zgubić.

Tak, nie chciałem go zgubić w korytarzu.

Tak, nie chciałem go zgubić w korytarzu bez drzwi.

I nie, nie wstydzę się tego biegu. Był całkowicie uzasadniony.

Dogoniłem go, kiedy akurat doszedł do końca tunelu. Stał przed metalowymi drzwiami wyglądającymi na bardzo solidne. Były zamknięte na kilka wielkich zasuw, lekko przerdzewiały. Jeśli to tajna piwniczka z winem, to wybudowali ją zdecydowanie daleko od kuchni.

Grafik zaparł się i po kolei pootwierał przeraźliwie skrzypiące zasuwę. Przycupnąłem przy ścianie i zwinąłem się w kulkę. Było mi zimno, nie chciałem niepotrzebnie tracić ciepła. Gdy mężczyzna siłował się z drzwiami, ja odwróciłem się z powrotem w stronę ciemnego korytarza.

Znowu coś usłyszałem. Pogłos w wąskim tunelu był jednak moim wrogiem. Nie wiem, czy to były czyjeś kroki, czy może po prostu jęczały rury, a echo tego dźwięku niosło się w taki dziwny sposób.

Nagle owiało mnie lodowate powietrze z drobinkami śniegu. Paweł zdołał wreszcie otworzyć drzwi. Przyciągnął je do siebie i poświecił latarką. Po drugiej stronie znajdował się śnieg. Dużo śniegu.

– Tajne wyjście? – zapytał sam siebie Grzegorz. – To stary poniemiecki dwór. Kiedyś pewnie budowano takie wyjścia ewakuacyjne.

A nie mówiłem, że z nim wyraźnie jest coś nie tak? Gada do siebie jak nakręcony.

Przeszedł przez drzwi. Przez chwilę zastanawiałem się, czy warto iść za nim. Doszedłem do wniosku, że nie, ale z drugiej strony irytowało mnie, że taki kawał drogi miałbym przejść na darmo.

Zajrzałem za metalowe wrota. Po drugiej stronie było nieduże betonowe pomieszczenie. Pod ścianami umieszczono półki, na których stały przerdzewiałe konserwy, było też kilka leżanek tuż obok wejścia. Jedna była rozłożona, pozostałe stały grzecznie pod ścianą. Materiał już dawno przegnił albo został zjedzony przez czas i to, co je materiał. Pewnie mole jakieś czy co. Kilka metalowych lamp, które wyglądały, jakby wyprodukowali je ze sto lat temu, straszło obudowami bez żarówek.

Uniosłem łebek do góry. Śnieg wpadał do środka przez dziurę w suficie. Dość regularną, a dokładniej idealnie okrągłą, od której

do samego dołu biegła metalowa drabinka. Ciekawe, gdzie my jesteśmy?

Usłyszałem, że stojący na sporej hałdzie śniegu pod drabinką grafik komputerowy zaczyna bardzo szybko oddychać.

Odważyłem się wejść do środka. Zaintrygował mnie ten pokój. Z drugiej strony drzwi stała duża różowa walizka. O! Znam ją! Widziałem ją wcześniej w pokoju Kowalskiego. To walizka tej uczestniczki, która odpadła.

Grzegorzycyk odłożył na bok telefon i zawzięcie kopał w zaspie pod okrągłym otworem.

– To bunkier. To bunkier z czasów drugiej wojny światowej – wysapał sam do siebie. – Ten tunel prowadzi do bunkra. Pewnie pozostałe też.

No proszę, to jego gadanie do samego siebie nawet czasem się przydaje. Co prawda nie mam zielonego pojęcia, co to jest bunkier, ale przynajmniej wiem, gdzie się aktualnie znajduję. To całkiem miłe.

– To tu wszystkich ukrywali – szeptał dalej do siebie gorączkowo. Że co?

Grafik złapał smartfona i podbiegł do przeciwległej ściany, gdzie leżały jakieś worki. Złapał się za głowę. Światło jego latarki oślepiło mnie na chwilę. Mógłby przestać tym wymachiwać. Wariat jeden. Przecież teraz nic nie widzę.

– Jezus Maria... Musimy stąd uciekać. Ja muszę stąd uciekać. Boże, Boże, Boże, co robić? Co robić? Muszę powiedzieć Ali! Nie! Nie! Muszę zadzwonić na policję. Muszę uciec! Jezus Maria, co tu się odpierała?! – histeryzował w najlepsze.

Wyłączył latarkę. Ekran jego telefonu rozbłysnął. Chyba faktycznie usiłował dzwonić pod sto dwanaście. Ja za to ciągle miałem mroczki przed oczami przez to, że wcześniej machał latarką jak potłuczony. Wytrzymać nie można z tymi ludźmi.

Z westchnięciem przymknąłem oczy, postanawiając cierpliwie poczekać, aż mój wzrok powróci. Nagle ponownie usłyszałem ten dziwny szelest. Nadstawiłem ucha. Ktoś szedł korytarzem. Teraz byłem tego pewien. To nie żaden pogłos, tylko kroki. Na szczęście ludzkie, a nie psie. Gdy tylko to zrozumiałem, od razu się rozluźniłem.

– Kurwa, nie ma zasięgu! Nie ma zasięgu! – wyjącał Grzegorzycyk.

Uniósł do góry rękę, ale nic to nie dało. Nie pojmuję, skąd przyszło mu do głowy, że złapie zasięg pod ziemią, jeśli nawet w rezydencji bardzo często go nie było. Co ta panika robi z ludźmi.

Niespodziewanie drzwi do bunkra zatrzasnęły się z głuchym jękiem, po którym rozległ się zgrzyt metalowych zasuw. Niby podejrzewałem, że coś się stanie, bo przecież słyzałem wcześniej kroki, ale zupełnie nie przewidziałem, że ktoś trzaśnie drzwiami z całej siły. Tak się przestraszyłem, że aż zerwałem się do biegu i zanim się spostrzegłem, cowałem się pod przeciwległą ścianą pod stertą zapleśniałych kartonów.

Święta Bastet, tak przestraszyć biednego kota. Wstydu ci ludzie nie mają.

Grzegorzycyk dopadł do drzwi. Szarpał się z nimi przez chwilę, ale ani drgnęły. Z powodu jakiegoś niezrozumiałego impulsu już wyciągnął rękę, żeby w nie grzecznie zastukać, ale powstrzymał się przed tym w ostatnim momencie.

– Przyszli po mnie – wyszeptał. – Przyszli! Muszę szybko uciekać.

Rzucił się biegiem w stronę metalowej drabinki. Stopy w kapciach ślizgały mu się po oblodzonych szczeblach, ale mimo to uparcie parł do przodu. Nie zdążyłem nawet wymyślić w porę żadnego złośliwego komentarza, tak prędko wyskoczył z bunkra przez okrągły otwór. Naprawdę nie sądziłem, że potrafi być taki zwinny.

Dla pewności poczekałem jeszcze chwilę i kiedy ucichły wszystkie niepokojące dźwięki, podszedłem do śniegu pośrodku pomieszczenia. Kupka była jakaś taka podejrzanie nieregularna. Dopiero gdy znalazłem się tuż obok niej, zrozumiałem dlaczego.

To była ta dziewczyna, która pierwszego dnia szukała zasięgu, właścicielka stojącej obok walizki.

Leżała na ziemi, na plecach. Tu, gdzie nie odkopał jej Grzegorzycyk, ciągle przykrywał ją śnieg. Jej noga i ręka były wygięte pod dziwnym kątem. Głowa przekręcona odrobinę w bok. Wpatrywała się niewidzącymi oczami w niebo. Przyglądałem się, jak na jej gałki oczne spadają płatki śniegu i się nie rozpuszczają.

Całkiem śmieszne.

Spojrzałem do góry, na okrągły otwór. Dziewczyna leżała idealnie pod nim. Na moje oko to spadła i się niechcący zabiła. Ewentualnie leżała kilka dni z połamanymi nogami, zanim zginęła z wychłodzenia, ale jestem tylko kotem. Co ja tam mogę wiedzieć?

Usiadłem i rozejrzałem się dookoła. Tymczasem drzwi ciągle pozostawały zamknięte. Miauknąłem. Zdarzało się, że kiedy miauczałem, to różne drzwi albo szafki magicznie się otwierały. Jednak tym razem nic takiego się nie stało.

Być może dlatego, że nie było w pobliżu mojej Ali.

No tak... nie było jej w pobliżu. Grzegorzycyka też już nie było. Nagle dotarło do mnie, że jestem sam. Zupełnie sam.

I nie wiem, jak mam stąd wyjść.

Niedobrze.

A potem usłyszałem strzał.

## Rozdział 22. Nieszczęście kotem się toczy

To koniec.

To już koniec wszystkich moich przygód! Umrę tutaj, a Ala nawet nie znajdzie mojego ciała. Wszystko przez nadmierną, ale całkowicie zdrową i zrozumiałą kocią ciekawość.

Ja chcę do Ali!

Mimo że już całkiem zachryłem od żalosego miauczenia, to jeszcze raz usiadłem pod drzwiami bunkra i rozpocząłem nawoływanie mojej ukochanej. Ja nie chcę tutaj umierać! Jestem jeszcze młody i piękny. Poza tym nie udało mi się ciągle spotkać sam na sam z żadną ponętą kotką. Chciałem mieć kocięta. Albo chociaż randkę.

Po co poszedłem za Grzegorzkiem? Wiedziałem, że to się źle skończy. Przecież ten facet przyciągał kłopoty jak dywan moje kłaki.

Robiło się coraz zimniej. Czułem jak mróz powoli wkrada się w moje kończyny i pełźnie coraz wyżej po łapach. Niebawem dosięgnie serca. Będę jak ta dziewczyna pod włazem. Zamarznę na śmierć, wpatrując się w wyjście.

Podszedłem do drabinki i w ramach próby oparłem o nią łapki. Nie było szans, żebym zdołał się po niej wspiąć. Szczelby były za śliskie. Nie miałem w co wbić pazurów.

Jeszcze raz miauknąłem i podreptałem w stronę stosu, na widok którego grafik dostał histerii, zanim mnie tu bezczelnie porzucił. Przyznaję, że zupełnie się tego nie spodziewałem, ale w kącie leżał martwy Konrad, a na nim spoczywała równie sztywna Zuzanna.

Hmm. Interesujące. Ale bez przesady. Ja i moje obecne położenie jesteśmy znacznie bardziej istotni w tej chwili.

Z powrotem usiadłem pod drzwiami. Nawet nie miauczałem. Nie miałem na to siły. Mój czas się kończył.

Czułem, jak pogarsza mi się wzrok. Najwyraźniej moje oczy zaczynały już mętnieć, krew zastygała w żyłach. Każdy ruch powodował ból w zamierających stawach. Ostatkiem sił umysłowych roztrząsałem, czy nie powinienem zagrzebać się pod

zwłoki tej dziewczyny. Na pewno były zamrożone na kość, ale może udałoby mi się stworzyć coś na kształt igloo. Chociaż może nie powinien nic robić? Po co przedłużać swoją agonię?

O świecie, byłeś mi tak drogi. Gdyby nie to, że moje oczy powoli zamarzały, to zapłakałbym nad tymi wszystkimi pasztetami, których już nigdy nie zjem. Nad pięknym świeżym żwirku w kuwecie, który tylko czeka, aż postawię na nim swoje pierwsze kroki. Nad szufladą z rajstopami mojej Ali, pełną tych cudownych siatkowych gaci, w których tak łatwo robiły się dziury, jeśli tylko lekko wysunąłem pazurki, a w których tak miło się spało. Nad moją kolekcją zakrętek od butelek i nad tymi wszystkimi zakrętkami, których już nigdy nie będzie mi dane ukraść. Nad pyszną wędliną z kanapek babci Basi, którą zawsze mi oddawała, kiedy u niej mieszkałem. I, co najważniejsze, nad ciepłem i zapachem skóry mojej Ali, miłości mojego życia, którą kochałem równie mocno jak moją kocią, trochę już wyblakłą w pamięci, mamusię.

Żegnaj kolorowy świecie, a witaj ponura śmierci. Tak niesprawiedliwa, posępna pani. Zawsze zabierasz tych, którym życie ma jeszcze coś do zaoferowania. Ja przecież tyle jeszcze mogłem zrobić dla tego świata.

Nagle drzwi zaszurały. Zgrzyt metalu powiedział mi, że ktoś otwiera po kolei wszystkie trzy zasuwki. Odskokczyłem na bok i patrzyłem urzeczony, jak się otwierają, a Jan Kowalski przekracza próg, dźwigając przewieszzonego przez ramię Grzegorzka.

No wreszcie! To było najdłuższe pięć minut w moim życiu! Ja nie wiem, co ten Kowalski sobie myślał. Powinien przyjść dużo szybciej.

Kiedy tylko mnie minął, zachwycony pobiegłem w stronę wyjścia. Na wszelki wypadek usiadłem po drugiej stronie drzwi i odwróciłem się, żeby popatrzeć na to, co zamierzał zrobić Jan.

Bo grafik to już chyba nic nie zamierzał robić. Wisiał na dozorcy jakoś tak podejrzenie bezwładnie, a z jego ręki kapłała na ziemię krew.

Kowalski bez większej refleksji rzucił go na Zuzannę. Tak jak się spodziewałem, Paweł nie zaprotestował. Jan poprawił na sobie kurtkę. Gdy się odrobinę uniosła, zauważyłem, że dozorca ma do biodra przypiętą kaburę z bronią. Czyli dobrze mi się wydawało, że słyszałem strzał. Brzmiał identycznie jak na filmach.



Tylko czemu zastrzelił grafika? Dlatego że Paweł chciał zadzwonić na policję? Czy dlatego, że odkrył bunkier pełen trupów?

Kowalski wyjął z kieszeni telefon komórkowy Pawła. Otworzył obudowę i wyjął jakieś małe element ze środka. Obudowę rzucił na ciała, drobiazgi wyciągnięte z telefonu schował do kieszeni.

Nie czekałem, aż odwróci się w moją stronę i mnie zauważy. Pobiegłem w kierunku klatki schodowej. Musiałem jak najszybciej dotrzeć do Ali. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, ale muszę ją ostrzec. Grafik miał rację. Powinniśmy natychmiast uciekać. Dopiero ponieważ zrozumiałem dlaczego.

To, że ktoś zamordował Konrada, podejrzewałem od dawna. Zupełnie mi to nie przeszkadzało. Powiem więcej, było mi nawet na rękę. A to dlatego, iż sądziłem, że zabił go któryś z uczestników, bo Konrad był irytujący. Nie przypuszczałem, że za pomocą Kowalskiego zrobił to Stefan Śmietański. Na dodatek pozbawił też życia Zuzannę. To było niepokojące.

No bo po co to zrobił? Nie mógł ich po prostu wyrzucić z konkursu?

Przeczołgałem się szybko nad walizką, którą Ala próbowała zatarasować przejście do wentylacji. Wskoczyłem na łóżko i przytuliłem się do mojej ukochanej.

Przebudziła się.

– Kotku! – mruknęła sennie. – Czemu jesteś taki zimny? Siedziałeś na parapecie?

Przytuliła mnie do siebie. Chciałem jej powiedzieć, że musi się prędko spakować i uciekać. Chciałem zacząć ją szarpać, miauczeć, jakoś zasugerować, że jest w niebezpieczeństwie.

Ale byłem tak roztrzęsiony, że kiedy zrobiło mi się ciepłutko i miło, usnąłem.

## Rozdział 23. Dobrze się kłamię w kocim towarzystwie

Niestety rano nie zdołałem przekazać Ali, że musimy natychmiast uciekać, bo nasz gospodarz chce nas wszystkich pozabijać. Aż mi głupio, że zgadzam się z weterynarzem, ale najwyraźniej plotki, które nam przekazał, okazały się prawdziwe. Śmietański był podejrzany.

Moja ukochana inaczej zinterpretowała moje zaniepokojone miauki.

– Lordzie, co się dzieje? Coś cię boli? Jesteś chory? – zamartwiała się. – Nie masz chyba zapalenia pęcherza? A może znowu zrobiłeś sobie coś w łapkę?

Obmacała mnie, obejrzała z każdej możliwej strony, ale nadal nie wpadła na to, że usiłuję jej zaszyfrować, iż jesteśmy oboje w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Kocham ją bardzo, ale domyślna to ona nie jest. Przecież miauk „piecze mnie przy siusianiu” brzmi zupełnie inaczej niż miauk „wariat na wózku chce nas zamordować, a nasze zwłoki położyć na stosie w swoim starym bunkrze pośrodku lasu”.

No zupełnie inaczej brzmi. W tym drugim jest przecież znacznie mocniejszy akcent na „u”. A ona nie załapała.

– Zadzwońię do Roberta! – zawoła tknięta nagle myślą o moim złym samopoczuciu. – Zapytam Jana, czy drogi są przejezdne, a jeśli nie, to może Robert powie mi przez telefon, jak mam ci pomóc. Gorzej, jeśli trzeba będzie podać ci antybiotyk, ale może wystarczy tylko lek rozkurczowy. Wzięłam je na wszelki wypadek.

Aż się skrzywiłem na wspomnienie gorzkich tabletek, które mi regularnie wpychała do gardła, kiedy pół roku temu złapało mnie zapalenie pęcherza. Ech, starość nie radość. Różne uporczywe choróbska się do kota z wiekiem przyczepiają. Zapalenie pęcherza jest chyba jednak najgorsze. To wielce zawstydzające, kiedy trzeba zaglądać do kuwety co kilka minut, a mimo to nie można się wysikać.

W sumie to Ala miała bardzo dobry pomysł. Może Robert po nas przyjedzie i uciekniemy stąd tak jak Emil? W końcu samochód weterynarza wyglądał na taki, który powinien poradzić sobie z warstwą śniegu na drodze. Zamiauczałem, że zgadzam się na wizytę u lekarza.

Moja ukochana spanikowała jeszcze bardziej po moim miauknięciu. Oczywiście znowu je nieprawidłowo zinterpretowała. Chociaż właściwie, co mi za różnica? Grunt, żebyśmy się stąd wydostali żywi.

Już sam nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Bardzo bym chciał, żebyśmy wygrali konkurs i odziedziczyli spadek, ale coś mi się wydaje, że to wcale nie o to chodzi w tym konkursie. Mogłem sobie żartować, że miło by było pozbyć się pozostałych uczestników, ale nie spodziewałem się, że ktoś ten plan wprowadzi w życie. A tym bardziej nie podejrzewałem, że tym kimś będzie sam organizator!

Wiem, że Ala nie przeczytała dokładnie regulaminu i tego, co napisali drobnym drukiem na umowie, ale jakoś nie wydaje mi się, żeby była tam wzmianka, że można wygrać albo umrzeć.

Moja ukochana chyba z dziesięć minut spacerowała po pokoju, usiłując złapać zasięg. Klęła przy tym jak szewc. Nie udało się jej. Nawet wychyliła się przez otwarte okno, ale poza tym, że oboje zmarzliśmy, nie dało to innych rezultatów.

Zamknęła okno i oparła czoło o zimne szkło. Przysiadłem obok niej na parapecie i też zerknąłem na podwórze. Było pięknie. Biały dywan śniegu przykrył wszystkie trawniki i przyprószył drzewa, które wyglądały jak posypane cukrem pudrem. Widok jak z pocztówki albo ze świątecznego filmu. Brakowało tylko Świętego Mikołaja i jego sań. W mieście prawie nigdy nie jest tak malowniczo, bo od razu ktoś przecina krokami dziewiczą połąć śniegu, dozorczy rozsypują brązowy piach z solą, który zamienia śnieg w brudną breję, a spaliny i dym z kominów barwią białe resztki na szaro-czarno.

– Nie ma zasięgu – mruknęła i pogłaskała mnie po głowie. – Co teraz? Na dodatek cały czas pada. Jan chyba w ogóle nie odśnieżył podjazdu.

Na szybie pojawiło się kółeczko z mojego oddechu. Przesunąłem się, bo sam sobie w ten sposób zasłoniłem widok. Miała rację. Warstwa śniegu na podwórzu była tak gruba, że nie potrafiłem nawet stwierdzić, gdzie była droga.

Hm, a może moglibyśmy pójść do bramy piechotą i spróbować tam znaleźć pomoc albo chociaż zasięg telefonii komórkowej?

Odwróciłem się do drzwi, na których na haku wisiała kurtka Ali. Niedaleko na podłodze stały buty, w których przyjechała. To były botki, ale z gatunku tych eleganckich. Nie było szansy, żeby pokonała w nich pięć kilometrów zasp po kolana, na dodatek niosąc mnie w transporterze. Kurtka niestety też do najcieplejszych nie należała.

– Może zapytam pana Jana, czy nie da się czegoś wymyślić – wyszeptwała. Starła się pocieszyć zarówno mnie, jak i samą siebie, ale w jej głosie wyraźnie było słychać, że nie ma większej nadziei na pozytywne rozwiązanie.

Stuknąłem ją głową, żeby dodać jej trochę otuchy.

– Ja ciebie też kocham, Lordzie. Nie martw się. Obiecuję, że coś wymyślę. Teraz idę na śniadanie i przy okazji postaram się znaleźć Jana – powiedziała. – Bądź grzeczny i odpocznij. Dam ci twój ulubiony pasztet z rybką. Został tylko jeden i trzymałam go na szczególną okazję, ale chyba możemy takiej nie doczekać, więc to idealny moment.

Rozczuliłem się. Moja słodka. Jak ona się o mnie troszczy! No kocha mnie, jak nic! Posłusznie zacząłem jeść pasztet. Był przepyszny. Ona w tym czasie skończyła się ubierać i wyszła.

Natychmiast podniosłem się znad miski. Nie miałem czasu jeść. Musiałem jak najszybciej biec do jadalni. Postanowiłem, że bez przerwy będę miał Alę na oku. Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale zaczynałem się bać Jana.

Moja ukochana dotarła do jadalni jako ostatnia. Nawet Śmietański wyprzedził ją na swoim wózku, oszust jeden. I jeszcze miał czelność rzucić jej pełne potępienia spojrzenie.

– Muszę wam coś ogłosić – oświadczył.

Piątka pozostałych artystów spojrzęła po sobie.

– Wasz konkurent, Paweł Grzegorzczak, zrezygnował z udziału w konkursie.

Ala otworzyła szeroko usta. Kompletnie ją to zaskoczyło. Reszta nie była aż tak wstrząśnięta. Być może nie zdawali sobie sprawy z tego, że drogi są nieprzejezdne i biedny grafik chyba musiałby się teleportować, żeby opuścić rezydencję.

– Ja na pewno nie będę po nim płakał. Powiedziałem mu zresztą podczas ostatniej oceny prac, że nie ma żadnych szans na zwycięstwo. Zgodnie z moją radą zmienił technikę, ale jego rysunek i tak nie umywał się do waszych prac.

Claudia pokiwała głową, jakby miała identyczne zdanie. Eryk zmarszczył brwi, raczej nie dowierzał gospodarzowi. Sandra w zamyśleniu przygryzała wargę z kolczykiem. Sebastian natomiast kompletnie nie zmienił wyrazu twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał ostatniej rewelacji.

– A co do samego konkursu... mam już go osobiście dość – kontynuował gospodarz. – Myślałem, że będzie wyglądał trochę inaczej. Proszę was, żebyście dzisiaj w porze kolacji zgłosili się do biblioteki. Tam powiem wam, co będzie dalej.

– Dowiemy się, kto wygrał? – zapytała Sandra.

– Dowiedziecie się, co będzie dalej – powtórzył zagadkowo Śmietański. – Muszę jeszcze kilka spraw dogłębnie przemyśleć. A teraz jedźmy, bo Jan będzie zawiedziony, jeśli nasza jajecznicza wystygnie.

Skupili się na talerzach, każde pogrążone we własnych myślach. Gospodarz wydawał się lekko przygnębiony. To dziwne, bo myślałem, że jest psychopata, który cieszy się, że ma bunkier pełen trupów. Swoją drogą, to ciekawe, po co je tam kolekcjonował. Liczył, że policja ich nigdy nie znajdzie? A co będzie, gdy skończą się przymrozki? Nie zaczną śmierdzieć?

– Kiedy Paweł wyjechał?

Pytanie zostało zadane tak niespodziewanie, że nawet ja drgnąłem zaskoczony. Eryk wpatrywał się twardo w pana Stefana. Po jego minie widać było, że nie zadał go kurtuazyjnie. Coś podejrzewał.

Bardzo dobrze. Przyda nam się sceptyczny, wysoki, a, co najważniejsze, barczysty pseudowiking. W przypadku, gdy Jan może nas otwarcie zaatakować, to Ericsson stanąć mu na drodze i na chwilę powstrzyma.

– Jeśli musi pan wiedzieć, to wczoraj wieczorem – powiedział Śmietański. – Wyjechał niedługo po panu Emilu, kiedy drogi były jeszcze przejezdne.

Eryk pokiwał głową i opuścił ramiona. Spłynęło z nich całe napięcie. Za to Ala tak zeszywniała, jakby ją nagle korzonki połamały. Upuściła widelec, który uderzył głośno o podłogę.

– Przepraszam – jęknęła i zanurkowała pod blat.

– Drogi są nieprzejezdne? – podłapała Sandra.

Na szczęście Śmietański skupił całą swoją uwagę na Sandrze i nie zauważył, że moja ukochana zachowuje się bardzo podejrzanie.

– Niestety – odpowiedział na pytanie dziewczyny. – Musimy poczekać, aż pług z miasta oczyści drogę dojazdową.

– A kiedy to się stanie?

– Nie wiem, pani Sandro.

– A tak z grubsza? Dzisiaj? Jutro? Za tydzień? – naciskała.

– Nie wiem. Zarząd dróg w pobliskim mieście nie składa mi raportów – wycedził. – Najlepiej jeśli będzie pani dowiadywać się u Jana Kowalskiego. Dzisiaj postara się on przy okazji odświeżyć naszą szutrówkę, więc sprawdzi, co słychać za bramą. Tak się pani śpieszy, żeby wyjechać?

– Och, w żadnym razie. Mam nadzieję, że zostanę tu na zawsze. – Uśmiechnęła się do niego szeroko. – Po prostu byłam ciekawa, jak pozostali uczestnicy wrócą do swoich domów.

– Spokojnie, nie mamy się czym martwić. Żaden z uczestników nie powinien przejmować tym, jak wróci do domu.

Prychnąłem. Oczywiście, że nie ma się co tym martwić, skoro gospodarz zamierza wszystkich zamordować. Sandra skrzywiła się lekko. Najwyraźniej miała nadzieję, że staruszek potwierdzi, że ona wygra.

Naiwna jakaś. Przecież powiedział, że będą rozmawiać w porze kolacji.

Śmietański wytarł usta serwetką i odjechał kawałek od stołu.

– Dziękuję za posiłek. Przypominam o spotkaniu w bibliotece... – Zawahał się. – Okoliczności przyrody są doprawdy urokliwe. Proponuję, żeby w oczekiwaniu na wieczór skupili się państwo na odtworzeniu krajobrazu, który możemy podziwiać przez okna.

– Czy będą za to jakieś dodatkowe punkty? – zapytała od razu Claudia.

Pan Stefan uśmiechnął się chytrze.

– Być może.

Stary cwaniak. Wcale mu nie zależało na nowych obrazach. Po prostu chciał znaleźć im zajęcie, żeby nie wtykali nosa w nie swoje sprawy. Claudia, Sebastian i Sandra zerwali się niemal natychmiast, gdy tylko zniknął z pola widzenia.

Ala złapała Eryka za rękę.

– Możemy porozmawiać? – zapytała.

## Rozdział 24. Dama z kociczkiem

Wpuściła Eryka do naszej sypialni. Rozejrzał się szybko po wnętrzu, jakby spodziewał się jakiegoś zagrożenia. Nadal go nie lubiłem, jednak pochwalałem inicjatywę Ali. Znalezienie sojusznika, zwłaszcza atletycznych rozmiarów, to bardzo dobry pomysł. Co prawda wiking nie miał chyba zbyt wielkich szans, jeśli Kowalski postanowi współpracować z Nowakiem, ale z jednym z nich może by sobie poradził.

Ala usiadła na łóżku. Natychmiast wpakowałem się jej na kolana, żeby przypadkiem gość sobie nie pomyślał, że wolno mu ją podrywać. Ericsson przysunął sobie krzesło, żeby być bliżej. Spojrzał na mnie i lekko skrzywił usta.

Co mu się niby nie podoba? Że ja?

– Eryku, muszę z tobą porozmawiać – zaczęła Ala.

Kiwnął głową i kichnął. Ponownie rozejrzał się po naszej sypialni. Przez chwilę błędził spojrzeniem po obrazach zawieszonych na ścianie i ciemnych, przykurzonych zasłonach. Aż się obejrzałem, żeby sprawdzić, co on tam takiego dostrzegł. Mucha gdzieś lata czy co?

– Mam wrażenie, że wszyscy traktują mnie jak powiernika – skwitował z drwiącym uśmiechem. – Zastanawiam się, czy to dobrze, czy źle.

– To chyba dobrze o tobie świadczy, wzbudzasz zaufanie.

– Może to tylko pozory?

Moja ukochana zeszywniała. Była przerażona. Czułem, jak lekko drżą jej dłonie, którymi mnie głaskała. Jeszcze raz zerknąłem w stronę okna i zasłon. Nie widziałem żadnej muchy. Nie miałem pojęcia, na co on patrzył.

– Spokojnie, tak tylko mi się głupio powiedziało – zmitygował się i znowu kichnął. – Zapomnij.

Jakby to było możliwe. Ala nigdy niczego nie zapomina. Świetnym tego przykładem jest jej kłótnia z koleżanką o farby. Do dzisiaj ją przeżywa. Jest przekonana, że tamta sprawa zaważyła na



całym jej życiu, a dokładniej, że jej skutkiem była decyzja o związaniu przyszłości z malarstwem.

Żebyście mieli jasność – ta kłótnia miała miejsce w podstawówce.

– O czym chciałaś porozmawiać? – Eryk pociągnął nosem. – Przepraszam, mam alergię na koty.

Och, a więc o to chodziło! Wstałem z kolan Ali i przeciągnąłem się. Zanim chłopak wyjdzie, muszę koniecznie obetrzeć mu się o nogi. Świącie wierzę w odczulanie. Musi zabrać na ubraniach trochę mojego futra, żeby się do niego przyzwyczaić. Alergia na koty! Biedak! Z przyjemnością mu pomogę.

– Raczej o kim – sprecyzowała tymczasem Ala. – Chodzi mi o Pawła i o ten jego nagły wyjazd.

Eryk uniósł rękę. Zaskoczona Ala zamilkła.

– Mam pomysł – powiedział. – Chodźmy na spacer.

– Eee, słucham? – zdziwiła się.

Byłem także zdumiony jego nagłą potrzebą spacerowania. Wskoczył z tym ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Jest tak pięknie, śnieg właśnie przestał padać. Jeśli to mają być nasze ostatnie chwile w dworku Śmietańskiego... – zawiesił głos. – Ostatnie, bo dzisiaj wieczorem konkurs się skończy i będziemy musieli wyjechać. To czemu nie skorzystać z pięknej pogody i nie zwiedzić ogrodu?

Ala uchyliła lekko usta nie do końca wiedząc, co odpowiedzieć.

– Wiesz... Lord jest chyba chory. Wolałabym go nie zostawiać.

Eryk westchnął i potarł twarz.

– Nie wygląda na chorego.

– Dziwnie się zachowuje. Dużo miauczy, nie dojada... próbowałam dodzwonić się do Roberta, żeby zapytać, co robić, ale nie ma tu zasięgu.

– Może złapiemy zasięg bliżej bramy. Podejźmy do niej. Tu na posesji Jan jeszcze nie odśnieżył, ale może drogę do miasta już odkopali. Zabierzmy kota i chodźmy w tamtą stronę – zaproponował. – Droga jest ślepa, kończy się na bramie, ale po dwóch kilometrach ma połączenie z trasą do miasteczka. Może tam udałoby ci się złapać stopa do weterynarza.

– Jakbym się do niego dodzwoniła, toby może podjechał...? – zamyśliła się.

Ericsson klasnął w dłonie i zerwał się z krzesła. Prawie pobiegł do drzwi. Cholera, nie zdążyłem się o niego otrzeć. On mi ucieka!

– Dobrze, to ja się ubieram. Będę czekał na ciebie przy wejściu. Najlepiej włóż jakiś gruby sweter pod kurtkę.

Zanim się obejrzelismy, drzwi trzasnęły i zostaliśmy sami. Ala trwała w bezruchu.

– Dziwny on jest – w końcu się odezwała.

Wzięła mnie na ręce i podeszła do okna. Śnieg chwilowo nie padał. Krajobraz faktycznie był nadzwyczajny. Gorzej, że po wczorajszym odśnieżaniu Jana nie został nawet ślad. Pomysł Eryka może i był dobry, a także logiczny, tylko że wielkolud nie wiedział, jakie Ala ma buty.

Nie pokona tych zasp.

– Spróbujmy – powiedziała z zaciętą miną.

Nie, Alu, nie! Zamiauczałem w proteście. Marzę w tej chwili wyłącznie o opuszczeniu tego miejsca, ale ona nie da rady. Zrobi sobie krzywdę. Na świętą Bastet, przecież ona gdzieś tam zamarznie przy drodze.

A razem z nią JA!

Głucha na moje jęki włożyła dwie dodatkowe pary skarpet i jeszcze jeden sweter. Ledwie wcisnęła buty. Na szczęście kurtkę miała bardzo obszerną, więc przynajmniej tu nie było problemu. Spojrzała krytycznie na swoje stopy i mruknęła:

– Albo je odmrozę, albo odpadną z niedokrwienia od ucisku... Wszystko jedno. Dobra, Lord! Zbieramy się. Wskakuj w szelki.

Szelki? To nie będę niesiony w transporterze? Aż się wzdrygnąłem. Chyba nie każe mi dreptać po śniegu? Do tej pory miałem z nim kontakt tylko na balkonie i w bunkrze. Szczerze mówiąc, to trochę mnie brzydzi. Jest taki mokry. I zimny. I mokry. I znika za szybko. No i przede wszystkim jest za mokry.

Posłusznie pozwoliłem jej zapiąć mnie w szelki. Była tym jednocześnie zaskoczona i zaniepokojona.

– Mam nadzieję, że zacząłeś się do nich przyzwyczajać, a nie że jesteś tak chory, że ci to bez różnicy.

Nie, moja droga. Ja po prostu chcę, żebyśmy oboje przeżyli tę przygodę. Jeśli w tym celu musimy wyjść na dwór i dzwonić po tego

brodatego oprawcę, to znaczy weterynarza, to jestem w stanie się poświęcić i stać przez chwilę nieruchomo.

Owinęła się szalikiem, nasunęła czapkę na głowę i ruszyła w moją stronę z kocem. Uspokoilem się. A jednak będę niesiony. Pozwoliłem, żeby mnie owinęła. Przytuliła następnie całe to zawiniątko ze mną w środku do piersi i z trudem zapięła kurtkę. Obejmowała mnie mocno, byłem dociśnięty do jej piersi. Spod koca wystawał mi tylko nos. Na górze nie zasunęła do końca suwaka, dzięki czemu miałem czym oddychać. Bardzo lubię się do niej przytulać, jednak to nie była najwygodniejsza pozycja. Liczę na to, że Robert odbierze telefon i szybko po nas przyjedzie.

Na próbę naprężyłem mięśnie, żeby sprawdzić, ile miejsca mogę sobie wywalczyć. Przydusiła mnie z powrotem. Miauknąłem oburzony takim barbarzyństwem.

– Spokojnie, Lord, spokojnie. Siedź grzecznie. Wcale nie jest łatwo cię nieść. Wążysz przecież ponad osiem kilo.

Jeszcze tuszę mi będzie wypominać. Nieładnie.

Nagle zrobiło się zimniej. Odgadłem, że wyszliśmy na dwór.

– Gotowa? – Dobiegł mnie głos Eryka.

– Bardziej nie będę.

– Nie masz innych butów?

Jeżeli nawet facet zauważył, że ona ma nieodpowiednie obuwie do spacerów, to znaczy, że te buty były naprawdę kiepskie.

– A gdzie kot?

Kurtka nade mną się uchyliła. Skorzystałem z okazji i wysunąłem głowę na zewnątrz. Natychmiast poraziła mnie biel śniegu. Zmrużyłem oczy i zaprotestowałem głośno. Eryk zaczął się śmiać, za to Ala panikować.

– Lord, zmarzniesz! Schowaj się! – Usiłowała jedną dłonią wcisnąć mój łebek z powrotem pod kurtkę, ale się nie dałem.

O nie, moja droga! Ja tu zamierzam mieć pełen ogląd sytuacji. Schowam się, jak zmarznę.

Eryk ubrał się trochę lepiej. Miał porządne trapery, które wyglądały na ciepłe, i grubą puchową kurtkę z kapturem zakończonym futrem. Tylko na głowę nic nie włożył. Koniuszki jego uszu już zaczynały się robić czerwone.

Poszli w stronę bramy, śnieg skrzypiał przy każdym kroku. A zapadali się prawie po kolana. Dobrze, że obydwójce byli wysocy. Gdyby Ala była drobniejszą kobietą, to w ogóle nie dałaby sobie rady.

– To co chciałaś mi powiedzieć o Pawle? – zapytał Eryk po kilkunastu minutach, kiedy oddalili się od dworku.

– Najpierw mi powiedz, czemu chciałaś wyjść z budynku. Nie bardzo chce mi się wierzyć, że to alergia na kota cię do tego zmotywowała. Gdyby tak było, to przecież mogliśmy przenieść się do innego pokoju.

Ala była zasapana. Serce tłukło jej się w piersiach tak głośno, że prawie zagłuszało mi jej słowa.

– W budynku są kamery. W pokojach też.

– W pokojach?!

Przystanąła. Nie byłem tylko pewien, czy dlatego, że tak wstrząsnęła nią ta informacja, czy może po prostu już się zmęczyła.

– O tym, że są w korytarzach, to wiedziałam, ale że w pokojach? – wykrzyknęła.

– Niestety. A ponieważ zależało mi, żeby Jan nas nie podsłuchiwał, to wolałem wyjść. To co mi powiesz o Pawle? – Pociągnął zaczerwienionym nosem.

Jak na człowieka, który fizjonomią przypomina wikinga, wyglądał na bardzo zmarzniętego. Zacmokałem w duchu. Czapka. To dlatego, że nie włożył czapki. Babcia Basia zawsze przypomina mojej ukochanej o czapce. Ma absolutną rację.

– Wątpię, żeby wyjechał – odparła.

– A skąd to przypuszczenie?

Wznowili marsz przez śnieg. Brama była niepokojąco daleko. Nawet nie dało się jej dostrzec, mimo że droga biegła prosto, jakby została wytyczona od linii. Nie byłem pewien, czy w tym tempie kiedykolwiek tam dotrzemy.

– Widziałam się z nim wczoraj wieczorem. Powiedział mi, że rozmawiał z Janem i Jan oświadczył mu, że droga jest nieprzejezdna.

– Hm.

– A skoro była nieprzejezdna, to jak wyjechał? Szedł przez śnieg do bramy tak jak my? Zanim teraz wyszliśmy, zajrzałam do jego

sypialni. Zniknęły wszystkie jego rzeczy. Wątpię, że taszczyłby walizkę i torbę z laptopem przez te zasy.

Eryk zaśmiał się krótko.

– Widzę, że lubisz bawić się w detektywa.

– Po prostu byłam ciekawa. Eryku, to wszystko mi się bardzo nie podoba. Zwłaszcza wobec tego, co mi wczoraj powiedział. Chociaż to akurat trochę głupie.

– Co?

– Twierdził, że Śmietański jest nazistą i skrywa jakiś sekret.

– Hm.

– Uparł się, że odkryje jego tajemnicę. Poza tym był przeświadczony, że Konrad i Zuzanna wcale stąd nie wyjechali. Chyba podejrzewał, że ciągle są gdzieś na terenie posiadłości.

– Yhm.

– Nic nie powiesz?

Tym razem to Ala się zatrzymała. Była wściekła. Oj, Eryk nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jaka ona potrafi być waleczna, kiedy się zezłości. Wysoki blondyn podrapał się po brodzie i zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

– Powinnaś wyjechać – odparł. – Powinnaś była wyjechać dużo wcześniej.

Pan dobra rada...

– Próbuję.

– Posłuchaj, Alu... nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz.

## Rozdział 25. Kocie biuro śledcze

– Centralne Biuro Śledcze? – Ala była zdumiona.

– Tak.

– Czyli jesteś policjantem, skoro pracujesz w CBS?

– Nie da się ukryć.

Przez chwilę szli w ciszy, a ja zastanawiałem się ciężko nad rewelacją, którą nas właśnie poczęstował. Ja przepraszam bardzo, ale czy to zgodne z regulaminem konkursu? Wydaje mi się, że powinni Eryka zdyskwalifikować. W końcu jeśli jest policjantem, to chyba nie może być rzeźbiarzem? Czy to się aby wzajemnie nie wyklucza?

Ericsson wyciągnął rękę do Ali.

– Zygmunt Ryba.

– Och, Ala Nawrocka. Czyli Eryk Ericsson to pseudonim?

– Pozwolili mi na dowolność. Nie mogłem się powstrzymać przed przybraniem tożsamości jakiegoś Skandynawa.

– Pasuje ci – przyznała.

Westchnął.

– Na pewno bardziej niż Ryba...

Nie rozumiem, co mu się w nim nie podobało. Piękne nazwisko. Klasa. Ja sam zazdroszczę. Najwyraźniej jego przodkowie byli rybakami albo bardzo lubili ryby. Od razu widać, że ludzie na poziomie.

Ala kiedyś mi tłumaczyła, skąd się wzięły nazwiska. Doczytała się gdzieś, że Nawrocka pochodzi od czasownika nawracać, czyli zawracać lub odwracać się, lub od nawroczyć, czyli naczarować, zaczarować.

Mnie osobiście moja ukochana już dawno zaczarowała. To nazwisko pasowało do niej idealnie.

– No co ty! Ryba jak komisarz Ryba z *Kilera*! – zachwyciła się. – W sumie nawet trochę przypominasz młodego Stuhra. Tylko jesteś dużo wyższy.

– Hm, potraktuję to jako komplement.

– To co biuro śledcze robi w konkursie plastycznym? – zapytała.

– Prowadzimy sprawę przeciwko Śmietańskiemu. Na razie mamy tylko poszlaki. Konkurs był jedyną możliwością, żeby dostać się do budynku i zdobyć dowody. On ma obsesję na punkcie swojej prywatności i bezpieczeństwa.

– Czyli uważacie to samo, co Grzegorzycy! – wykrzyknęła.

Eryk, znaczy Zygmunt, rozejrzał się czujnie.

– Ciszej, Alu – upomniał ją.

– Przepraszam.

– W przeciwieństwie do Pawła my nie oskarżamy Śmietańskiego o bycie nazistą – powiedział. – Na pewno jest zamieszany w obrót kradzionymi dziełami sztuki. Nigdy nie został na niczym przyłapany. Zawsze dobrze zacierał ślady. Niemniej jego nazwisko wpływało wielokrotnie przy dużych sprawach.

– Sądzisz, że ma w piwnicy tajne skrytki?

– Jestem tego pewien, tylko jeszcze nie znalazłem wejścia do tej cholernej piwnicy. Obszedłem budynek wielokrotnie. Wygląda na dobrze zachowany zabytek, ale tak naprawdę przeprowadzono w nim mnóstwo architektonicznych przeróbek. Wszystkie okna piwniczne są zamurowane i dobrze zakamuflowane. W niektórych miejscach ciężko się nawet domyślić, gdzie dokładnie były. Poza tym rozkład okien i odległości z zewnątrz nie zgadza się z tym, co jest wewnątrz.

Aha, to dlatego ciągle udawał, że ćwiczy na dworze.

– A czemu się nie zgadza?

– Podejrzewam, że w środku są ukryte pomieszczenia, być może przejścia. Niestety ciężko jest mi dokładnie przeszukać wnętrze, bo wszędzie wiszą kamery. Jan już na mnie krzywo patrzy. Boję się, że zaczyna coś podejrzewać, a jeśli domyśli się prawdy, to może się skończyć dla mnie nieciekawie. Ten facet ma grubą kryminalną kartotekę.

Zamiauczałem. Miał rację!

– Spokojnie, Lord, spokojnie.

Wepchnęła swoją głowę pod kurtkę. Najwyraźniej myślała, że miauczę, bo mi zimno. Ugryzłem ją delikatnie w palce. Syknęła i zabrała rękę, a ja z powrotem wystawiłem łebek.

Ala! Musisz mu powiedzieć o wentylacji i tajnych przejściach! Koniecznie!

– Lord! Co ty wyprawiasz?! – zirytowała się.

– Może mu zimno? – zasugerował Eryk.

– Albo naprawdę jest chory – zmartwiła się.

Pokiwał głową, ale tak naprawdę w ogóle jej nie słuchał. W którymś momencie, na wietrze odwinęła mu się poła kurtki. Spodnie jakoś tak dziwnie wybrzuszały mu się na tyłku. Pojąłem, że on tam chyba trzymał pistolet.

Święta Bastet, przyjechał tutaj odnaleźć dowody, miał przeszukać rezydencję i znaleźć tajne przejścia. Nie udało mu się. Za to świetnie powiodło się wiecznie pijanej lub jak się okazało naćpanej Claudii, milczącemu Sebastianowi, a także nerdowi, który bał się własnego cienia, ale do bunkra pełnego trupów mimo to dotarł.

Jakiś słaby z tego Zygmunta tajny agent. To już ja jestem lepszy, bo chciałbym podkreślić, że jako pierwszy odkryłem tajne przejścia.

– Ja chyba wiem, jak przejść na drugą stronę – powiedziała Ala.

– Bramy? – zapytał. – W sumie nie pomyślałem o tym wcześniej... nie mamy pilota. Trzeba będzie przejść górą.

– Nie, nie... chodzi mi o te tajne przejścia. Zaglądałeś pod swoje łóżko?

– Tak.

– Widziałeś kratkę wentylacyjną?

– Leżała na ziemi, tak.

To ja ją wyrwałem. Trzymała się na jednej śrubce, ale siłą ją wypchnąłem. Znowu moja zasługa. Ci ludzie do niczego by beze mnie nie doszli.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego ktoś zastawił wentylację łóżkiem ani czemu zbudowano ją na poziomie podłogi. Powinna być pod sufitem. To niedorzeczne – dokończył.

– Wydaje mi się, że to nie jest zwykła wentylacja. Kto normalny robi kanały tak szerokie, że zmieściłby się w nich człowiek? – zauważyła Ala. – Lord już buszował w środku. Nie wiem, gdzie doszedł. Usiłowałam tam zajrzeć, ale jest dość ciasno. Bałam się, że utknę, więc nie próbowałam wejść dalej.

– To interesujące. Tylko to dość mało wygodny sposób, żeby przejść do piwnicy.



– Może do piwnicy prowadzi wygodniejsza droga. Paweł wspominał, że w kuchni słyszał jakieś dziwne dźwięki. Chyba tam szukał przejścia.

– W kuchni? – zainteresował się policjant. – Alu, możesz mieć rację. Jeśli to nie jest zwykła wentylacja, to może służyć do podsłuchiwania i podglądania ludzi mieszkających w sypialniach.

Zdyszana Ala zatrzymała się.

– Ja już dalej nie dam rady – powiedziała. – Nie przeszliśmy nawet połowy drogi. Mam przemoczone buty, spodnie... Nie dojdę.

Zygmunt także wyglądał na wyczerpanego.

– Chcesz wracać? – zapytał.

– Nie chcę, ale nie mam większego wyboru.

Wyjęła z kieszeni telefon. Nadal nie było zasięgu. Mimo to spróbowała zadzwonić do Roberta. Gdy jej się to nie udało, napisała smsa. System poinformował ją, że wiadomość nie została wysłana i że ponowi próbę, gdy pojawi się zasięg.

Zirytowała się.

– Nie ma co. Wracajmy. Będę obserwować Lorda. Na razie sikał normalnie, to może nie jest jednak zapalenie pęcherza.

– Ponieść go? – zaproponował Ryba.

– Nie, nie. Jeszcze by cię podrapał. Poza tym to chyba zły pomysł przy twojej alergii. Dam radę. Będę miała zakwasy przez miesiąc, ale sobie poradzę – odparła. – Ty mi lepiej powiedz, co się stało z Pawłem, bo ja nie wierzę, że on wyjechał.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Rzeźbiarz długo zastanawiał się, co powinien odpowiedzieć.

– Wydaje mi się, że Paweł ciągle gdzieś tu jest.

– Przetrzymują go? – jęknęła.

Znowu przez chwilę milczał.

– To by nie miało sensu.

Ala odetchnęła głęboko.

– Zabili go, bo coś znalazł?

Jeśli wcześniej wydawało mi się, że jej serce bije podejrzenie szybko, to teraz chyba była już bliska zawału.

– Nie wiem Alu, ale nie można wykluczyć takiej możliwości.

– Po co Śmietański w ogóle organizował ten konkurs? Po co nas tu wpuszczał? Nie mógł lepiej zabezpieczyć przejścia, jeśli istniało

ryzyko, że je znajdziemy? Nie rozumiem.

Zygmunt zatrzymał ją w miejscu. Spojrzeli sobie ponad moją głową głęboko w oczy. Pochylił się w jej stronę. Nie wiem, co zamierzał zrobić, ale na wszelki wypadek na niego nasyczałem. Roześmiał się i odsunął.

– Masz dzielnego obrońcę.

– Tak. – Uśmiechnęła się.

– Posłuchaj, Alu, to wszystko jest bardzo podejrzane. Nie będę owijał w bawełnę. Nie wiemy, czemu nagle ogłosił konkurs. Też nam się wydało to podejrzane, ale z drugiej strony to pierwsza od bardzo wielu lat okazja, żeby wejść do środka. Nie zastanawialiśmy się długo.

– Jak ci się udało zakwalifikować? – zapytała. – Naprawdę jesteś rzeźbiarzem?

– Tak, tak. Skończyłem szkołę plastyczną. To dlatego dowództwo mnie wybrało. Niemniej prace, które zostały zgłoszone na konkurs, nie były moje. Należały do kilku artystów, którzy zgodzili się nam pomóc. Stworzyliśmy mi całą przeszłość, historię. Nasi specje naprawdę się postarali przy tworzeniu tej tożsamości. Mimo to i tak nie mieliśmy stu procent gwarancji, że się dostaniemy.

– Czyli mimo wszystko miałeś trochę szczęścia?

– Tak.

Wyrząłem przez rozpięcie kurtki, doszliśmy już prawie pod dworek. W międzyczasie niebo się zachmurzyło. Zapowiadało się na kolejną śnieżycę. W części okien paliło się już światło.

Rezydencja nie wydawała mi już się taka piękna. W sumie to nigdy nie chciałem tutaj mieszkać. Przecież to bez sensu. Wszędzie daleko, bo zbudowali ją na, za przeproszeniem, zadupiu. Jak się skończy karma, to nie można zejść do spożywczaka pod blokiem, tylko trzeba jechać samochodem do miasta. W zimie byłoby tu zimno, bo przecież poszlibyśmy z torbami, gdybyśmy próbowali ogrzać całe to gmaszysko. Latem pewnie można się zarobić podczas koszenia trawnika, a poza tym Ala ma katar sienny. A na jesieni? Przecież trzeba by zagrabić liście. Poza tym Ala nie cierpi myć okien, chociaż mamy w naszym mieszkaniu tylko trzy. Zawsze robi to dwa razy do roku, a narzeka już miesiąc wcześniej. Tu jest dobre trzydzieści okien, jak nie więcej.

Pomysł Ali, aby zamieszkać w tej rezydencji, jest niedorzeczny.

– To co teraz? – zapytała.

– Teraz wracamy narysować widoczek, tak jak Śmietański kazał.

A potem zobaczymy, co nam powie wieczorem.

– A jeszcze później?

– Jeszcze później? Ja w nocy zamierzam poszukać tego tajnego przejścia. Tylko najpierw wymyślę, jak odłączyć prąd. Wolałbym, żeby któryś z Janów nie zobaczył mnie na monitoringu.

– Idę z tobą.

– Nie ma mowy.

– To ja ci powiedziałam o tym, że pewnie w kuchni jest przejście.

Poza tym skoro jesteś policjantem, to pewnie masz broń?

Westchnął.

– Tak, mam.

– W takim razie w twoim towarzystwie będziemy z Lordem najbezpieczniejsi. Eryku, to znaczy Zygmuncie, nie pozbędziesz się nas tak szybko.

– Taka jesteś odważna?

– W żadnym razie. Jestem tylko ciekawa.

– Wiesz, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła?

Niespodziewanie światła we wszystkich oknach zamigotały, a następnie zgasły. Zatrzymali się zaskoczeni.

– Chyba już nie musisz przejmować się prądem – powiedziała.

– No proszę. Mamy szczęście!

Hm... prądem może nie muszą się przejmować, ale ostatnio przy takiej awarii Jan spuścił psy. Mam nadzieję, że o tym chociaż pamiętają.

## Rozdział 26. Poszukiwacze zaginionego kota

Ala mnie zaskoczyła. Stwierdziła, że to koniec mojego aresztu domowego i że zabiera mnie ze sobą do biblioteki. Byłem wniebowzięty. Bardzo mi się podobało, że wreszcie jestem właściwie traktowany, jak gość, a nie pusta walizka, którą należy zostawić w pokoju.

– Czujesz się już chyba lepiej, prawda? – zapytała i pogłaskała mnie po głowie. – Chcesz jeszcze kocie ciasteczko?

To lekko deprymujące, że stan mojego zdrowia ocenia na podstawie ilości zjedzonego przeze mnie jedzenia, a równocześnie irytuje się, że ponoć jestem otyły. Mam tu mały problem. Jeść? Czy nie jeść? Oto jest pytanie.

Na szczęście odpowiedź na to odwieczne pytanie była prosta. Oczywiście, że jeść. Dlatego pozwoliłem, żeby z tej radości na moje nagłe wyzdrowienie dała mi jeszcze cztery kocie przysmaki.

Ala jak nigdy wystroiła się na to spotkanie w bibliotece. Założyła elegancką sukienkę, którą na wszelki wypadek zabrała ze sobą na specjalne okazje. To była ta zielona, pstrokata, której nie lubię. Niestety nie wzięła szpilek, bo zapomniała, więc poszła w kanarkowych tenisówkach, które w rezydencji służyły jej za kapcie. A na to wszystko narzuciła ciepły sweter, długi do połowy uda. Trochę psuł efekt, ale niestety Śmietański oszczędzał na ogrzewaniu. Mnie też łąpały dreszcze od panujących tu przeciągów.

Dla mnie Ala jest zawsze piękna, jednak trzeba to powiedzieć głośno – w tym ubraniu przypominała apetycznego, kolorowego ptaszka. Takiego, którego najpierw się bardzo długo paca łapą, a potem zjada. Osobiście nigdy nie miałem okazji zjeść żywego ptaszka, ale kilka zabawkowych już pożegnało się przeze mnie z piórkami. Tak więc dobrze wiem, co mówię.

Pojawiliśmy się w bibliotece jako pierwsi. Ala przez chwilę zastanawiała się, czy usiąść na jednym z kilku tylko foteli, czy może lepiej zająć któreś z przyniesionych tu z jadalni krzesel. Na szczęście wybrała fotel. Co więcej – położyła nogi na stojącym obok krześle!

Chociaż raz zachowała się jak kot, a nie spłoszona myszka, i zajęła przestrzeń, na której powinno się zmieścić nie tylko jej ciało, ale także ego. Byłem z niej dumny.

Ułożyłem się wygodnie na jej kolanach i pozwoliłem, żeby w nagrodę mnie głaskała.

– Ależ mnie bolą nogi po tym spacerze – jęknęła. – I ledwo doszliśmy do połowy drogi... Ja nie wiem, co my zrobimy, jeśli gospodarz każe nam się stąd wynosić.

Zważywszy na mordercze zapędy Śmietańskiego i jego skłonność do kolekcjonowania zwłok to nie byłem do końca pewien, czy pozwoli nam kiedykolwiek opuścić budynek.

Ja rzadko się martwię. Naprawdę rzadko. Staram się żyć chwilą. Wszystko, co ma się wydarzyć w okresie dłuższym od tego, który dzieli mnie od następnego posiłku, jest dla mnie lekką abstrakcją. Niemniej tajemniczy bunkier sprawił, że zacząłem się niepokoić. Nagle w mojej głowie zaistniało pojęcie śmiertelności. Szczerze wątpiłem, że mam w zanadrzu aż dziewięć żywotów. A nawet jeśli ja je miałem, to Ala była obdarzona tylko jednym.

A co to by było za życie bez mojej ukochanej?

Cały czas zastanawiałem się, jak uratować siebie i Alę oczywiście. Niestety żadne genialne pomysły nie miały ochoty pojawić się w mojej głowie. Do weterynarza, rzecz jasna, nie udało się dodzwonić. Położenie tego dworku było doprawdy fatalne. Ja nie wiem, kto o zdrowych zmysłach chciałby tu mieszkać.

Zacząłem robić się senny. Akurat zbliżała się pora mojej szóstej drzemki. Lekko migoczące światło kilku elektrycznych lamp sprawiało, że oczy same mi się zamykały. Jan oświadczył podczas obiadu, że śnieg musiał porządnie uszkodzić linię energetyczną. Uruchomił agregat prądotwórczy, ale on nie był podpięty do całej instalacji elektrycznej. Z tego, co zrozumiałem, to zasiliał tylko wszelakiej maści alarmy i monitoring. A i to tylko do momentu, aż nie skończy mu się paliwo.

Jan był bardzo zirytowany tą awarią. Podobnie zresztą uczestnicy. Myślałby kto, że aż tak bardzo im potrzebne światło w żyrandolach. Teraz był przynajmniej nastrój.

Drzwi skrzypnęły. Do środka wszedł Eryk, to znaczy Zygmunt. Ech, będę nadal nazywał go Erykiem. Co za dużo do pamiętania, to

niezdrowo.

Eryk zajął krzesło. Udawał, że jest skromny. Po nim, dzierząc w dłoniach płótno przedstawiające zimowy krajobraz, wkroczyła nadal utykająca Claudia.

– A gdzie wasze obrazy? – zapytała, ustawiając swój na sztaludze.

– Chyba nikomu poza tobą nie chciało się malować – powiedziała Sandra, wchodząc do pokoju. Za nią podążał Sebastian.

Brakowało tylko gospodarza. Artyści rozmawiali o głupotach. Niezwykle podniecali się tym, że niedługo wyczerpią się im baterie w telefonach komórkowych. A także tym, że do rezydencji nigdy nie pociągnięto naziemnej linii telefonicznej. Moim zdaniem, to dobrze. Wreszcie wszyscy, z Alą na czele, przestaną się wpatrywać w te małe prostokątne urządzenia, które tylko hałasują, świecą i odciągają uwagę od tego, co ważne.

Czyli ode mnie.

Nadstawiłem ucha. Na korytarzu rozległ się szmer kółek wózka inwalidzkiego i ciężkie kroki Jana. To wszystko naprawdę było bardzo ekscytujące, ale wzywała mnie drzemka. Czułem, że coraz trudniej zachować mi przytomność. Nie chciałem usypiać, bo byłem niezwykle ciekawy, co powie Śmietański. Z drugiej jednak strony, cokolwiek by powiedział, to ja i tak nie miałem na to wpływu.

Już odpływałem, kiedy Eryk pochylił się nad ramieniem Ali i wyszeptał prosto do jej ucha:

– Nie było słyhać windy. Jak on pokonał schody na wózku?

Uchyliłem oko.

– Och, bo on... – zaczęła tłumaczyć, ale w tym momencie otworzyły się drzwi, więc zamilkła.

No nie dadzą kotu pospać.

Jan wtoczył do środka wózek z gospodarzem i ustawił go przy kominku, naprzeciwko uczestników konkursu. Pan Stefan miał dziwną minę. Jakby zjadł coś zepsutego, ale w głębi duszy mu to smakowało. Ja mam tak z wodą ze słoika z oliwkami. To jest tak okropnie niesmaczne, że aż pyszne. Kiedy Ala otwiera oliwki i nie patrzy to zawsze podpijam ten płyn.

A potem udaję, że nie wiem, dlaczego mam biegunkę i czemu znowu wytarłem okolicę podogonową o dywan.

– Dobrze, to chyba musimy porozmawiać – oświadczył suchym tonem Śmietański.

Jan ustawił się za jego plecami jak ochroniarz. Pan Stefan spojrzał karcąco na Alę, więc zdjęła nogi z krzesła. A przy okazji o mało mnie niechcący nie zrzuciła na ziemię! Skandal. Alu, jednak słaby z ciebie kot. Prawdziwy przedstawiciel tego cudownego gatunku nigdy nie wstaje z miejsca, bo ktoś na niego krzywo spojrzał. Ba! My nie wstajemy, nawet jak nas się złośliwie dźga palcem! Wstaje się tylko wtedy, gdy przeciwnik używa brutalnej siły i spycha z miejsca albo, co gorsza, zaszeleści foliową torbą.

Brr. Nie ma nic gorszego od tego dźwięku.

No chyba że odkurzacz. Odkurzacz jest gorszy.

– Chciałam zauważyć, że tylko ja namalowałam zimowy krajobraz – oznajmiła zadowolona z siebie Claudia i wstała z krzesła, żeby podejść do sztalugi.

Śmietański spojrzał na obraz nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Kazał pan dzisiaj namalować – wyjaśniła znacznie mniej pewnym tonem.

– Ach, tak, tak – odpowiedział i machnął niedbale ręką. – Śliczny.

Claudia wygięła usta w podkówkę i opadła z powrotem na krzesło. Obejrzała się na Sebastiana, ale nie miała co liczyć na pocieszenie z jego strony. Tan wpatrywał się w pana Stefana i nawet nie mrugał, taki był skupiony.

– Dobrze, chyba czas odkryć wszystkie karty. Najpierw konkurs. Nie powiem wam, kto go wygrał.

Zawiesił głos i potoczył spojrzeniem po twarzach uczestników. Nie wiem, jakie mieli miny, bo nie spuszczałem wzroku z Kowalskiego. Oddychał głęboko. Skrzydełka jego nosa unosiły się rytmicznie. Od czasu do czasu drgał mu nerwowo mięsień na policzku. Poza tym zaciskał i rozluźniał pięści. Kilka razy przestąpił też z nogi na nogę. Wyglądał, jakby szykował się do walki.

Albo jakby chciało mu się sikać.

– A nie powiem wam dlatego, że nie ma żadnego konkursu. Nigdy nie było.

– Co? – wyrwało się mojej Ali.

Tak się raziłem jej nagłym krzykiem, że zerwałem się na równe nogi i niemal spadłem na podłogę. Święta Bastet, jak można kota tak

straszyć?

– Uch, widzę, że koniecznie musiała pani złamać zasady i wyprowadzić to zwierzę z pokoju – wycedził pan Stefan.

– A jakiegokolwiek zasady tu obowiązują? – prychnęła Ala wytracona z równowagi. – Właśnie oświadczył nam pan, że konkurs został odwołany.

– Och nie, moja droga. Źle się zrozumieliśmy. Nie mam czego odwoływać, bo konkursu nigdy tak naprawdę nie było. To tylko zgrabny pretekst, żeby zwabić was wszystkich do mojego domu.

– Brzmi to niepokojąco – mruknęła.

Eryk pochylił się na swoim krześle i oparł łokcie na kolanach. Jego głowa znajdowała się teraz idealnie na wysokości mojego wzroku. Miałem nadzieję, że zabrał ze sobą pistolet, bo przydałby nam się teraz kompetentny policjant.

– Tak, jednak najbardziej niepokojąco powinno to brzmieć tylko dla jednej osoby. Reszta z was to niewinne owieczki, które niechcący wpadły w moje sidła.

– Zaraz, to nikt nie dostanie spadku? – zapytała zdruzgotana Claudia.

– Nie, panno Struwieńska. Chyba musiałbym być kompletnie szalony, żeby oddawać swój majątek obcej osobie wyłonionej w ramach byle jakiego konkursu. Co za nedoręczność! Konkurs był całkowicie zmyślony.

Jak dla mnie, to on jest i tak kompletnie szalony, ale co ja się tam znam na ludzkim szaleństwie?

– Powiedziałem wyraźnie, że konkurs był tylko pretekstem. Jak wicie, albo i nie, mój dom to moja twierdza. Dosłownie. Nie wpuszczam nikogo, ponieważ trzymam tutaj swoje zbiory sztuki, a niektóre obrazy są naprawdę bezcenne. Kilka lat temu zawiesiłem na kołku swoją karierę. Praca marszanda wymagała ode mnie zbyt wiele wysiłku. Postanowiłem przejść na w pełni zasłużoną emeryturę. Jednak okazało się, że ktoś ma do mnie bardzo duży żal.

Jan nie przestawał uważnie obserwować uczestników. Nie wiem, czego się spodziewał. Że jedno z nich nagle zamachnie się pędzlem na Śmietańskiego ze złości za to, że zrobił ich wszystkich w konia?

– Ktoś od kilku lat usiłuje mnie okraść. Jest na tyle sprytny, że nawet nie znam jego płci. Wiem natomiast, że... jest ze mną



spokrewniony. Niedługo po wojnie przydarzył mi się drobny wypadek. Pewna bezczelna Francuzka o zbyt lekkich obyczajach postanowiła zająć ze mną w ciążę w nadziei na szybki i łatwy dostęp do posiadanych przeze mnie pieniędzy. Na szczęście nie zdołała mi udowodnić ojcostwa. Nie wiem, jak potoczyły się dalej jej losy. Niemniej bękart także się rozmnożył. Ta pomyłka młodości najwyraźniej będzie mnie prześladować aż do śmierci.

Tak samo jak Jan, próbowałem wyczytać coś z twarzy zebranych. Nie. Nie udało mi się. Wszyscy wydawali się równie zaskoczeni.

– Potomek mojego rzekomego bękartu usiłował mnie kilkakrotnie okraść – kontynuował Śmietański. – Ale Jan potrafi chronić mienie. A ja, cóż, byłem naiwny. Miałem nadzieję, że złodziej się zniechęci i da mi spokój. Myliłem się. Zmieniła się także stawka. Najwyraźniej zgniły owoc moich lędźwi postanowił odziedziczyć cały mój majątek. Nie wiem, w jaki sposób zamierzał udowodnić po moim zgonie, że jest ze mną spokrewniony. Nie ma żadnego dowodu na pokrewieństwo. Niemniej postanowił przyspieszyć moją śmierć. Dwukrotnie ktoś próbował odebrać mi życie.

Tylko dwa razy i już robi aferę? Ja za każdym razem, kiedy idę do weterynarza, nie jestem pewien, czy wrócę o własnych siłach.

– DWUKROTNIK! – krzyknął Śmietański.

Wszyscy drgnęli przestraszeni, a Sandra aż podskoczyła na krześle, które zaskrzypiało ze starości. Nawet Jan lekko uniósł głowę, zaskoczony donośnym wrzaskiem, który wyrwał się z gardła jego pracodawcy.

– Być może nie chce wcale odziedziczyć pieniędzy, tylko kieruje nim ślepa żądza zemsty. Jedno wiem na pewno, potomek bękartu nic nie dostanie. Już ja o to zadbam. Ale wróćmy do tematu. Zorganizowałem konkurs, ponieważ postanowiłem raz na zawsze rozprawić się z tym złodziejem. Wykazał się już wcześniej bogatą wyobraźnią, więc byłem przekonany, że poradzi sobie z eliminacjami i znajdzie się wśród dziesięciu wybranych przeze mnie osób. Jan bardzo dokładnie prześwietlił waszą przeszłość. Wszyscy wydawaliście się czyści jak łąza. A jednak złodziej się przedostał.

Zerknąłem z ukosa na Jana. Nie był aż tak kompetentny, jak uważał Śmietański. Nie odkrył, że Eryk dostał się tu podstępem.

A skoro jemu się to udało, to złodziej też mógł stworzyć fałszywą tożsamość.

Nieładnie, Janie, nieładnie.

– Coś zginęło? – zapytał Ericsson.

– Mnie nic nie zginęło – odparł Śmietański. – Ale ten złodziej jest na pewno wśród was.

– Skąd takie przypuszczenie? – Eryk nie ustępował.

– Ponieważ zaczął eliminować innych uczestników, żeby zwiększyć swoje szanse. Chciał mieć pewność, że zostanie ostatni i wygra.

– Eliminować? – zapytała Ala. – Przecież wszyscy sami wyjechali.

Śmietański wykrzywił usta pod swoim zacnym wąsem. Przez chwilę milczał. Zastanawiał się, co ma powiedzieć.

– Poza panem Emilem nikt stąd nie wyjechał – oświadczył w końcu.

– Jak to? – zapytała Claudia.

– W związku z tym kieruję do państwa jedno ważne pytanie... Kto z was jest mordercą, który w moim domu pozbawił życia kilka niewinnych osób?

## Rozdział 27. Napędzić komuś kota

Cisza w bibliotece się przedłużała. Nie miałem pewności, czy zadanie tego pytania było mądre. Gdybym to ja był mordercą, za żadne skarby świata sam bym się nie przyznał. To niedorzeczne.

– Kto umarł? – zapytał Eryk.

Bezwiednie zmienił ton głosu. Brzmiał teraz ostro i napastliwie. Gdzieś zniknęło całe dobroduszne ciepło, które było słycać wcześniej w niemal każdej jego wypowiedzi.

– Wszyscy poza Emilem – odpowiedział Śmietański.

– Cz-cz-cztery osoby? – Claudia niespodziewanie zaczęła się jąkać.

– Jan powiedział mi dzisiaj, że niepotrzebnie zdradzam się ze wszystkim. Wytypował wśród was najbardziej podejrzaną osobę. Założyliśmy się nawet, kto jest mordercą – zaśmiał się chrapliwie Śmietański.

Miałem mętlik w głowie. Przecież sądziłem, że mordercą jest Jan Kowalski! W końcu wniósł do bunkra ciało martwego grafika komputerowego. To nie on go zastrzelił? Wyraźnie słyszałem strzał. Brzmiał identycznie jak na filmach, a ja raczej się nie myliłem.

Och.

Odwróciłem się powoli w stronę Eryka, który przecież miał pistolet! Mężczyzna poczuł na sobie mój wzrok. Najwyraźniej zaswędziało go poczucie winy, bo także się odwrócił. Przez dłuższy moment wpatrywał się bezmyślnie w moje oczy. Potem na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

Co? Nie przypuszcza, że kot cię przejrzy na wylot, tak? Usiłowałem mu to przekazać telepatycznie, mam nadzieję, że zrozumiał.

– Jeżeli tu jest morderca, to czemu nie wezwał pan policji? – zapytała Sandra.

– Chcę się z nim sam rozprawić – odpowiedział złowieszczo Śmietański.

Eryk skierował wzrok na niego.

– Przez to, że nie powiadomił pan odpowiednich służb, zginęły cztery osoby – zauważył sucho. – Można było tego uniknąć.

– Można uniknąć teraz dalszego rozlewu krwi, jeśli morderca się ujawni.

Oczywiście nikt się nie przyznał.

– Dobrze, dość tej szopki – warknął pan Stefan.

Oparł obie dłonie na podłokietnikach. Zdjął stopy z podstawek i dźwignął się do pionu.

Kilka osób nabrało głęboko powietrza. Mnie to nie ruszało. Widziałem wcześniej, jak chodzi.

Śmietański sięgnął do twarzy i zerwał z niej wąsy. Aż wyrwało mi się miauknięcie. Takie piękne wąsy... BYŁY SZTUCZNE?! Ale jak to? Czemu?

Pod nosem pana Stefana pozostał czerwony ślad po kleju, a także blizna na górnej wardze.

– To jak? Kto z was jest złodziejem i mordercą? – zapytał. – Próbowaleś mnie zabić już dwukrotnie. Po raz pierwszy, strasząc mojego konia podczas przejażdżki, a po raz drugi, strzelając do mnie z ukrycia. Jak widzisz, na nic się zdały twoje próby.

Dotknął twarzy.

– Chociaż niewiele brakowało, żebyś mi odstrzelił głowę. Gdybym się nagle nie uchylił z powodu przelatującej obok mnie osy, leżałbym już martwy.

Zachowywał się jak aktor w teatrze. Co prawda sam nigdy w żadnym nie byłem, ale moja ukochana czasem oglądała Teatr Telewizji. Tam też się tak osobliwie zachowywali. Ciekawe, ile razy ćwiczył tę przemowę przed lustrem?

Pan Stefan podszedł żwawym krokiem w stronę regału z książkami. Zmierzył poważnym spojrzeniem gablotę z Wagnerem. Pogładził czule szkło.

W sumie to trochę mu zazdrościłem. Wyglądał na bardzo starego. Miał mnóstwo zmarszczek. Cały był jakiś taki zasuszony. Mimo to trzymał się prosto, a kiedy przemierzył bibliotekę, to było widać, że robi to z werwą. Też chciałbym się tak zestarzeć za jakieś cztery lata.

Zupełnie mi nie przeszkadzało, że udawał sparaliżowanego. W końcu każdy ma prawo do swoich małych dziwactw. Ale jestem

oburzony, że zwiódł mnie sztucznymi wąsami. Były takie piękne!

– To jak? Ujawnisz się?

Nadal nikt się nie poruszył. Śmietański skinieniem głowy dał znak Kowalskiemu. Ten sięgnął pod połę marynarki i z kabury wyciągnął pistolet. Odbezpieczył go i wycelował w Claudię. Czemu akurat w tę dziewczynę? Obstawiałbym, że dlatego, iż siedziała najbliżej.

Poza tym była irytująca. Nie tak bardzo jak świętej pamięci Konrad, ale też dało się jej słuchać. Wiecznie jej się coś nie podobało.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Jej dolna warga zaczęła drżeć. Wkrótce drzenie przeniosło się na podbródek, a następnie opanowało całe jej ciało. Nagle zerwała się ze swojego miejsca i rzuciła w kierunku drzwi. Zamiast pociągnąć je w swoją stronę, pchała je na zewnątrz.

– Pani Claudio... – powiedział Śmietański i urwał.

Struwińska w końcu poszła po rozum do głowy i zamiast pchać drzwi, pociągnęła je. Mimo bolącej nogi wybiegła na ciemny korytarz. Jan spojrzał na swojego pracodawcę. Ten skinął głową.

– Przyrowadź ją z powrotem – polecił.

Jan skrzywił się, ale nic nie powiedział. Złapał za jedną z lamp i ruszył niespiesznie śladem Claudii. W sumie miał rację. Tu nie było dokąd uciekać. Przecież za oknem znowu szalała śnieżycą.

Usłyszeliśmy trzask otwieranych drzwi. Przeciąg musnął moje futro. Wyszła? Naprawdę? W krótkim rękawku?

Kowalski westchnął ciężko. Akurat do do drzwi. Chyba nie miał ochoty wychodzić za nią na dwór.

Nie zdążyłem się porządnie przeanalizować zachowania Struwińskiej, kiedy do naszych uszu dotarł jej krzyk. Kowalski przystanął zaskoczony. Odwrócił się do nas i wzruszył ramionami. Śmietański bez słowa ruszył szybkim krokiem w ślad za Janem. Na szczęście Ala także była ciekawa, co się dzieje. Wzięła mnie na rękę i poleciała za nimi. Pozostali artyści, widząc, że ona nie zamierza w bibliotece czekać na rozwój wypadków, także wstali.

Prowadził nas mroźny przeciąg. Claudia pobiegła prosto do drzwi wejściowych. Spanikowana wyskoczyła na dwór i nawet ich za sobą nie zamknęła. Byłem zdegustowany. Co ona? W tramwaju mieszka?

Taki ziąb bezmyślnie wpuszczać do środka. A Śmietański przecież oszczędza na ogrzewaniu. Przez nią będzie tu jeszcze zimniej.

Jeśli się przeziębę, znowu będę musiał jechać do weterynarza. W moim wieku trzeba na siebie uważać!

Ala zawinęła mnie w poły swojego swetra i wyszła na zewnątrz, a tam wpadła niemal na plecy Kowalskiemu. Chwilowo oślepiiony grubym splotem jej kardigana nie wiedziałem, co dokładnie zobaczyła, ale nabrała głęboko powietrza i jęknęła:

– O Jezus!

Tupot stóp powiedział mi, że inni także dotarli już na ganek.

– Ja cię kręcę... czarna komedia... – Dobiegł mnie lekko wstrząśnięty głos Sandry.

– Trzeba wezwać pogotowie! – warknął Eryk.

Zacząłem się irytować. Też chcę zobaczyć!

Udało mi się pokonać duszący materiał i wystawiłem głowę na mróz. Zimno od razu zapiekło mnie w uszy. Poczułem, że na moich wibrysach osadza się lód. Katar miałem jak w banku.

Mimo to nie żałowałem, że naraziłem się na zimno, bo widok faktycznie był tego warty. Claudia chyba zapomniała, że na ganek prowadzi kilka stopni. Albo nawet i o tym pamiętała, tylko po ciemku nie zobaczyła, że są teraz przykryte śniegiem i warstwą lodu. Jan z jakiegoś powodu nie posypał ich solą i piaskiem. Być może założył, że dzisiaj nikt nie będzie już wychodził, a w nocy śnieg i tak wszystko przysypie.

Dziewczyna z dredami leżała w białym puchu u podnóża schodów. Teoretycznie powinna wyjść z upadku bez żadnego szwanku. Stopni nie było dużo, dodatkowo gruba warstwa śniegu zamortyzowałaby upadek. Jednak pech chciał, że lecąc w dół, Claudia uderzyła głową o kamienną donicę, w której latem pewnie rosły kwiatki, ale teraz wypełniał ją tylko śnieg.

Wylądowała na plecach. Jej głowa przekrzywiła się trochę nienaturalnie w bok. Spomiędzy dredów powoli wyciekała gęsta krew. Była jeszcze ciepła, więc rozpuszczała śnieg, gdy tworzyła małe jezioro, w którym tonęły różnokolorowe strąki malarki.

Chwila szoku minęła. Jan bardzo ostrożnie zszedł po schodach. Ukucnął obok Claudii i uważając, żeby nie poplamić sobie butów

krwią, sięgnął do jej szyi. Przycisnął palce gdzieś pod żuchwą i czekał, patrząc bezmyślnie w przestrzeń.

Nie wiem, po co szukał pulsu. Przecież gołym okiem było widać, że dziewczyna już nie wstanie. Leżała z otwartymi oczami i nie mrugała. A ludzie, w przeciwieństwie do kotów, nie potrafią nie mrugać.

W końcu zabrał rękę i pokręcił głową. Śmietański westchnął ponuro.

– Masz ci los – mruknął.

– Trzeba wezwać policję! – krzyknął Eryk. – Niech nikt niczego nie dotyka!

– Obawiam się, panie Ericsson, że się nie dodzwonimy. W czasie opadów, czy to śniegu, czy deszczu, i tak zwykle słaby sygnał telefonii komórkowej znika tutaj doszczętnie – powiedział pan Stefan. – Poza tym śnieg w kilkanaście minut przykryje wszystkie ślady, które mogłyby interesować policję. Proponuję, żebyśmy wrócili do dworu, bo zaraz się przeziębę.

Odwrócił się na pięcie i skierował niespiesznie do wnętrza.

– Zaraz! – zawołała Ala. – Zostawimy ją tutaj?

Jan wzruszył ramionami.

– Zimno jak w lodówce. Jeśli weźmiemy ją do domu, to będzie się rozkładać – wyjaśnił rzeczowo.

– Ale to nasza koleżanka – próbowała protestować moja ukochana.

– Szybko zacznie śmierdzieć – odparł ze znanstwem Jan.

Pan Stefan zatrzymał się w drzwiach. Zadrżał.

– Skończcie już te jałowe dyskusje – nakazał niezadowolonym tonem. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Podejrzewam, że niestety panna Struwieńska nie była złodziejem i mordercą.

Nikt nie zareagował, więc sam sobie odpowiedział:

– A szkoda, byłoby po problemie...

## Rozdział 28. Nie ma kota, myszy harczą

Wszyscy pogrążeni w grobowych nastrojach zasiedli w bibliotece. Tylko ja nie byłem pogrążony. Byłem bardzo mocno zirytowany całą tą sytuacją. Po pierwsze, wróciłem przemarznięty. Koty nie lubią marznąć. My zdecydowanie wolimy przebywać w pobliżu kaloryferów, pieców oraz ludzkich kolan. Po drugie, zrobiłem się głodny. Była już zdecydowanie pora kolacji. Żołądek mi się skręcał w ciasny supełek. Było to bardzo niemiłe uczucie.

A całkowicie popsuł mi humor pan Stefan, który miał czelność podjąć nas w fotelu.

Miałem serdecznie dość pobytu w tym ponurym gmaszysku. Pomyślałem, żeby tu przyjechać i wziąć udział w konkursie, był doprawdy bezsensowny. No ale co zrobić? Kobieta się uparła. Ja od samego początku miałem złe przeczucia co do tej koperty z zaproszeniem. Jakoś tak podejrzenie śmierdziała.

– Dobrze, w takim razie wróćmy do przerwanej rozmowy – powiedział Śmietański. – Wiem, że ktoś z was jest mordercą. Znudziło mi się typowanie. Poza tym mój ochroniarz, jak się okazuje, nie miał zbyt dobrego celu.

Pełen pretensji ton nie zrobił najmniejszego wrażenia na Kowalskim. Nie przestawał przewiercać wzrokiem artystów.

– Proponuję, żebyście to wy pobawili się w detektywów i powiedzieli mi, kto jest tym złym.

Obejrzałem się na Eryka. Ja już miałem swój typ.

– Musimy zawiadomić policję – powiedział Ericsson.

– Nikogo nie będziemy na razie zawiadamiać – zaprotestował Śmietański.

– Ma pan na terenie swojej posiadłości pięć zmarłych osób i odmawia pan wezwania odpowiednich służb? – wycedził blondas.

– Ależ nie odmawiam. Po prostu nie zgadzam się, aby przyjechali zbyt szybko – wyjaśnił gospodarz. – Na moje szczęście warunki atmosferyczne sprzyjają mojemu małemu śledztwu.



– Nie zamierzamy tu siedzieć zamknięci z potencjalnym mordercą – oświadczyła Ala.

Stała ze mną najdalej, jak tylko mogła, od innych osób. Z pewną fascynacją zauważyłem, że nie ona jedna poczuła potrzebę odseparowania się od podejrzanych, a także od Jana. Być może wynikało to z tego, że Kowalski miał teraz taką minę, jakby był gotów w każdej chwili rzucić się z gołymi pięściami na mordercę.

Sebastian Tan oparł się o parapet i rzucał wszystkim wrogie spojrzenia. Sandra straciła pewność siebie. Jej oczy jakoś tak podejrzanie błyszcząły. Poza tym nerwowo szarpała palcami za kolczyk w wardze. Zaraz go niechcący wyrwie.

– Panno Nawrocka, wydaje mi się, że nie mają państwo wyboru – powiedział pan Stefan. – Nie wiem, kto z was jest złodziejem, więc zwrócę się do wszystkich. Jesteście w moim domu, na mojej ziemi. Panują tu moje zasady. Nie pozwolę robić z siebie durnia. A tym bardziej nie pozwolę się zastraszać. Obecnie jesteśmy odcięci od świata zewnętrznego, ale to wcale nie daje wam przewagi. Przewagę mam ja, bo jesteśmy na moim terenie.

Ziewnąłem. Chyba próbował być elokwentny jak bohaterowie w filmach, ale mnie jedynie znudził.

– Gdy tylko dowiem się, kim jesteś, to będzie twój koniec – rzucił jeszcze.

– Co pan zamierza zrobić? – zapytał Eryk.

– Zamierzam definitywnie zakończyć tę znajomość.

Znaczy co? Chce go zabić? A co z nami? Przecież powiemy o tym policji od razu, jak tylko się stąd wydostaniemy.

– I nikt mi w tym nie przeszkodzi – dodał.

No dobrze, to zabrzmiało już trochę złowieszczo.

Wtuliłem się w Alę. Proponuję, żebyśmy się zamknęli w sypialni i poczekali na odwilż. Mamy jeszcze trochę moich pasztetów. Jeśli będziemy je racjonalnie dzielić, to może przetrwam kilka dni, a Ala schudnie. Zawsze powtarza, że mogłaby stracić co nieco na wadze, tylko ciągle brakuje jej motywacji. Zamknięcie się w sypialni w obawie przed mordercą to chyba doskonały powód do głodówki.

Śmietański wstał i ruszył do drzwi. Jan, niczym cień, nie odstępował go na krok.

– Dzisiaj nie ma kolacji – oznajmił gospodarz na odchodne. – Jeśli jesteście głodni, to sami sobie coś przygotujcie. Liczę, że jutro rano powiecie mi, kto z was jest mordercą.

I wyszedł.

Miauknąłem, ale moja ukochana zdawała się w ogóle tego nie usłyszeć. Wiedziona jakimś niezrozumiałym impulsem podeszła do Eryka.

Nasyczałem na niego, ale tu także nie spotkałem się ze zrozumieniem. Potężny policjant chyba nawet tego nie usłyszał.

– Czy to wszystko prawda? – cicho zapytała Ala. – Rzeczywiście oni nie żyją?

– Stary sukinsyn – warknęła Sandra.

Nie jestem pewien, czy to była odpowiedź na pytanie mojej pięknej, czy wniosek Sandry po dzisiejszym wieczorze. Dziewczyna pokręciła jeszcze kilka razy głową, prowadząc jakiś wewnętrzny dialog, i wyszła.

Mogę się założyć, że zamknie się w sypialni.

Sebastian nic nie powiedział. Nawet na nas nie spojrział. Po prostu opuścił bibliotekę. On pewnie też poszedł się schować.

Tylko my zostaliśmy jak ostatnie sieroty tuż obok człowieka, który – jak wszystko na to wskazuje – zastrzelił grafika. Miauknąłem.

– Już, kochanie, spokojnie, zaraz wrócimy do pokoju i dam ci jeść.

Ta znowu o jedzeniu. To znaczy nie mam nic przeciwko, bo jestem głodny, ale tym razem chodziło mi o coś zupełnie innego. Jeszcze chwila i wyjdzie na to, że za każdym razem, gdy miauczę, to chodzi mi o jedzenie.

A to nieprawda. Raczej. Chyba...

– Nie mieści mi się to w głowie – powiedział Eryk. – Wiedziałem, że Śmietański jest bezwzględny. Nie doszedłby do tego wszystkiego, gdyby taki nie był. Jednak nawet nie podejrzewałem, że tak sprawy się potoczą...

– Ta cała przemowa... Brzmiała, jakby zamierzał osobiście wymierzyć sprawiedliwość – rzekła Ala.

– Też mam takie wrażenie – zgodził się. – Nie możemy na to pozwolić.

Pokiwała głową i zapytała:

– Jak myślisz? Kto jest mordercą? Sandra czy Sebastian? Jak dla mnie to ani ona, ani on.

Eryk przyjrzał jej się uważnie.

– Jeszcze jesteś ty – stwierdził.

Prychnąłem. Moja ukochana na pewno nie jest w żaden sposób spokrewniona z tym bezwąsłym wariatem.

– I ty – odbiła piłeczkę. – Skąd mam wiedzieć, czy na pewno jesteś policjantem? Może cała ta gadka o zmienionej tożsamości miała wprowadzić mnie w błąd? Może zmieniłeś tożsamość, bo jesteś mordercą?

– Ciii! Bo zniszczysz moją przykrywkę – syknął i złapał ją za ramię.

Sięgnąłem najdalej, jak mogłem, i zatopiłem zęby w jego przedramieniu. Wrzasnął i usiłował odsunąć rękę, przez co moje ostre kły rozorały mu ramię. Szarpnął się tak mocno, że gdybym go nie puścił, to wyrwałby mnie z ramion Ali.

– Ja pierdołę! – ryknął i przycisnął rękę do piersi.

Krew z rozerwanej rany wartko płynęła mu po skórze i wsiąkała w szarą bluzę. Ala przytuliła mnie do siebie. Była przerażona. Syknąłem jeszcze, żeby sobie nie myślał, że jest bezpieczny.

– Kurwa, to naprawdę kot obronny – mruknął.

Na jego ustach pojawił się delikatny uśmiech.

Ranki na jego przedramieniu naprawdę nie były duże. Nie wiem, czemu aż tak histeryzował.

– Nie podchodź do mnie! – zastrzegła Ala.

– Nie jestem mordercą. Wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą. Rozumiem, że się boisz. Ja na twoim miejscu też bym się bał. Szczerze mówiąc, to nawet na swoim miejscu mam obawy, czy sobie z tym wszystkim poradzę. Nie na to się pisałem. Miałem tylko zbierać po cichu dowody.

Moja ukochana odetchnęła. Chyba zaczęła mu wierzyć. Ja tam nadal mu nie ufałem.

– To co teraz?

– Teraz muszę opatrzyć rękę.

– A potem?

– Potem chciałbym się przejść do kuchni.

– Idę z tobą!

– Mowy nie ma.

Nabrała głęboko powietrza. Na jej policzkach pojawił się rumieniec gniewu.

– Nie zostanę sama. Bezpieczniej będzie w grupie!

– No, chyba że to ja jestem mordercą – zauważył.

– Albo ja – odpowiedziała.

## Rozdział 29. Trafiło się ślepemu kotu ziarno

Było ciemno. Za ciemno nawet dla moich oczu. Ala zabrała ze sobą komórkę, ale nie chciała używać zainstalowanej w niej latarki. Bała się, że za szybko wyczerpie jej się bateria. Na szczęście Eryk zabrał ze sobą dwie normalne latarki.

– A co z agregatem? – zapytała.

Siedzieli z Erykiem naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Zjedli kolację, a teraz popijali mocną kawę. Ja obserwowałem ich zza kratki wentylacyjnej. Oczywiście moja ukochana nie wpadła na pomysł, żeby mnie ze sobą zabrać. Rozumiem, że bała się, że mogłoby mi się stać coś bardzo złego, ale – przepraszam bardzo – jak niby teraz sama znajdzie przejście? Przecież mogłem jej pokazać, gdzie ono jest.

– Nie działa – odpowiedział.

– A skąd wiesz?

– Poszedłem do Jana po środki dezynfekujące do rany. Obśmiał się, że pogryzł mnie kot. Zabrał mnie do pomieszczenia technicznego pod schodami – odpowiedział policjant.

– Pomieszczenie techniczne pod schodami? – Ala była zdziwiona.

Ja też nie wiedziałem, że istnieje coś takiego. Musiało nie mieć żadnej wentylacji, bo przecież bym je wcześniej zauważył.

– Tak... W środku siedział Jan Nowak przed ekranami kilkunastu telewizorów. Miniaturowy pokoik. Mieściło się w nim tylko biurko, dwa krzesła i te ekrany rozwieszane na każdym możliwym fragmencie ściany. Duszno i śmierdząco. Nowak wyglądał, jak podstarzała wersja Harry'ego Pottera.

Ala parsknęła śmiechem. Ja nie zrozumiałem dowcipu. Jaki Harry?

– Obaj mnie wyśmiali, że kot mnie pogryzł. Postraszyli mnie psami, które ponoć spuścili na noc. Powiedzieli, że są szkolone, żeby zagryźć...

– Och, cudownie. – Część pewności siebie natychmiast wyparowała z Ali. Nie lubiła psów. Jak ja. A nie mówiłem, że

jesteśmy bratnimi duszami?

– W każdym razie, wracając do tematu, kiedy psikał mi rany jakimś specyfikiem, wszystkie ekrany zgasły. Obaj wpadli w panikę. Wywalili mnie stamtąd, jeden od razu poleciał sprawdzić, co z agregatem. Trochę się pokręciłem obok. Podobno ktoś nasypał piachu do baku i agregat zdechł. Pewnie i tak długo by nie pociągnął bez dolewania paliwa. No, chyba że mieli zachomikowane kilka kanistrów.

– To niepokojące – powiedziała.

– Co konkretnie?

– To, że ktoś sabotuje monitoring. Do tej pory mogłam jeszcze udawać, że to wszystko jest jakąś pomyłką. Że tak naprawdę nikt nie zginął, że oni wyjechali, a Śmietański robi nas wszystkich w konia, bo jest starym socjopata, który lubi dręczyć ludzi psychicznie... A teraz? Powoli to wszystko staje się coraz bardziej realne. Trochę się boję. Chociaż nie, źle się wyraziłam. Ja się bardzo boję!

– Spokojnie, damy sobie radę! – Poklepał ją pocieszająco po dłoni, a ja poczułem, jak sierść jeży mi się na grzbiecie.

Za lekko go ugryzłem. Muszę poprawić przy następnym spotkaniu.

– A co, jeśli nas też zamordują? Nie możemy się stąd wydostać. Jeśli spróbujemy ucieczki, to zamarzniemy w zamieci. Jeśli tu zostaniemy, to albo zabije nas morderca, albo któryś z Janów.

Któryś z Janów? Nic nie rozumiałem. Dlaczego Janowie mogliby chcieć się nas pozbyć? To niedorzeczne.

– Może nie – odpowiedział, ale w jego głosie nie było nawet grama szczerości.

– Śmietański nie wygląda mi na kogoś, kto wypuści świadków.

Zaraz, zaraz! Poczułem, jak ogarnia mnie panika. Rozejrzałem się po ciemnym tunelu. Kiedy wysiadł prąd, zgasły też świetlówki przy schodach, przez co wpadał tu jedynie blask z kuchni. A bądźmy szczerzy, latarki Eryka do najmocniejszych nie należały. Dałbym bardzo dużo za możliwość wejścia do jakiegoś kartonu. Szkoda, że żadnego tutaj nie było. Czułem się bardzo nieswojo, kiedy siedziałem taki odsłonięty.

Tak się zdenerwowałem, że aż miauknąłem. Od razu zacisnąłem zęby ze strachu. Przecież nie chciałem się zdradzać Ali, że

wyszedłem z sypialni!

Oczywiście mnie usłyszała. Uniosła głowę i zaczęła się rozglądać.

– Słyszałeś?

– Co?

– Wydawało mi się, że słyszę miauczenie Lorda – wyjaśniła.

– Coś pisnęło, ale może to przeciąg albo rury?

– Nie, to na pewno było miauknięcie.

Wstała od stołu i poświeciła latarką po kątach.

– Ten cholernik musiał przedrzeć się przez moją zaporę z walizki i znowu wszedł do wentylacji – powiedziała z wściekłością.

Oj, nie lubię, kiedy Ala się na mnie złości. Zawsze jest mi wtedy bardzo przykro.

– Lord? – zawołała.

Przezornie milczałem, udając, że wcale mnie tu nie ma.

– Lord? Jesteś tu.

Nie, wcale nie.

– Lord? Kici, kici! Kochanie? Loooooord?

W jej głosie pojawiła się słodycz zapowiadająca smakołyki. Zawsze tak mnie wołała, gdy miała dla mnie coś pysznego. Już ja ją dobrze znam. Używała tego głosu także wtedy, gdy zamierzała zamknąć mnie w transporterze, bo mieliśmy jechać do weterynarza. Teraz użyła go tylko po to, żeby mnie znaleźć.

Nie dam się zrobić na szaro. Idę się schować.

Eryk podniósł się z krzesła. Snop światła jego latarki krążył przez chwilę po ścianach, aż trafił prosto w kratkę wentylacyjną. Poczulem, jak blask wwiercił mi się w oczy. Zabolalo tak bardzo, jakby co najmniej przebił się na wylot przez moją czaszkę. Zamknąłem powieki i wycofałem się na ślepo.

Nic nie widzę! Nic nie widzę! Straciłem wzrok! Pomocy!

– Znowu miauczy! – zawołała.

– Stamtąd! Tak, to dobiega z wentylacji. Tutaj.

Usłyszałem, że głos Eryka staje się coraz głośniejszy. Przysięgłem sobie, że ugryzę faceta tak głęboko, aż poczuję jego kość pod zębami.

– Może tu jest jakieś przejście. Poszukaj na ścianie! – rozkazał Ali.

– Kotku? Kocurku kochany, jesteś tam? Nie ruszaj się. Zaraz cię znajdę! Boże, jeszcze się zgubi. Musimy się tam szybko dostać.

Wzrok powoli mi wracał. A już byłem przekonany, że straciłem go na zawsze.

– Lord! Lord! Kochanie! Kici, kici, kici! Odezwij się, skarbie! Lordzik! Lordunio!

Serce zabiło mi żywiej. Jak ona się o mnie martwiła! Jak ona mnie kocha! Święta Bastet, zapragnąłem natychmiast do niej pobiec. Posłusznie zamiauczałem.

Eryk ukucnął przy kratce wentylacyjnej i zaświecił do środka latarką.

– Widzę go! Siedzi tam – oznajmił.

– Trzeba odkręcić kratkę. Masz śrubokręt?

Parsknął śmiechem.

– Niby skąd? Spokojnie, spróbujemy nożem.

Zaraz, zaraz. Po co będą otwierać kratkę? Przecież obok jest wejście do tunelu. Szukali go podobno. Wstałem i podszedłem w jego stronę.

– O nie, idzie gdzieś! – zawołała Ala. – Lord! Lordzik! Wróć tutaj, skarbie! Lorduś, Lorduś, słyszysz mnie? Kici, kici, kici!

– Mam nóż!

Usiadłem naprzeciwko przejścia i zamiauczałem. Miałem nadzieję, że przyjdą tutaj.

– Szybko! – Ala ponagliła Eryka.

Eryk, klnąc na czym świat stoi, zawzięcie manipulował nożem. Nie było łatwo, bo śrubki były z nacięciem krzyżakowym. Usłyszałem, że udało mu się odkręcić jedną z nich. Nie wiem, co zamierzali. Ja na pewno nie miałem w planach do nich wychodzić, a żadne z nich przecież się nie zmieści w wąskim otworze.

Oparłem się przednimi łapkami o drewno regału i przeciągnąłem po nim pazurami. Całkiem niezły drapak. Powtórzyłem manewr kilka razy. Muszę się przygotować do spotkania z Erykiem. Na moje zęby pewnie będzie uważał, ale może zapomni o pazurach.

Kolejna śrubka odpadła. Ala nie przestawała mnie nawoływać. Odpowiedziałem jej miauknięciem.

– Eryk, jego słyhać z za tego regału – powiedziała.

Wreszcie! Już się bałem, że nigdy się nie domyśli.

– Poczekaj, zaraz kończę – wysapał.



– Lord raczej nie przychodzi, kiedy się go woła. Nie wiem, czy zdołamy go wywabić. Chociaż jest całkiem głupiutki, może wyjdzie, gdy pomachamy mu szynką? – dumiała.

Poczułem się dogłębnie obrażony. Ja? Głupiutki? Ja im przecież właśnie drogę pokazuję. To oni są głupiutcy. I jeszcze pewnie będą myśleli, że wszystko to ich zasługa. Już ja dobrze znam ten ludzki sposób myślenia.

Wróciłem do ostrzenia pazurów. Oj, Ala, Ala... Dobrze, że jesteśmy daleko od twojej szuflady z rajstopami. Masz szczęście.

– Eryk, on drapie w drewno! – Nagle ją olśniło.

– No i?

Do niego to nie dotarło. Przewróciłem oczami. Od pierwszego spotkania wyglądał mi na tępego tłuczka. Teraz miałem bezpośredni dowód.

– Jeśli drapie w drewno, to znaczy, że jest tuż za regałem. Czyli tam nie ma ściany. To musi być przejście!

O podłogę uderzyła kolejna śrubka.

– Faktycznie! To, co? Mam już nie odkręcać?

– Nie odkręcaj. Spróbujmy przesunąć regał.

We dwoje zaczęli ciągnąć, pchać i szarpać. Byłem zde gustowany. Grafik szybciej od nich wpadł na pomysł, jak dostać się do środka. Chociaż może to dlatego, że był fanem teorii spiskowych. Miał pewnie już doświadczenie z tajnymi przejściami.

– Może trzeba za coś pociągnąć? Musi być inny sposób – wydusiła zasapana Ala.

Zaczęli przesuwać słoiki i butelki. W końcu trafili na tę, która była przytwierdzona do półki. Ja w międzyczasie o mało nie usnąłem z nudów. Regał poruszył się na niewidocznych zawiasach. Padł na mnie snop światła z ich latarek. Nareszcie!

Zamiauczałem i zatańczyłem Ali pomiędzy nogami. Usiłowała mnie złapać, ale zgrabnie się wywinąłem i podbiegłem w stronę klatki schodowej. Skoro już tu weszli, pokażę im drogę.

– Lord! Lord, łajzo jedna, wracaj tu natychmiast! – rozkazała rozgniewana Ala i rzuciła się za mną w pogoń.

Och, uwielbiam się z nią ganiać! Jest taka pocieszna, kiedy usiłuje mnie złapać. Najbardziej lubię, bawić się z nią w berka. Zabawa zaczyna się w momencie, kiedy kradnę jej wędlinę z kanapki.

Zawsze goni mnie wtedy z kuchenną ścierką. Ja wygrywam, jeśli zdążę zjeść, zanim ona mnie złapie, a ona wygrywa, jeśli wcześniej trafi mnie ścierką.

Nie muszę się chyba głośno chwalić, ale chcę, żebyście wiedzieli, że w tej konkurencji to ja jestem mistrzem. Dlatego i tym razem Ala nie miała ze mną najmniejszych szans. Poza tym nie miała ze sobą ścierki.

– Ala, czekaj! – syknął Eryk, a potem także dołączył do wyścigu.

Klatka schodowa nie była daleko, więc dotarliśmy tam całkiem szybko. Zbiegłem w dół kilka schodków i miauknąłem, żeby pokazać im, że powinni iść za mną.

– Zimno tu – powiedziała Ala.

Wciąż miała na sobie tę koszmarną sukienkę i cienki sweter. Nic dziwnego, że było jej chłodno. Zeszli za mną do piwnicy. Przez chwilę zastanawiałem się, w którą stronę ich skierować. Byłem ciekawy, co jest za drewnianymi drzwiami, ale także chciałem, żeby się dowiedzieli, że z rezydencji można się niepostrzeżenie wydostać.

Doszedłem do wniosku, że droga ucieczki jest znacznie ważniejsza.

– Lord! Kotku, nie uciekaj!

– On nas chyba gdzieś prowadzi – stwierdził odkrywczó Eryk.

Domyślny facet. Nie ma co.

Potulnie za mną podążali. Droga dłużyła mi się jeszcze bardziej niż poprzednio. Gdy stanęliśmy przed rozwidleniem tunelu, przez chwilę poczułem panikę, bo nie mogłem sobie przypomnieć, którą odnogę powinniśmy wybrać. Na szczęście obtarłem się wtedy o ścianę, więc mój zapach mógł nas dalej pokierować.

– Dokąd my idziemy? – zapytała Ala.

– To chyba jakaś droga ewakuacyjna – powiedział Eryk.

W końcu doszliśmy do metalowych drzwi. Usiadłem i przygotowałem się na pochwały. Moja ukochana czym prędzej ukucnęła i złapała mnie na ręce. Zawinęła mnie w połę swojego swetra. Od razu zrobiło mi się ciepło i jakoś tak sennie, gdy otulił mnie jej zapach.

– Głupi kot! – warknęła. – Mogłeś się zgubić.

Ja, moja kochana, się nie gubię. Nie życzę sobie takich bezpodstawnych insynuacji.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, gdybyś się zgubił, głuptasku? Zapłakałabym się chyba na śmierć! – Poczułem, jak całuje mnie w łebek.

No dobra, już się nie złościę.

– Zaglądamy do środka? – zapytał Eryk.

– Skoro już tu doszliśmy...

– Potrzyмай latarkę.

Ala skierowała snop światła na drzwi. Eryk szarpał się przez chwilę z zasuwami. Niby taki duży i silny chłop, a drzwi nie umie otworzyć. W końcu uchylił metalowe wrota. Mroźny podmuch zmroził nas do szpiku kości.

– Zostań tutaj – polecił Ali.

Na szczęście go posłuchała, bo inaczej to już w ogóle byśmy zamazli na dwa sople. Nie wiem, co on tam robił, ale bardzo długo nie wracał. Kilka razy zobaczyliśmy błysk flesza z jego komórki, kiedy pstrykał zdjęcia. Światło małej latarki, którą trzymała Ala, nie sięgało zbyt daleko, więc poza fragmentem betonowej podłogi i warstwą śniegu nie było za wiele widać. Nie rozumiem, po co Eryk robił fotografie pomieszczenia pełnego trupów.

Ludzie to są jednak dziwni.

– I co tam jest? – zawołała Ala, nie mogąc już wytrzymać niepewności.

– To stary bunkier. Chyba z czasów drugiej wojny światowej. Jest wyjście na zewnątrz. Wydaje mi się, że to taka nieformalna droga ewakuacyjna z rezydencji. A poza tym...

– Co?

Eryk wrócił do korytarza.

– Są też zwłoki.

– Czyje?

– Wszystkich, którzy rzekomo wyjechali. Nie ma tylko Emila. Śmietański ich tu położył, jedno ciało na drugim jak jakąś makabryczną kolekcję.

Ala jęknęła i zadrzała.

– Co robimy?

– Tutaj też nie ma zasięgu. Wszedłem nawet po drabinie i spróbowałem na zewnątrz. Wracamy do budynku po ciepłe

ubrania. Musimy stąd uciekać. Ten człowiek jest szalony. Nigdy sam nas nie wypuści.

## Rozdział 30. Złap kota, jeśli potrafisz

Ala i Eryk biegli. Ich kroki dudniły głucho w pustym korytarzu. Zimne dłonie mojej ukochanej ścisnęły mnie odrobinę za mocno. Miałem wrażenie, że zaraz połamię mi wszystkie kości.

Gdy dotarli do klatki schodowej, Eryk złapał ją za ramię. Oświetlił sobie twarz latarką, żeby mogła zobaczyć, że przyłożył palec do warg. Pokiwała głową i przymknęła usta, starając się cicho oddychać przez nos.

Stali przez chwilę, próbując złapać oddech. Wreszcie Eryk powoli zaczął wspinać się po schodach.

Zaraz, zaraz. To zupełnie nie tak, jak zaplanowałem. Ja jeszcze muszę zwiedzić te zamknięte pokoje! Tam musi być coś ciekawego. Modląc się do wszystkich możliwych kocich bogów, jacy kiedykolwiek istnieli, żeby Ala mi wybaczyła tę złośliwość, otworzyłem pyszczek i delikatnie ugryzłem ją w rękę. Tak naprawdę to bardziej pośliniłem, niż ugryzłem, jeśli miałbym być dokładny.

Zaskoczona takim potraktowaniem rozluźniła chwyt i mogłem się wyrwać. Upadłem na podłogę w dość niekontrolowany sposób. Zdecydowanie nie wylądowałem na czterech łapach, raczej na zupełnie innej części ciała. Mam farta, że nie jestem wychudzony, bo inaczej nieźle bym się poobijał.

Zanim Ala zdążyła mnie złapać, pobiegłem korytarzem z drzwiami. Wszystkie wyglądały interesująco. Nie mogłem się zdecydować, pod którymi usiąść.

– Eryk! – dotarł do mnie teatralny szept mojej miłej. – Kot mi uciekł.

– To go zostaw – odpowiedział zirytowany.

– Nie!

– Jak kocha, to wróci!

– Nie trafi! Wracam po niego.

Ala ruszyła moim śladem. Usłyszałem, że Ericsson mamrocze coś niewyraźnie pod nosem, ale potulnie zszedł ze schodów. Wybrałem drzwi. Pierwsze lepsze, szczerze mówiąc. Niczym konkretnym się

nie wyróżniały na tle pozostałych. Oparłem się o nie przednimi łapkami i zerknąłem zalotnie na moją ukochaną.

Zawiesiła wzrok na drzwiach.

– Wiesz, co tam jest, Lord? – zapytała. – Prowadzisz nas do kolejnych trupów?

Złapała mnie pod pachy i uniosła do góry.

– Mowy nie ma! Natychmiast stąd wychodzimy! – powiedziała stanowczo.

Zamiauczałem. Eryk jednak przypomniał sobie, że miał szukać dowodów dla policji, i śmiało sięgnął do klamki. Zmrużyłem oczy, pewien, że zaraz oślepi mnie blask złota i klejnotów.

Nic takiego jednak się nie stało. W środku było kompletnie ciemno. Na filmach skarbce zawsze są oświetlone pochodniami, żeby poszukiwacze przygód mogli być porażeni wielkością swojego odkrycia. Byłem zawiedziony. Znikąd też nie dobiegła skoczna muzyka.

Jakieś oszustwo z tym znajdowaniem skarbów.

Ericsson poświecił latarką. Całe pomieszczenie zavalone było olbrzymimi drewnianymi skrzyniami.

– Chodźmy stąd! – zaprotestowała Ala.

– Chwileczkę.

Złapał latarkę między zęby i zdjął wieko jednej ze skrzyń. W środku były pionowe przegródki. Sięgnął do jednej i wyciągnął obraz zawinięty w szmaty i folię.

– Eryku – wycodziła Ala.

W jej głosie słycać było groźbę.

Mężczyzna nic sobie z tego nie robił. Dalej odwijał obraz. A ja się pytam, gdzie klejnoty? Złoto? Brylanty? Złote kandelabry? Mam uwierzyć, że Śmietański kradł tylko obrazy? Że niby zbił fortunę na bohomazach? Obrazy już mamy w domu. Ala maluje jak szalona. Myślałem, że spadkiem mają być kosztowności...

Jeśli wcześniej byłem tylko zawiedziony, to teraz osiągnąłem stan głębokiego rozczarowania, a nawet ogarnęła mnie depresja.

Eryk skończył wreszcie walczyć z folią bąbelkową. Rozdarł ją i odwinął z fragmentu ogromnego płótna. Naprawdę ogromnego, miało dobrze ponad dwa metry długości. Naszym oczom ukazał się ciemny obraz olejny przedstawiający jakiegoś wścacha w zbroi,

z uniesioną przez wiatr peleryną. Patrzył w dal w zamyśleniu, udając że duma nad czymś bardzo istotnym.

Doskonale znałem tę minę. Kiedy Ala robi sobie zdjęcia komórką i wysyła je gdzieś, żeby inni ludzie mogli je oglądać, to też zawsze robi taką. Czasami jeszcze układa usta w dzióbek. Wąsacz nie miał dzióbka.

Z dzióbkiem byłby ładniejszy.

– To *Łokietek na Skałach Ojcowskich* Gersona – powiedziała zdumiona. – Paweł miał rację...

– Znaczący kradziony? Nie jestem na bieżąco ze wszystkimi obrazami, które zaginęły – z lekką skruchą przyznał się Eryk.

I to właśnie jego wybrało Centralne Biuro Śledcze, żeby szukał utraconych dzieł sztuki... Wstyd, panie władzo. Chociaż może wszyscy policjanci tacy są? Ja co prawda całą swoją wiedzę czerpię z telewizji, ale przecież pokazują tam chyba prawdę. Taki na przykład żandarm, który mieszkał nad morzem w Saint-Tropez – przeuroczy człowiek, ale trochę głupi. Bardzo go lubiłem. Czy to znaczy, że powinienem lubić też Eryka?

Nie, chyba nie. Bez przesady.

– Tak, zaginał po drugiej wojnie światowej – odpowiedziała.

– Cudownie!

Zaczął jak szalony pstrykać zdjęcia.

– Idź zobaczyć, co jest w pozostałych pokojach – rozkazał Ali.

– Eryk...

– Proszę. To może być jedyna szansa.

– Na co? Na to, żeby nas tu zamordowali? – zirytowała się.

Jednak poszła. Nie wiem, czy dlatego, że się na niego obraziła, czy może postanowiła posłuchać przedstawiciela prawa.

W następnym pokoju też były tylko i wyłącznie skrzynie. W trzecim nie było nic. Z kolei czwarty... Och, tak. To właśnie czwarty pokój był tym, który skrywał największe skarby. Śmietański chyba lubił tu przychodzić, bo zamontowano oświetlenie. W kilku miejscach stały lampy elektryczne. Ala szła jak w transie od jednej do drugiej i wciskała kolejne przyciski. Zimne, jarzeniowe światło odkrywało kolejne fragmenty pokoju.

A raczej powinienem powiedzieć – skarbca. Ucieszyłem się. A jednak w telewizji mieli rację. Każdy skarbiec ma porządne

oświetlenie!

– Mój Boże – jęknęła Ala. – Lord, czy ty to widzisz?

Miauknąłem i wyrwałem jej się z rąk. Zeskoczyłem miękko na ziemię i podbiegłem do jednej z gablot. Tak, gablot. Tutaj nie było żadnych skrzyń. Dzieła sztuki wisiały dumnie na ścianach albo stały w sztalugach. Żadnego nie rozpoznawałem z tytułu, ale kreskę już gdzieś widziałem. Ala miała bardzo dużo albumów o malarstwie. W końcu sztuka była jej pasją.

Byłem pewien, że na ścianie wisiał jeden Picasso. Bo to była taka geometryczna paciaja. Wydaje mi się, że poznałem też Moneta, bo widoczek był namalowany drobnymi kropkami farby. Reszta też wyglądała znajomo.

Ala usiadła na krześle ustawionym pośrodku pomieszczenia i oparła dłonie o materiałowe podłokietniki. Patrzyła w osłupieniu na ściany.

Mnie za to interesowały bardziej gabloty. Część była zamknięta szklanymi drzwiczkami, ale część nie.

Usiadłem obok korony wysadzanej kamieniami szlachetnymi. To chyba o niej mówiła świętej pamięci Claudia. Podobało mi się tutaj. Powinniśmy mieć z Alą własny skarbiec. Moje srebrne futro wygląda bardzo dostojnie na tle kamieni szlachetnych.

– Lord... to jest jak muzeum.

Skarbiec, kochana, skarbiec. Może przymierzysz koronę? Tobie będzie w niej na pewno dużo ładniej niż Claudii.

– W co myśmy się wplątali? – jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

Zwabiony światłem Eryk wszedł do środka. Otworzył szeroko usta. Zaczął biegać od gabloty do gabloty. Ja także uważniej przyjrzałem się świecidełkom, które leżały na aksamicie. Pacnąłem łapką rubinową kulkę wielkości przepiórczego jajka. Stoczyła się na ziemię.

Pięczka!

Pognałem za nią, ciesząc się jak kociak. Poczułem, jak wstępuje we mnie młody duch. Zresztą, co ja gadam? Przecież jestem jeszcze młody! Miałem pełne prawo, żeby się pobawić.

– Lord, zostaw – powiedziała słabym głosem Ala.

– Czy ty to widzisz? Czy ty to widzisz? – powtarzał w osłupieniu Eryk i fotografował zawzięcie gabloty.



Nadstawiłem ucha. Coś usłyszałem. Byłem pewien, że ktoś tu właśnie szedł. Miauknąłem, ale moi towarzysze zaaferowani bogactwami nie zwrócili na mnie uwagi. Miauknąłem jeszcze raz, ale tylko na mnie syknęli, żebym był cicho. Dobra, jak sobie tam chcecie, ale żeby nie było, że nie ostrzegałem.

Do środka weszła Sandra. Nie wydawała się zaskoczona zawartością skarbca. Sprawiała raczej wrażenie zawiedzionej, że nie jest tu sama.

Nigdy przez moją głowę nie przebiegł nawet cień myśli, że Kucharczyk wygląda na sympatyczną osobę. Było w niej coś odpychającego i nie była to kwestia jej wyglądu, tylko raczej... jakby to ująć... fluidów, które wydzielala. Nawet nie wiem, czy takie fluidy istnieją, być może to tylko mój koci instynkt. Wiedziałem jednak już od dawna, że to nie jest osoba, którą wzruszają zdjęcia małych kociaków.

Z jej twarzy zniknął grymas rozczarowania, pojawił się za to uśmiech, w którym kobieta zdołała jakimś cudem zawrzeć złość i okrucieństwo. Wyglądała dość przerażająco.

– Cześć – powiedziała.

Ala i Eryk spłoszeni obejrzelili się w stronę wejścia.

– Och, to ty! – Moja ukochana uśmiechnęła się do Sandry.

Uśmiech Ali był zupełnie inny. Miał w sobie szczerłość i niewinność. Nawet gdy próbowała być złośliwa albo ironiczna, jej uśmiech i tak zdradzał, że to tylko poza.

– Tak, to ja.

Weszła do środka, za nią wsunął się milczący Sebastian. Zdziwiłem się. A co ta dwójka robiła razem? Chyba ani razu nie widziałem, żeby ze sobą rozmawiali, nie mówiąc już o wycieczkach po tajnych przejściach.

Eryk przestał robić zdjęcia. Rzucił przybyłym pełne wątpliwości spojrzenie. Schował szybko komórkę i opuścił luźno rękę. Zauważyłem, że cały się w sobie spiął, zupełnie jakby wyczuwał niebezpieczeństwo.

– Co tu robicie? – zapytała Sandra.

– Mój kot wszedł do wentylacji. W ten sposób znaleźliśmy tajne przejście – wyjaśniła Ala. – A wy? Jak tu trafiliście?

– Tajnym przejściem z biblioteki.

– Z biblioteki? To tam też jest? My dostaliśmy się tutaj z kuchni.  
Sandra zaśmiała się gardłowo i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Cały ten budynek jest podziurawiony przejściami jak ser – skwitowała. – Alu, wiesz, że nie siedzisz na zwykłym krześle?

– Och – westchnęła Ala i natychmiast wstała.

– Spokojnie, to tylko replika tronu królewskiego, chociaż chyba połączana. Za to te wszystkie błyskotki na pewno nie są replikami.

Eryk nie spuszczał wzroku z Sebastiana. Milczący łysol także mierzył go ponurym, pozbawionym emocji spojrzeniem.

– To... hm... to my już chyba z Erykiem pójdziemy – powiedziała Ala.

– Kochana, nigdzie nie pójdziecie – odparła Sandra. – Jest mi bardzo przykro, ale nie możemy zostawić żadnych świadków. Krystian...

Sebastian sięgnął za plecy i wyjął pistolet. Eryk zareagował błyskawicznie. Także wyciągnął broń. Mierzyli teraz do siebie nawzajem. Na twarzy Tana pojawiła się wściekłość.

– Odłóż to – rozkazał Erykowi.

– Krystian? – zapytał blondyn.

Ja też się pogubiłem, prawdę mówiąc. Wszyscy nazywają się inaczej. Co to za dziwna moda na jakieś pseudonimy?

Sandra znowu się zaśmiała i wyjaśniła:

– Razem z Krystianem nie korzystaliśmy z naszych prawdziwych imion. A ty, Eryku? Może nam wyjaśnisz, skąd masz broń? Kim ty właściwie jesteś?

– Jestem Zygmunt Ryba, Centralne Biuro Śledcze. Macie się natychmiast poddać – powiedział twardym głosem.

Sandra była zaskoczona. Chyba w ogóle nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Jej pewność siebie nieco stopniała.

– A ty? – zwróciła się do Ali.

– Ja jestem tylko Ala... – wydusiła moja ukochana, cofając się pod ścianę. Podszedłem do niej i otarłem się o jej nogi.

Moja kochana, nie jesteś tylko Alą. Dla mnie znaczysz więcej, niż oni wszyscy razem wzięci!

– Czyli jesteś owcą, tak jak pozostali. Szkoda, kochana, że się tak wkopałaś – powiedziała Sandra, ale nie było wcale po niej widać, że

jest jej przykro.

Eryk powoli przesuwał się w naszą stronę. Jeszcze raz otarłem się o nogi mojej pani. Przyznaję ze wstydem, że odrobinę się pogubiłem. Czyli to jednak nie Ericsson jest mordercą? To prawdziwy policjant? Tak naprawdę to Sebastian zastrzelił Grzegorzycyka? Ale czemu?

– Opuść broń – polecił policjant.

– Nie, to ty opuść broń – odparł Tan.

Nie wiem, jak sprawy by się dalej potoczyły, bo sytuacja zrobiła się patowa. Może by tak stali, aż któremuś zdrętwiałaby ręka. Jednak nie dowiedziałem się, co by się stało, bo właśnie ten moment wybrał Jan, a dokładniej dwóch Janów, żeby wejść na scenę. Pojawili się ramię w ramię, każdy z dwoma pistoletami. Chyba chcieli mieć po jednym na każdego człowieka przebywającego w skarbcu.

Z zadowoleniem zauważyłem, że do mnie nikt nie celował. Zabrakło im pistoletów.

– Proszę, proszę... a kogo my tu mamy? – zapytał Śmietański i także wszedł do pomieszczenia.

Śmiem twierdzić, iż zaczęło się tu robić tłoczno.

## Rozdział 31. Veni, vidi, vici, miau!

– Poproszę panów, żeby grzecznie odłożyli broń.

W głosie Śmietańskiego nie było jednak nawet cienia prośby. Zabrzmiał jak rozkaz.

Eryk posłuchał. Sebastian nie był taki chętny. Wycelował broń w stronę pana Stefana. Kowalski zasłonił własnym ciałem pracodawcę. Z kolei Nowak wycelował obie lufy w kierunku Tana.

– Na twoim miejscu nie próbowałbym żadnych sztuczek – powiedział grobowym tonem kucharz.

Byłem zdruzgotany. Kolejne kłamstwo! Przecież on miał być niemową! Najpierw wychodzi na jaw, że główny Jan naprawdę ma na imię Eliasz. Potem przepiękne wąsy Śmietańskiego okazują się sztuczne. A teraz jeszcze niemowa zaczyna mówić? Co dalej? Pan Stefan oświadczy, że jest bankrutem?

Wreszcie Tan także powoli opuścił broń.

– Rzućcie pistolety na ziemię – rozkazał Kowalski. – I stańcie pod ścianą.

Ja i Ala nie musieliśmy się ruszać, bo już byliśmy we właściwym miejscu. Inni niechętnie do nas dołączyli. W tym czasie Śmietański podszedł do repliki tronu i zasiadł na niej jak król.

– A teraz czekam na wyjaśnienia – powiedział. – Wszyscy trafiliście do mojej piwnicy, mimo że była ukryta. Dokładnie obejrzeliliśmy nagrania z monitoringu. O ile panna Nawrocka i pan Ericsson miotali się jak ślepcy, to państwo... – skupił się na Sandrze i Sebastianie – doskonale wiedzieliście, dokąd się kierować. Pan Tan był tu zresztą niejednokrotnie razem ze zmarłą panną Struwieńską. Obserwowanie waszych swawoli w tym miejscu napawało mnie obrzydzeniem.

Ala odwróciła się ze złością do Eryka. Ja też zgromiłem go potężającym spojrzeniem. Jan go wykiwał. Agregat prądotwórczy wcale nie został uszkodzony. Powiedział mu tak tylko dlatego, że chciał zobaczyć, co Ericsson robi. Naiwniak.

Ominąłem nogi wszystkich i podbiegłem schować się za jedną z gablot. Stanie pod ścianą, kiedy celowano do nas z pistoletów, nie było najprzyjemniejsze.

– Słucham! – wrzasnął tak niespodziewanie Śmietański, że się skuliłem.

Jan Kowalski zerknął na mnie. Na sekundę jego oblicze złagodniało. Potem jednak odwrócił się do jeńców i znowu pojawił się na jego twarzy zacięty wyraz.

– Co? Nikt się nie zgłasza? W takim razie po kolei. Pan Ericsson – wywołał go jak ucznia do tablicy.

Eryk wysunął się odrobinę do przodu. Starał się zasłonić sobą Alę. Zapunktował tym, ale tylko trochę. Dostałby zdecydowanie więcej punktów, gdyby nas stąd wydostał.

– Zygmunt Ryba, Centralne Biuro Śledcze – przedstawił się po raz kolejny. – Jesteś obserwowany, Śmietański. Teraz mamy dowody przeciwko tobie. Jesteś skończony. Nie rób nic głupiego, bo tylko pogorszysz swoje położenie.

– Przepraszam, ale jakie dowody? Z tego, co mi wiadomo, dopiero teraz udało się panu tu dostać. Obecnie nie mamy połączenia ze światem zewnętrznym. Nie wmówi mi pan, że udało się panu kogokolwiek poinformować o zaistniałej sytuacji.

Eryk lekko się speszył.

– Biuro będzie mnie szukać – oznajmił.

– Ale mnie już tu dawno nie będzie.

– Skoro monitoring działał, to powinien pan przecież wiedzieć, kto jest mordercą – zauważył policjant. – Nie nagrało się, jak zabijał uczestników konkursu?

– Kamery są tylko w podziemiach, panie Ryba. Żadne dzieło sztuki na powierzchni nie jest aż tyle warte, aby czyjeś czujne oczy śledziły je przez cały czas. Dobrze, a teraz, jeśli już zaspokoilem pańską ciekawość, idziemy dalej. Pani Nawrocka?

Ala złapała Eryka za rękę. Była przerażona. Poczulem wściekłość. Najchętniej wydrapałbym Śmietańskiemu oczy. Zamiast tego skuliłem się jednak mocniej w kącie. Doszedłem do wniosku, że powinienem jak najdłużej oszczędzać siły. Mogą się przydać później.

Zacisnąłem powieki i udawałem, że wcale mnie tu nie ma.

– Ja jestem nikim – powiedziała łamiącym się głosem. – Naprawdę nazywam się Alicja Nawrocka.

Biedna Ala... Próbowałem wysłać w jej stronę trochę mojej odwagi. Ponieważ najwyraźniej nie miałem jej wystarczająco dużo, to chyba nic do niej nie dotarło. Śmietański nie wydawał się przekonany jej odpowiedzią, ale dał jej spokój i skierował swoją uwagę na Sandrę.

– Pani Kucharczyk?

Ona natomiast zaczęła z niewiadomych mi powodów gadać w jakimś obcym języku. Brzmiało to jak francuski, ale moja znajomość tego języka opierała się wyłącznie na filmach o żandarmie z Saint-Tropez, więc nie byłem pewien.

Śmietański coś jej odpowiedział. Potem się chyba pokłócili, bo w ich głosach pojawiło się dużo agresji. Po minie Ali i Eryka pojąłem, że też nie mają pojęcia, o czym mówi tamta dwójka. Janowie stali niewzruszeni, w ogóle ich nie słuchali. Tylko Tan zdawał się żywo śledzić wymianę zdań.

Nieco się rozluźniłem. Może nas wypuszczą, jeśli to Sandra jest tą poszukiwaną złodziejką i morderczynią. Rozejrzałem się dookoła. Z zadowoleniem zauważyłem leżącą obok rubinową kulkę, którą się wcześniej bawiłem. Pacnąłem ją łapką.

Potoczyła się pod inną gablotę. Skoro i tak nie mogłem w żaden sposób pomóc, postanowiłem trochę pozwiedzać. Ruszyłem śladem mojej kulki. Gdy odchodziłem, odwróciłem się jeszcze w stronę Ali. Bacznie mnie obserwowała. Niestety nie potrafiłem rozszyfrować jej miny.

Sandra i Śmietański przeszli płynnie na polski, ale nie słuchałem ich zbyt uważnie. Coś tam krzyczeli o wykorzystaniu babki Sandry, porzuceniu jej z dzieckiem. Podobno Śmietański okradł nawet z jakichś obrazów tę babkę czy raczej muzeum, którym się ona opiekowała. Jakaś głębsza afera.

Kompletne nudy.

Ja tymczasem znalazłem karton! Wreszcie coś przydatnego w tym skarbcu. Wpakowałem się do środka. Coś w nim interesująco pachniało. Umościłem się na spoczywających w pudle skórzanych woreczkach. Złapałem jeden z nich między zęby i zagryzłem. Smakował trochę jak stare kapcie. Miałem przyjemność żuć kiedyś

skórzane kierzki, które Ala przywiozła sobie na pamiątkę z Zakopanego. W sumie te woreczki smakowały podobnie.

Z jednego z nich wysypały się kamienie przypominające koci zwirek. Tylko pachniały skórzanymi woreczkami, a nie moczem.

– W twoim domu jest bomba.

Uniosłem głowę i wyrząłem zza brzegu kartonu. Nagle zrobiło się jakoś tak podejrzanie cicho. Ala już się na mnie nie patrzyła. Wbijała wzrok w Sandrę. Wytatuowana kobieta oparła ręce na biodrach. Miała minę zwycięzcy.

– Dlaczego to robisz? – zapytał pan Stefan.

– Bo chcę cię zniszczyć, tak jak ty zniszczyłeś całą moją rodzinę, dziadku! – Splunęła na ziemię. – Bracie, pokaż mu detonator.

Bracie? Sebastian wyjął z kieszeni urządzenie, które przypominało kalkulator. To oni z Sandrą są rodzeństwem? Masz ci los, wystarczyło przez chwilę nie słuchać i znowu się całkiem pogubiłem w sytuacji.

– Zabijesz mnie, ale przy okazji zniszczysz cenne dzieła sztuki? – prychnął Śmietański. – Nie wierzę. Nie zrobisz tego.

– Właśnie, że zrobię – powiedziała z mocą. – One i tak są zaginione. Przez ciebie nigdy by się nie odnalazły. Nikomu nie robi różnicy, jeśli znikną na zawsze.

– Jesteś szalona.

– Być może – przyznała.

– Zastrzel go.

Jan bez zastanowienia pociągnął za spust. Sebastian upadł na ziemię. Koszula na jego brzuchu zaczęła nasiąkać krwią. Sandra krzyknęła rozdzierająco, Ala zaczęła płakać, Eryk też wyglądał, jakby był tego bliski. Ja za to skamieniałem w kartonie. Spróbowałem skurczyć się w sobie, zwinąć w jak najmniejszy kłębek. Miałem ochotę stać się taki malutki, żeby nikt nigdy mnie nie znalazł.

– Ty skurwielu! – wrzasnęła Sandra.

Rzuciła się na jęczącego brata i wyrwała mu z dłoni detonator. Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, wcisnęła duży czerwony guzik.

Czas na chwilę stanął w miejscu. A może to wcale nie czas, tylko po prostu wszyscy zamarli w oczekiwaniu na wielkie BUM.

Wybuchu jednak nie było. Cisza się przedłużała. W końcu Kowalski wypuścił powoli powietrze z płuc. To było jak sygnał, znak, że można z powrotem zacząć żyć.

Śmietański ryknął z wściekłości i wyrwał Nowakowi jeden z pistoletów. Sandra podniosła się z klęzek. Jej dłonie ociekały krwią Sebastiana, który tymczasem przestał oddychać. Z kolei Ala i Eryk przytulili się do siebie i centymetr po centymetrze, dyskretnie przesuwali się w stronę drzwi, uciekając przed wypływającą spod Tana i rozlewającą się po podłodze czerwoną kałużą.

Niedobrze. Wygląda na to, że zamierzają uciec. A mnie od nich oddziela cała ta jatka. Jak niby mam do nich dołączyć?

– Ty głupia dziewucho! – wrzasnął pan Stefan. – Zastrzelę cię!

– Zniszczyłeś moją rodzinę. Moja babka popełniła przez ciebie samobójstwo, a moja matka...

Nie dowiedzieliśmy się, co też stało się z jej matką, bo nagle rozbrzmiało wielkie BUM. Podłoga zadrżała. Drżenie stawało się coraz silniejsze i silniejsze. Szkło w gablotach się rozdzwoniło, kilka obrazów spadło na podłogę z głośnym hukiem.

Gdzieś nad nami zabrzmiał trzask, potem jakieś łupnięcie. Przerażające! Tak się tym zestresowałem, że aż trochę popuściłem. Dobrze, że siedziałem w kartonie z tym śmiesznie zapakowanym żwirkiem.

– Musimy uciekać! – krzyknął Kowalski.

– Nie! Nie! Nie! – zawodził Śmietański. – Głupia, coś ty narobiła.

Wymierzył lufę w jej kierunku i zaczął naciskać spust. Powiem szczerze, cela to on miał koszmarne. Kucharczyk skuliła się i zamknęła oczy. Nawet nie próbowała uciekać. A mimo to żadna z kul jej nie dosięgnęła.

Eryk rzucił się do drzwi. Szarpnął za sobą Alę. Ta jednak zręcznie mu się wywinęła i przepęzła przy ścianie w moją stronę. Wsadziła rękę do kartonu. Zacisnęła ją na moim karku i szarpnęła mnie do góry.

Ze wstydem przyznaję, że reszty za bardzo nie pamiętam. Przytuliła mnie do piersi, ale jedną dłonią ciągle ścisnęła fałd skóry na moim karku. Byłem tak przestraszony i jednocześnie zniewolony tym chwytem, że zamknąłem oczy i pozwoliłem, żeby mnie niosła.



Wiem tylko, że biegła. Dyszała ciężko, a ja obijałem się o jej piersi przy każdym kroku.

Drżenie było wciąż wyczuwalne, a także jakimś cudem słyszalne. Niespodziewanie rozbrzmiało kolejne BUM, a po nim jeszcze jedno. Na świętą Bastet, ile było tych ładunków wybuchowych? Ala się potknęła i upadła. Wypuściła mnie niechcący na ziemię. Gruchnąłem głucho o beton, na chwilę tracąc orientację.

– Ala!

Było bardzo ciemno. Znajdowaliśmy się chyba w tunelu, który prowadził do bunkra. To Eryk krzyczał. Pojawił się oświetlony własnym telefonem komórkowym.

– Nic ci nie jest? – zapytał ją. O mnie oczywiście w ogóle nie pomyślał.

– Tak, tak. Zaraz! Upuściłam Lorda! Lord! Gdzie jesteś?! – zaczęła panikować.

Ogłuszony upadkiem podniosłem się powoli i od razu miauknąłem z bólu. Moja łapka! Zrobiłem sobie coś w łapkę! Bardzo bolała. Nie mogłem na niej stanąć.

Ciepłe ręce mojej Ali porwały mnie ponownie do góry, zanim zdążyłem drugi raz miauknąć.

– Szybko, musimy biec – ponaglił ją Eryk. – Musimy im uciec.

Nie wiem, jaki miał plan i co się zmieniło przez ostatnią godzinę. Przecież nadal nie mieli na sobie ciepłych ubrań, telefony nie działały, a do miasta było bardzo daleko. Na dodatek po posesji podobno biegały psy.

Ludzie mają naprawdę krótką pamięć.

W korytarzu rozległy się kroki i głosy. Echo i trzaski walącego się nad naszymi głowami budynku sprawiały, że nawet ja nie zrozumiałem, mimo mojego bardzo czułego słuchu, co się dzieje za naszymi plecami.

Ala ruszyła biegiem. Dotarliśmy do rozwidlenia z trzema korytarzami. Skierowali się do tego, który prowadził do bunkra.

Głosy w tunelu powoli cichły. Czyżby tamci wybrali inne rozwidlenie?

Eryk otworzył metalowe wrota. Razem z Alą weszli środka. Lodowaty wiatr ze śniegiem od razu przemroził nas do szpiku kości.

– Szybko. Uciekamy na powierzchnię – rozkazał.

Moja ukochana nie zaprotestowała. Wepchnęła policjantowi mnie w ramiona, a następnie zdjęła sweter.

– Co robisz? – zdziwił się.

– Nosidło na kota. Nie wejdę po drabinie, trzymając go w rękach.

Zaraz. Przecież to on mnie trzyma! Tak się zaaferowałem, że niemal przegapiłbym swoją szansę. Otworzyłem pysk i już się zamachnąłem głową, żeby zatopić zębiska w jego przedramieniu, gdy Ala ponownie wzięła mnie na ręce. Jedyne, co zdążyłem zrobić, to trochę podrapać go pazurami.

Syknął i odskoczył obrażony. Patrzcie go, jaki delikates.

Ala tymczasem zawinęła mnie w sweter, przerzuciła sobie tobolek przez ramię i zwinnie niczym kozica zaczęła wspinać się pod drabinie. Jak na mój gust, to powinna jemu kazać wejść pierwszemu. Głównie po to, żeby zrobił rozeznanie na powierzchni i w razie czego oberwał kulkę w głowę. A także po to, żeby wchodząc po niej, nie gapił się jej pod sukienkę.

Na dworze było bardzo zimno, bardzo mokro i bardzo ciemno. Zamknąłem oczy i wtuliłem się w sweter. W żadnym razie nie zamierzałem tracić energii na rozglądanie się. Poza tym bardzo bolał mnie brzuch. Na dodatek łapka pulsowała tęnym bólem. Chyba trochę spuchła. Wyjątkowo skupiłem się teraz tylko i wyłącznie na sobie.

– Ala, światło! Widzisz?

– Gdzie?

– Tam, zobacz! To chyba brama! Przeszliśmy bardzo daleko!

– Eryk, nie czuję nóg. Nie wiem, czy tam dojdę.

– Damy radę.

– Eryk, już nie mogę.

– Psy! Słyszysz?! Gdzieś szczekają. Daj ramię, pomogę ci.

– To samochód?

– Nie wiem.

– Tak! Tam ktoś jest!

Ich słowa docierały do mnie jakby przez mgłę. Bolał mnie brzuch, łapka, było mi zimno. Byłem bardzo, bardzo nieszczęśliwy.

I jeszcze tak strasznie chciało mi się spać.

– ROBERT!

Wrzask Ali postawił mnie do pionu w jednej chwili. A potem było już tylko gorzej. Usłyszałem ujadanie psów. Wielu psów. I parskanie jakichś dwóch ogromnych potworów.

## Epilog

Leżałem na łóżku, a dokładniej mówiąc, na poduszce. Stało się to, czego obawiałem się najbardziej. Moje życie się skończyło.

Nałożono mi na głowę plastikowy kołnierz, który pozbawił mnie resztek godności. Na dodatek Marchewka widziała mnie w tym stanie. Jeśli kiedykolwiek miałem chociaż cień nadziei, że doczekamy się wspólnie gromadki kociaków, które byłyby ładne po niej, a mądre po mnie, to niestety szansa ta przepadła bezpowrotnie.

Spojrzałem poprzez plastik na moją przednią łapę, na którą został nałożony opatrunek. Okazało się, że ją złamałem, gdy upadłem na betonową posadzkę. Ech, starość nie radość. Kości już ewidentnie nie są takie mocne jak kiedyś.

Ponadto mam wrażenie, że po tej całej przygodzie w rezydencji Śmietańskiego będą mnie męczyć bóle stawów. Bardzo przemarzłem podczas ucieczki, mimo że wyjście z bunkra znajdowało się podobno niedaleko bramy posiadłości, a przy niej czekał na nas Robert, który specjalnie na tę okazję pożyczył od kogoś sanie i dwa konie. Teoretycznie nie byłem więc długo narażony na mróz. Niemniej, jak już chyba kiedyś mówiłem, nie mam zadatków na kota wolno żyjącego.

Ja jestem kolankowy, i już!

Całe szczęście, że po odwiezieniu do miasta Emila weterynarz zaczął się zamartwiać o Alę. Laurentowicz postraszył go tajemniczym zniknięciem Zuzanny. Robert najwyraźniej nadal podejrzewał, że Śmietański może być potworem, bo postanowił przyjechać i uratować moją ukochaną oraz oczywiście mnie. Mieliśmy naprawdę dużo szczęścia. Gdyby nie to, nasze ciała leżałyby teraz zamrożone na kość w jakiejś śnieżnej zaspie. Albo zagryzłyby nas psy!

Święta Bastet musiała nad nami czuwać. Obronne burki przstraszyły się wybuchu i ganiały po lesie w amoku. Nie miały ochoty nas atakować.

Ciekawe, swoją drogą, co się stało ze Śmietańskim i dwoma Janami. Nie pobiegli naszym korytarzem. Musieli wybrać inny. Z tego, co Ala usłyszała od Eryka i policjantów, do dzisiaj ich nie znaleziono, a minęło już kilka dni. To najprawdopodobniej znaczy, że całkiem skutecznie uciekli.

Brzuch znowu mi dokuczał. Czułem, jak kurczy się nieprzyjemnie. Chyba już na mnie czas.

Drzwi gościnnej sypialni w domu Roberta się otworzyły. Ala zamarała z ręką na klamce. No nie dziwię się. Musiałem sprawiać dość osobliwe wrażenie, kiedy wymiotowałem z tym plastikowym rękawem na głowie.

– Moja sukienka!

Wyplułem ostatni fragment kłaka i nieprzetrawionych śmieci na wielobarwny materiał. Naprawdę nie pojmuję jej przywiązania do tej kiecki. Jest koszmarna. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to sentyment, bo uciekła w niej z wysadzonej w powietrze rezydencji.

Alu, skarbie, ja ci wyświadczyłem przysługę. Ty w tej szmacie nigdy nie wyglądałaś korzystnie.

– Boże Przenajświętszy, a czym ty zwymiotowałaś?

Ala przez chusteczkę wyciągnęła z moich wymiotów rubinową kulkę. Uniosła ją i spojrzała na nią pod światło.

– Czy to...? – westchnęła.

Poczułem, że kolejny raz robi mi się niedobrze. Miałem w żołądku jeszcze kilka drobiazgów, które kompulsywnie połknąłem w stresie. Kilka było zielonych, jeden niebieski i dużo takich nieoszlifowanych, przezroczystych, które wyglądały jak żwirek. Te ostatnie połknąłem niechcący, kiedy zułem skórzane woreczki.

– Lord! – wydusiła.

No co? A nie mówiłem, że o nas zadbam? Tylko nie pokazuj naszych skarbów Erykowi, bo będzie chciał je nam zabrać.

## Podziękowania

Przede wszystkim chciałabym podziękować moim kotom: kotce Miszy (małej ciałem, ale wielkiej duchem) oraz kocurowi Sushiemu (który jest dużym kotkiem o małym rozumku). Kot Lord powstał po zmiksowaniu cech moich sierściuchów. Gdyby nie one, nie byłoby tej powieści.

Dziękuję mojemu Mężowi Jankowi i Synkowi Piotrusiowi za cierpliwość, zrozumienie i trzymanie za mnie kciuków. Janku, gdyby nie Ty, nigdy bym nie napisała *Ja Cię kocham, a Ty miauu*. Ciągłe miałabym dwadzieścia stron i ból krzyża od noszenia Piotrusia. Piotrusiu, dziękuję, że zlitowałeś się nad rodzicami i zacząłeś raczkować :)

Kolejną osobą, która miała olbrzymi wkład w powstanie książki, jest moja Mama Basia. Dziękuję, że byłaś moją pierwszą recenzentką. Twoje ciepłe słowa podnosiły mnie na duchu. Dziękuję Ci też za genialne tytuły rozdziałów i pomoc w ich dopasowaniu do treści!

Dziękuję matce chrzestnej powieści – mojej kochanej Redaktorce (przez wielkie R) Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie. Zmotywowałaś mnie do pisania: gdyby nie Ty, nadal kolekcjonowałabym pomysły, zamiast przelać je na papier. Poza tym bardzo Ci dziękuję, że wyciągasz mnie na kawę i ciastka. Nasze burze mózgów dodają mi skrzydeł.

Na koniec dziękuję redaktorce Idzie Świerkockiej za pomoc przy tekście, trzymanie ręki na pulsie i przede wszystkim za cudowne tytuły rozdziałów. Wymyśliłaś ich tyle, że chyba muszę teraz napisać tom drugi, bo aż żal, żeby się zmarnowały!

Katarzyna Berenika Mischczuk

- 
- <sup>1</sup> Mural – malarstwo ściennie, często dużych rozmiarów.
  - <sup>2</sup> Aerografika – technika malarska wykorzystująca pistolet natryskowy (aerograf).
  - <sup>3</sup> Oleje, tj. farby olejne – wolnoschnące farby, w których pigment zawieszony jest w oleju, zwykle roślinnym.
  - <sup>4</sup> Akryl, tj. farby akrylowe – farby, w których cząstki pigmentu zawieszono są w żywicy poliakrylowej, czasami zawierają także gumę arabską. Można malować nimi prawie na każdej powierzchni, w tym szkłe.
  - <sup>5</sup> Action painting – technika malarska należąca do nurtu ekspresjonizmu, polegająca na spontanicznym rozlewaniu farby na płótnie.
  - <sup>6</sup> Pastel – technika malarska polegająca na używaniu pigmentu w sztyfcie. Farby pastelowe, zwane potocznie pastelami, w zależności od ilości spoiwa (najczęściej gumy tragakantowej bądź oleju) można podzielić na pastele miękkie, twarde, ołówki pastelowe, pastele olejne, wodne, kredowe, a także kredki woskowe.
  - <sup>7</sup> Suchy pędzel – technika malarska polegająca na nakładaniu farby na płótno za pomocą suchego pędzla.
  - <sup>8</sup> Rysunek węglem – technika rysunkowa, w której do rysowania używa się węgla drzewnego. Prace wykonane węglem można utrwalić fiksatywą.
  - <sup>9</sup> Grataż – technika malarska polegająca na zdrapywaniu farby z płótna.
  - <sup>10</sup> Gwasze – farby wodne z domieszką kredy lub bieli, zawieszono w gumie arabskiej. W przeciwieństwie do akwareli gwasze nie prześwitują.
  - <sup>11</sup> Fresk – technika malarstwa ściennego polegająca na malowaniu na mokrym tynku farbami odpornymi na zawarte w podłożu wapno.
  - <sup>12</sup> Tempera, tj. malarstwo temperowe – technika polegająca na używaniu farb temperowych, w których pigment jest zawieszony w spoiwie organicznym.
  - <sup>13</sup> Witrochromia – technika malarska polegająca na malowaniu na przezroczystym podobrazie, np. szkłe.
  - <sup>14</sup> Impast akrylami – technika malarska polegająca na nakładaniu grubej warstwy farb akrylowych za pomocą np. szpachelki.
  - <sup>15</sup> Sangwina – technika rysunkowa polegająca na wykorzystaniu czerwono-brunatnej kredki (sangwiny).
  - <sup>16</sup> Sztych – technika polegająca na ryciu stalowym rylcem w metalowej płycie, następnie wcieraniu farby w powstałe rowki i odciśnięciu obrazu na papierze.
  - <sup>17</sup> Grafika komputerowa, wł. malarstwo cyfrowe – dziedzina informatyki przeznaczona do tworzenia obrazów za pomocą technik komputerowych.
  - <sup>18</sup> Akwarela – technika malarska, w której wykorzystuje się farby, których pigment jest rozpuszczony w wodzie. Jaśniejszych barw nie można nakładać na ciemniejsze.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Redaktor prowadząca: Ida Świerkocka

Redakcja: Piotr Chojnacki  
Korekta: Ewa Pustelnik, Justyna Techmańska

Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Kocia grafika przy nazwach rozdziałów: duckduckgo.com

Skład i łamanie: TYPO

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08  
biuro@gwfoksal.pl  
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-8059-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**